ROZMOWA „DO RZECZY”

Grzegorz Braun twardo o swej interwencji w szpitalu w Oleśnicy

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 19/628 5–11 MAJA 2025

CENA 12,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Ziemkiewicz mocno chwali Stanowskiego

POŻEGNANIE PAPIEŻA FRANCISZKA

Jak Bill Gates zarabia krocie na filantropii

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

Nakład: 43 500 egzemplarzy

Polska katolicka czy muzułmańska

WSZYSTKIE BŁĘDY POLITYKI MIGRACYJNEJ PLATFORMY I PIS

KRAKÓW, 10 KWIETNIA 2024 R. CZŁONKOWIE SPOŁECZNOŚCI MUZUŁMAŃSKIEJ MODLĄ SIĘ W HALI SPORTOWEJ Z OKAZJI ZAKOŃCZENIA RAMADANU

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

Inwestuj w uczciwość! Kup akcje Do Rzeczy S.A.

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

„Inflacja, podatki, tania energia – czas mówić prawdę o gospodarce."

Rafał A. Ziemkiewicz
PISARZ I PUBLICYSTA
TYGODNIKA „DO RZECZY"

Do Rzeczy S.A.
– LIDER KONSERWATYWNO - LIBERALNEGO RYNKU WYDAWNICZEGO W POLSCE W DRODZE NA **New/Connect (GPW)**

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka"). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom maklerski INC S.A.

eprasa.pl cd69d1a612

W RZECZY SAMEJ

Tak jakby Polska straciła Lublin

PAWEŁ LISICKI

Gdy piszę te słowa, w ostatnich dniach kwietnia, nie jest łatwo dowiedzieć się, na jakim etapie naprawdę znajdują się negocjacje USA – Rosja – Ukraina. Dysponujemy tylko cząstkowymi informacjami, i to często skrajnie stronniczymi. Nie wiadomo zatem, co jest faktycznie warunkiem porozumienia, a co zasłoną dymną. Tym niemniej wydaje się, że kilka spraw jest jasnych.

Pierwsza i najważniejsza: tak jak wielokrotnie pisałem, wojna na Ukrainie była typową wojną zastępczą, toczoną przez USA rękami Ukraińców z Rosją. Dowodem na rzecz tej tezy są nie tylko wypowiedzi przywódców amerykańskich, prezydenta Donalda Trumpa i sekretarza stanu, Marca Rubia, lecz także fakty. Najbardziej oczywiste są propozycje amerykańskie, w których to wyraźnie mówi się o legalizacji zajęcia Krymu przez Rosję oraz o zatrzymaniu przez Moskwę zdobytych przez nią zbrojnie terenów. Gdyby była to, jak nam przez trzy lata konsekwentnie wmawiali polscy specjaliści, wojna Rosji z Ukrainą, to jak można by wytłumaczyć ową osobliwą sytuację, w której decyzje o integralności terytorialnej Ukrainy podejmują przedstawiciele Waszyngtonu?

Po drugie, wszystko wskazuje na to, że wojna zakończyła się sukcesem Rosji. Jeśli deklarowanym celem Zachodu od początku wojny było zachowanie integralności terytorialnej państwa ukraińskiego i wprowadzenie go do NATO, to dziś nikt o zdrowych zmysłach o tym nie wspomina. Skalę niepowodzenia Zachodu najlepiej ocenić, zestawiając wypowiedzi typowego zwolennika poprzedniej linii propagandowej, prezydenta Andrzeja Dudy, z obecną rzeczywistością. W sierpniu 2022 r. polska głowa państwa mówiła: „Krym to Ukraina. Tak jak Gdańsk czy Lublin jest częścią Polski, tak Krym był, jest i będzie częścią Ukrainy". Polski prezydent twierdził także (sierpień 2022 r.), że Ukraina „musi wrócić do sytuacji sprzed rosyjskiej inwazji", a „wszystkie obszary, które zostały zajęte przez Rosję, muszą zostać wyzwolone". Dwa lata później Andrzej Duda napisał: „Napaść rosyjska na Ukrainę i okupacja międzynarodowo uznanych terytoriów Ukrainy, w tym Krymu, to zbrodnia". Ze słów prezydenta wynika, że uznanie przez USA zdobyczy Krymu jest tożsame z utraceniem przez Polskę Lublina, a prezydent USA, wysuwając taką propozycję, uczestniczy w zbrodni. Cytuję te słowa nie po to, by się nad polską głową państwa znęcać, przecież podobne mądrości głosił legion innych, ale żeby pokazać skalę przegranej dotychczasowej polityki. Nawet Andrzej Duda i podobni mu znawcy spuścili z tonu i nie są w stanie powtarzać już swoich tez.

Po trzecie, zawarcie porozumienia na warunkach proponowanych przez USA oznacza przegraną Ukrainy. Mimo straty setek tysięcy ofiar Kijów utraci – wszystko na to wskazuje – to, co mógł zachować przy pomocy znacznie mniejszych strat. Ukraińskie elity na czele z prezydentem Wołodymyrem Zełenskim dały się wykorzystać, nie rozumiejąc, że to one właśnie zapłacą końcowy rachunek. Ukraińcy uwierzyli w to, że USA oferuje im przystąpienie do NATO i że przy pomocy Zachodu będą mogli pobić Rosję. Brali za dobrą monetę opowieści znawców takich jak osławiony gen. Ben Hodges (to ten, który wieścił szybkie odbicie Krymu) oraz słuchali się zachodnich polityków, obiecujących złote góry (w tym przypadku dostarczenie niezwyciężonej broni). Słuchali pani Ursuli von der Leyen, która opowiadała o tym, że Rosjanie, żeby walczyć, wykręcają mikroczipy z lodówek, i wsłuchiwali się w głosy polityków takich jak Mateusz Morawiecki, który opowiadał o tym, że USA nie może wycofać się z popierania Ukrainy. Zostali teraz ze zrujnowanym państwem, kwitnącą korupcją, ze zradykalizowanymi grupami nacjonalistów i z coraz słabszym poparciem Waszyngtonu. Stara prawda, że nie wolno stawiać wszystkiego na jedną kartę, się potwierdziła.

Po czwarte, rację mieli ci, którzy mówili, że nie wolno ślepo ufać Ameryce, bo tym, co determinuje jej działanie, są ostatecznie jej interesy. O ile poprzednia globalistyczna administracja wierzyła w ideę krzewienia światowej demokracji, do czego miała prowadzić bałkanizacja Rosji, o tyle obecna w porę zorientowała się, że jest to projekt kosztowny, skrajnie ryzykowny i ostatecznie dla interesów państwa amerykańskiego szkodliwy. USA robią to, czego nie umiała zrobić Wielka Brytania w przededniu pierwszej wojny światowej: wycofują się z zobowiązań, których nie są w stanie dotrzymać, i skupiają się na ocaleniu swojej mocarstwowej pozycji tam, gdzie to możliwe. Trump prowadzi inną politykę niż Joe Biden nie dlatego, że lubi Putina i imponuje mu rosyjski dyktator (ulubione brednie polskich mediów), ale dlatego, bo lepiej oszacował siły i zrozumiał, że podtrzymywanie konfliktu z Rosją prowadzić będzie nieuchronnie albo do sromotnej ucieczki, albo do trzeciej wojny światowej. W tej sytuacji uznał, że najlepszym wyjściem będzie to, co właśnie obserwujemy.
W tym czasie jednak apetyty Moskwy wzrosły, dlatego zawarcie pokoju na warunkach przedstawionych przez Waszyngton wcale nie jest pewne. ©℗

eprasa.pl cd69d1a612

TEMAT TYGODNIA

12 KACPER KITA
KU ISLAMIZACJI POLSKI?
Czy powtórzymy błędy Europy Zachodniej

16 TERESA STYLIŃSKA
STAN ZAGROŻENIA

POŻEGNANIE PAPIEŻA

20 PAWEŁ CHMIELEWSKI
KOŚCIÓŁ ŻEGNA FRANCISZKA
Katolicy z niepokojem patrzą w przyszłość

23 PIOTR SEMKA
PROBOSZCZ ŚWIATA W GĄSZCZU DYPLOMACJI

KRAJ

26 ROZMOWA Z GRZEGORZEM BRAUNEM
CZOŁG PRZEŁAMANIA SYSTEMU
Kandydatura „frontu gaśnicowego"

29 ŁUKASZ WARZECHA
POZARZĄDOWY RAK

32 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
PREZYDENCKI TROLLING

34 RADOSŁAW WOJTAS
PRZESTĘPSTWO WISI W POWIETRZU

36 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
TRZECIA MŁODOŚĆ

KULTURA

38 PIOTR GOCIEK
DO PIEKŁA I Z POWROTEM
Subiektywny ranking wielkich aktorskich powrotów XXI stulecia

41 GRZEGORZ KONDRASIUK
PIĘKNO, AFERY I FAKE NEWSY

42 ROZMOWA Z MARTĄ BYCZKOWSKĄ-NOWAK
TADEUSZA BOROWSKIEGO DROGA KU PRZEPAŚCI

NIE PRZEGAP

46 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

50 MAREK JUREK
OSTPOLITIK DLA POLSKI
Odprężenie między USA a Rosją

52 AGNIESZKA COUDERQ
SZTUKA WOJNY DLA POCZĄTKUJĄCYCH

55 MARIUSZ JAGÓRA
FILANTROPIA TO POWAŻNY INTERES

HISTORIA

58 ANDRZEJ SOLECKI
TWARDA LEKCJA REALIZMU
Wnioski Donalda Trumpa z przeszłości

ŚWIAT

62 ROBERT BOGDAŃSKI
KISSINGER MOŻE LEŻEĆ SPOKOJNIE
Po co Ameryce wojna gospodarcza z Chinami

65 MACIEJ PIECZYŃSKI
NIEROSYJSKA ROSJA

EKONOMIA

70 JACEK PRZYBYLSKI
GOŁĘBI ZWROT
Kto zarabia, a kto traci na obniżkach stóp

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (60), PRZYBYLSKI (68), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (76), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl cd69d1a612

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Omar Marques/Anadolu/AFP/East News**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 43 500 egzemplarzy

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Geopolityczne fatum Podbrodzia", prof. Andrzej Solecki, „DRz" nr 15/2025

Szanowna Redakcjo!
Pytania do pana prof. Andrzeja Soleckiego po lekturze artykułu „Geopolityczne fatum Podbrodzia".

1) Kiedy w I Rzeczypospolitej walutą obiegową były szylingi i pensy?

2) Z jakiego źródła zaczerpnął pan wiedzę, że Abramowicz, XVIII-wieczny właściciel Podbrodzia, używał litewskiej wersji imienia Franciszek – Pranas?

3) Czy mógłby pan bliżej przedstawić formację – 3. Dywizję Artyleryjsko-Konną, skądinąd nieznaną? W Podbrodziu od 1935 r. stacjonował 3. Dywizjon Artylerii Konnej, przeniesiony tam z Wilna, a między dywizjonem a dywizją zachodzi jednak subtelna różnica.

Z poważaniem
Wojciech Banasik

Od autora

Szanowny Panie,
bardzo dziękuję za pańskie uwagi, w swoim tekście opierałem się na litewskiej stronie poświęconej historii Podbrodzia: http://pabradedomus.lt/pabrade/pabrades-istorija i wskazane przez Pana błędy wynikają z przetłumaczenia używanych przez stronę litewską terminów.

Ma Pan rację, oczywistym błędem jest użycie terminu „dywizja", ale w tym wypadku tłumaczenie jest prawidłowe i błąd istnieje na stronie litewskiej. Powinni byli użyć terminu „eskadronas".

Szylingi, o których mowa w tekście, w naszej historii występują rzeczywiście zazwyczaj w spolszczonej wersji szeląg i dotyczą także boratynek – monet miedzianych bitych w czasie kryzysu związanego z potopem szwedzkim. Znane są powiedzenia „Znać kogoś (coś) jak zły szeląg" oraz „Niewart złamanego szeląga". Ponieważ nie byłem w stanie dotrzeć do oryginalnego przywileju Jana Kazimierza, trudno mi było zweryfikować dane strony litewskiej zwłaszcza dotyczące pensów. Przyznam się, że nie wiem, w jakim języku wydany był ten konkretny przywiej, jako że na początku Unii w Wielkim Księstwie Litewskim językiem urzędowym był język „ruski", później wprowadzono polski, łacinę i litewski. Rzeczywiście lepiej byłoby użyć terminów „szeląg" i „grosze", ale nie chciałem zmieniać tekstu źródłowego.

Co do imienia Abramowicza, to jest to pospolite nazwisko patronimiczne zwłaszcza w krajach słowiańskich od Bałkanów do Rosji i trudno mi decydować, z jaką narodowością utożsamiał się konkretny wymieniony w historii Podbrodzia Abramowicz. Na ziemiach Rzeczypospolitej podziały te przebiegały często nawet wśród braci, czego przykładem są Szeptyccy.

Jeszcze raz bardzo dziękuję za Pana cenne uwagi, które niewątpliwie poszerzą wiedzę nie tylko moją (jestem profesorem nauk o ziemi), lecz także naszych czytelników.

Z poważaniem
Andrzej Solecki

eprasa.pl cd69d1a612

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Gdy dwóch robi to samo...

Dziewięć lat temu wziąłem udział w publicznej dyskusji wokół kształtu Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Wyznaczony przez Donalda Tuska dyrektor muzeum Paweł Machcewicz wraz z dwoma zastępcami – Piotrem M. Majewskim i Rafałem Wnukiem – ogłosili, że skupią się na martyrologii ofiar wojny oraz na losach ludności cywilnej. Podkreślano, że gdańskie muzeum nie będzie panteonem chwały polskiego oręża.

Podjąłem polemikę z tą koncepcją. Pisałem: „Owszem, nikt o zdrowych zmysłach nie zaprzecza, że wojna niesie ze sobą grozę, ale nieprzypadkowo czcimy ludzi, których ta wojenna groza nie skłaniała do bierności, tchórzostwa, serwilizmu wobec najeźdźców, zamknięcia się wyłącznie na walce o przetrwanie swoje i ewentualnie bliskich. Opowiadając o wojnie, nie należy ukrywać potworności, ale akcentuje się też hartowanie się charakterów, pomysłowość oporu i solidarność społeczną. A także to, co zawsze fascynowało ludzi – format dowódców, jakość taktyki wojennej i odwagę na polu bitwy”. Podobną krytykę napisał historyk dr Piotr Niwiński.

W lipcu 2016 r. w „Dzienniku Bałtyckim” odpowiedział na to Piotr M. Majewski: „Mam wrażenie, że Semka i Niwiński widzą wojnę jako pewną »przygodę«. Semka pisze, że brakuje mu na wystawie wykładów o wojskowości, o wspaniałych operacjach wojskowych, o dowódcach. Rzeczywiście, to nie jest nasza perspektywa, bo dla nas wojna jest przede wszystkim doświadczeniem negatywnym”. I dalej: „Nawet jeśli ludzie zachowują się bohatersko i przyzwoicie – i mogą być wzorem dla innych – to wojna pozostaje doświadczeniem traumatycznym, również dla zwycięzców. Muzeum opisujące wojnę jako doświadczenie »hartujące« to dla nas podejście obce”. Przez kolejne lata na portalach lewicowych i liberalnych wypominano mi moje stanowisko w tamtym sporze. W tym czasie Rafał Wnuk i Piotr M. Majewski objęli na nowo Muzeum II Wojny Światowej, przy okazji nie omieszkując usunąć mnie z Rady Muzeum.

Wciąż zaglądam na stronę muzeum. I niedawno odkryłem, że z okazji Dnia Kobiet muzeum otworzyło projekt multimedialny o nazwie „Hart ducha, odwaga, pasja”. Jak informuje: „Jest to opowieść o sześciu niezwykłych kobietach, które przeciwstawiły się okupantowi i stanęły do walki z nim [...]. Iga Krzyżanowska, Joanna Muszkowska-Penson, Wanda Traczyk-Stawska, Janina Wasiłojć-Smoleńska »Jachna«, Elżbieta Zahorska i Elżbieta Zawacka niosły na swoich plecach bagaż trudnych doświadczeń, a mimo to wciąż swoim zaangażowaniem chciały wpłynąć na losy Polski. Odkryj ich charyzmę i siłę charakteru [...]”.

W muzealnym sklepiku można kupić parasol albo etui do okularów z hasłem: „Hart ducha, odwaga, pasja”. Jak się okazuje, gdy już Rafał Wnuk został dyrektorem Muzeum II Wojny Światowej, ktoś odkrył, że kwestii cnót heroicznych z lat wojny nie da się pominąć. Mogę się tylko ucieszyć. Choć, jak podejrzewam, pewnie długo jeszcze rozmaici pacyfiści będą mnie opisywać jako zwyrodnialca zafascynowanego krwawą rąbanką. Trudno. Taki los. ©℗

FOT. RODRIGO JIMENEZ/EPA/PAP

BLACKOUT SPARALIŻOWAŁ HISZPANIĘ I PORTUGALIĘ

Uziemione samoloty, zatrzymana kolej oraz pociągi metra, sparaliżowany ruch uliczny, brak Internetu i niedziałające telefony – to tylko niektóre skutki wielkiej awarii zasilania, która w ubiegły poniedziałek pozbawiła prądu mieszkańców większej części Hiszpanii oraz Portugalii. Straty mogą wynieść nawet kilka miliardów euro. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl cd69d1a612

dwaj panowie g

FOT. ROBERT CARDZIŃSKI

Co my robimy tą konwencją? My tą konwencją otwieramy oczy niedowiarkom!". Oto hasło, które sztabowcy PiS powinni sobie powiesić nad drzwiami. Tak się bowiem składa, że w dniach po konwencji kandydata Karola Tadeusza w Łodzi coś się ruszyło. Wcale nie mamy na myśli sondaży. Wiewiórki z PiS opowiadają natomiast, że ci, którzy kręcili nosem na Nawrockiego, naraz przypomnieli sobie, że są żywi i że nie tracą nadziei. To o tyle ważne, że wielu z obudzonych niedowiarków to aktyw partyjny niższego szczebla, który bardzo mocno angażował się w kampanię Andrzeja Sebastiana w 2015 r. A w Nawrockiego się dotąd nie angażował.

Swoją drogą, bardzo nam się podobało głośne wycie po tym, jak osoba głowy państwa wystąpiła na konwencji Karola Tadeusza. Podpowiadamy sztabowi Rafała Kazimierza: dla przeciwwagi zaproście Bronisława Komorowskiego i Lecha Wałęsę. Jesteśmy też przekonani, że gdybyście poprosili o wystąpienie na konwencji Andrzeja Sebastiana, to on nie odmówi.

Zaraz po konwencji Nawrockiego była, jak może pamiętacie (to było dawno temu, przed majówką), debata w „Superaku". Oglądaliśmy ją jak mecz piłkarski – w knajpie. Oprócz nas bawili tam zwolennicy obecnego reżimu, którzy na obsłudze wymogli, by po debacie włączyć TVN24 i posłuchać, co mają myśleć. I tutaj było lepiej niż w czasie debaty. Otóż zaproszona do studia pani dr hab. Karolina Wigura ku zgrozie zgromadzonych stwierdziła, że wygrał Karol Nawrocki, i w dodatku szczegółowo to argumentowała. „Pisowska wywłoka" było najładniejszym określeniem, które padło w knajpie pod adresem pani naukowiec. Ktoś jednak postanowił sprawdzić, kim właściwie jest ta pani, i wygooglał to w komórce. Po kwerendzie skonstatował: „Słuchajcie, ona jest nasza". Zapadła grobowa cisza.

Tymczasem w Watykanie zaczyna się konklawe – czyli wybory jeszcze ciekawsze od tych w Polsce. Jak wiadomo, Duch Święty nigdy się nie myli, kardynałowie natomiast – tak. Czekamy więc z zainteresowaniem. Mamy oczywiście swojego kandydata, którego cenimy, gdyż czytaliśmy jego książki. To kardynał Robert Sarah. Uważamy, że świat jest już gotowy na papieża niebiałonormatywnego.

Żeby mogło dojść do konklawe, musiał najpierw odejść z tego padołu poprzedni papież, znaczy Franciszek. Niespodziewanie na najważniejszą postać ceremonii pogrzebowej w Rzymie wyrósł nasz prosty chłopak, Szymek z Białegostoku, ten od Hołowniów. Nie będziemy jednak kpili z tego, że wyjął smartfona i robił sobie na placu św. Piotra fotki. Widzicie, to dość proste. Wielu sądzi, że Szymek to self-made man. A to tylko selfie-made man.

Jakby ktoś przegapił, to donosimy, że Zły Donald z Sopotu ogłosił „narodową doktrynę piastowską". Jesteśmy nieco zdezorientowani, gdyż pamiętamy ze szkół w PRL, że doktryna piastowska była radykalnie antyniemiecka. Odczuwamy więc dysonans poznawczy. Mamy też inne wątpliwości. Otóż oryginalny Piast Kołodziej był, jak zapisali kronikarze, człekiem „niskiego wzrostu, za to silnego ciałem i pięknego wyglądu". Z kolei Bolesław Chrobry miał wielki tłusty brzuch „i na koniu ledwo mógł siedzieć, lecz był roztropny." Jak widzicie, zupełnie nic w doktrynie Tuska się nie zgadza.

Uczelnia zwana Uniwersytetem Koło Samej Warszawy lub „Ukswordem", czyli UKSW, ma w swoim gronie bardzo ciekawych wykładowców. Otóż profesorem uczelnianym jest tam niejaki Jarosław Drozd. Nic wam to nie mówi? Otóż to były dyplomata, który razem z Tomaszem Turowskim, funkcjonariuszem komunistycznego wywiadu, oczekiwał na płycie lotniska w Smoleńsku przylotu Lecha Kaczyńskiego. Co łączy Drozda z Turowskim? Tak, zgadli państwo. Też jest oficerem tego samego komunistycznego wywiadu pod tzw. przykryciem dyplomatycznym. W tej sytuacji przestaje nas dziwić, że córki Turowskiego swojego czasu wybrały tę właśnie uczelnię na swoją Alma Mater. Przy okazji pozdrawiamy nowego metropolitę warszawskiego abp. Adriana Galbasa, który jest Wielkim Kanclerzem tej uczelni odwołującej się do dziedzictwa Prymasa Tysiąclecia.

Pamiętacie jeszcze niejakiego Wojciecha Brochwicza znanego też jako Raduchowski? To facet ze słynnej ekipy w Urzędzie Ochrony Państwa, którą tworzyli razem z Piotrem Niemczykiem i Kostkiem Miodowiczem. Otóż Brochwicz wrócił na stare śmieci i stał się głównym kadrowym w resorcie. A jak wiadomo, kadry decydują o wszystkim. Jednak Brochwicz zajmuje się nie tylko obecnymi, lecz także dawnymi kadrami resortu. Nasze wiewiórki twierdzą, że to właśnie on jest głównym autorem demontażu ustawy dezubekizacyjnej. I masowo przywraca zdeubekizowanym świadczenia, a do tego jeszcze wyrównania. Za okres, kiedy mieli obcięte emerytury. To nie są małe pieniądze.

Z Niemiec. Zapadła tam decyzja o zwiększeniu produkcji amunicji. Słusznie. Ale nie w Niemczech, gdyż ten pokojowy kraj brzydzi się posiadaniem broni i armii, czego dowodem aktualny stan Bundeswehry. Jako że zagrożenie idzie ze wschodu, amunicja będzie produkowana w Hiszpanii. Czemu na przykład nie w Polsce? Dla tych, którzy nie rozumieją, wszystko tłumaczymy. Hiszpania jest dużo bliżej Niemiec niż Polska. W Hiszpanii wszystko jest tańsze niż w Polsce. Hiszpanie są dużo bardziej pracowici od Polaków. Hiszpania jest też najważniejszym krajem wschodniej flanki NATO. Jak długo jeszcze mamy powtarzać rzeczy oczywiste? ©℗

eprasa.pl cd69d1a612

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

„Hrabia Zcałejpolski" wraca

Dzisiaj potrzebujemy prezydenta Rzeczypospolitej, który jest z waszego wyboru, a nie z wyboru jakiegokolwiek polityka. Który nikomu się nie będzie kłaniał, poza wami! Głęboko wierzę, że cała Polska, my wszyscy, możemy wygrać. Wierzę, że każdy z nas może spełniać swoje marzenia. Wygra cała Polska – tylko wtedy, jeżeli będziemy zjednoczeni. Jeżeli odrzucimy podziały. Wygramy tylko wtedy, jeżeli silni będą pomagali słabszym. Bo tak nas wychowano! Wygramy, jeśli w najważniejszych sprawach wszyscy będziemy mówili jednym głosem. Kiedy będziemy pamiętać, że wróg jest na wschodzie, a na zachodzie Polski jest dobrobyt i tam są nasi przyjaciele. Wygramy wtedy, kiedy będziemy mieli świadomość, że to, iż jesteśmy różni, nas wszystkich wzbogaca. Dlatego, że jesteśmy wszyscy Polakami. Wygramy wtedy, kiedy będziemy wszyscy stali pod biało-czerwoną! Nie ma lepszego miejsca do mieszkania niż Polska nasza, Ojczyzna. I będziemy silni wtedy tylko, kiedy nie damy się – podzielić. Wtedy będziemy silni! Wtedy, kiedy sprawimy, że Polska będzie silna. Że Polska będzie dumna. I nigdy sobie tej dumy nie damy zabrać! Wtedy będziemy silni, kiedy będziemy – razem! I wtedy – cała Polska wygra!".

Ciekawe, czy zgadną państwo, czyje to przemówienie na wyborczym wiecu spisałem powyżej – klnę się, że słowo w słowo, nic nie dodając ani nie omijając i starając się wiernie oddać charakterystyczną intonację mówcy interpunkcją. Zresztą spisuję materiał popularny w Internecie, każdy może zweryfikować. No więc: Bronisław Komorowski w 2015 r. czy Rafał Trzaskowski teraz?

Dla ułatwienia jeszcze jeden fragment, może z tego samego wiecu, a może z innego: „Trzeba budować Polskę dla wszystkich. Niezależnie od tego, na kogo kto głosuje i jakie ma sympatie polityczne. Bo metro musi dojechać do wszystkich!".

Metro – i teraz już wiadomo wszystko. Tak, to Rafał Trzaskowski, kampania prezydencka w 2025 r. Nie przypadkiem staranniej dokumentowana przez konta internetowe związane z PiS niż te z PO. ©℗

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Niedemokratyczna przyzwoitość

MAREK JUREK

Zdrowe państwo to państwo, w którym nie trzeba kogoś afirmować ze względu na wiek, kolor skóry czy płeć". Mentzen? Nie, Tusk.

Najbardziej jednak w nacjonalistyczno-gospodarczych perorach premiera porusza fragment o przedsiębiorstwach państwowych. Tusk oświadczył, że „gdyby tylko maksymalizacja zysku Skarbu Państwa miała sens, to właściwie po co państwo w takiej spółce?". Przez 40 lat jego środowisko zwalczało wszystkich głoszących podobne poglądy. Teraz Tusk z groźną miną zapowiada, że choć „podniesie się szum jego współpracowników i menedżerów państwowych firm", to będą jednak musieli „systematycznie raportować" i przy „zamówieniach preferować polskie firmy". Trudno, żeby nie „podniósł się szum" w głowach tych skołowanych ludzi, którzy nie wiedzą, czy to przedstawienie to na dłużej czy tylko na wybory.

Wśród prorządowych dziennikarzy słychać też coś w rodzaju szumu, ale to raczej pomruk zachwytu nad umysłową, emocjonalną i wyborczą elastycznością Donalda Tuska. Drugiego takiego naprawdę nie ma!

Pisałem niedawno o nowym dwójmyśleniu. Stare, orwellowskie wywoływało wstyd i ból. Okudżawa śpiewał, że po drugim kłamstwie robi się pusto w głowie, a trzecie – „głębiej rani niż na wojnie wróg". Oczywiście raniło kiedyś inteligentów, którym brak było hartu dzisiejszych przywódców klasy medialno-politycznej. Ale ci nie są sami. Ich premią są euforia i zachwyt zwolenników, bo system wyborczo-medialny to spektakl. Chodzi, owszem, o konkurencję. Ale nie poglądów, tylko ich efektownego udawania.

Państwo demokratyczne natomiast, jeśli ma pozostać państwem, opiera się na opinii publicznej. Kto ją wyzuwa z treści – niszczy podstawę państwa, samo państwo. I państwa będzie istotnie coraz mniej, choć władzy – coraz więcej. Tak się rozwija nieliberalna demokracja. ©℗

eprasa.pl cd69d1a612

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Dzień hańby

25 kwietnia Italia świętowała Dzień Wyzwolenia. Osiemdziesiąt lat wcześniej Narodowy Komitet Wyzwolenia Północnych Włoch proklamował powstanie. To też dzień hołdu składanego pamięci 45 tys. poległych włoskich partyzantów.

W Mediolanie doszło do awantury, bo na czele pochodu chcieli iść Włosi arabskiego pochodzenia wraz z całą galaktyką organizacji włoskiej szajbolewicy (tzw. ProPal), które uznały, że Dzień Wyzwolenia powinien być dniem walki o sprawę palestyńską. Po przepychankach na czoło wysforowało się Narodowe Stowarzyszenie Partyzantów. Niemniej jednak, podobnie jak w Rzymie, Parmie czy Turynie, pojawiło się mnóstwo palestyńskich flag, nie mówiąc o czerwonych z sierpomłotem. W Dniu Wyzwolenia od faszyzmu i nazizmu było to co najmniej niefortunne, bo Wielki Mufti Jerozolimy Al-Hadżdż Muhammad Amin al-Husajni (sprawował ten honor w latach 1921–1948) był wielkim zwolennikiem i sojusznikiem Hitlera, szczególnie jeśli chodzi o ludobójstwo Żydów. Natomiast w Turynie fanatycy „ProPalu" przepędzili z pochodu ludzi z flagami Ukrainy. Za to w Rzymie w pochodzie pojawiła się flaga Hamasu, a także portret i żądanie uwolnienia niejakiego Anana Yaeesha, który trafił za kratki, bo planował zamachy terrorystyczne.

Niesiono również wielkie zdjęcie Liliany Segre, włoskiej dożywotniej senator, która jako dziecko została wywieziona do Auschwitz, z podpisem „nazistka i syjonistka". Tradycyjnie zaatakowani zostali przedstawiciele Brygady Żydowskiej, która w czasie drugiej wojny walczyła u boku Brytyjczyków, również w Italii. W Bergamo rannych zostało siedmiu policjantów chroniących manifestantów BŻ. Natomiast w Mediolanie atmosfera była tak napięta, że żydowscy demonstranci na prośbę policji opuścili pochód, zanim wyruszył. Przeżyliśmy więc Dzień Wyzwolenia po islamsku.

Poza tym szalone lewactwo spaliło flagi NATO i Unii Europejskiej, bo ta chce się zbroić. Zdaniem oszołomów trzeba przeznaczyć te 800 mld euro na służbę zdrowia i w dobrym zdrowiu, z olimpijskim spokojem, czekać na ruskich. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl cd69d1a612

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

WOJNA BYŁYCH

Jeszcze niedawno deklaracje miłości, słowa o „międzygalaktycznej więzi", wyjazdy i ścianki, a teraz wzajemne szpilki w mediach. Tak zakończył się związek Julii Wieniawy z Nikodemem Rozbickim. Przez dłuższy czas byli partnerzy milczeli, ale aktor poszedł do programu Kuby Wojewódzkiego i przestało być sympatycznie. Showman zagaił: – Julka mi powiedziała: „Gdyby nie był taki uparty, byłby miłością mojego życia". Rozbicki nie stracił rezonu i odpowiedział z uśmiechem: „Dobrze, że doprecyzowałeś, o którą Julię chodzi". Dodał, że już teraz stara się być bardziej stabilny w uczuciach, bo wyrósł z przelotnych miłostek. Tych złośliwości nie mogła pozostawić bez komentarza Wieniawa. Na InstaStories opublikowała wymowne nagranie z łazienki, na którym w białym szlafroku zanurza twarz w lodowatej wodzie. „Robicie sobie czasem takie poranki? Kubeł zimnej wody... niektórym by się przydał hehe" – napisała. Niedługo później gwiazda udostępniła rolkę z fragmentem swojej piosenki „Od nowa", której premiera już w piątek. Użyty fragment tekstu też od razu nasunął na myśl odniesienie do byłego: „Został ci tylko kontakt do mnie. Chwal się, chwal... od nowa". Oj, chyba zabolało.

FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

FITNESSKA POD OSTRZAŁEM

Najbardziej znana polska fitinfluencerka Ewa Chodakowska postanowiła odpowiedzieć na kierowane pod jej adresem zarzuty. Chodzi o to, że niektóre internautki obarczają ją winą za nadmierne przykładanie przez siebie nomen omen wagi do szczupłej sylwetki. Według nich promowanie stylu fitness poprzez organizowanie kolejnych, internetowych wyzwań sportowo-dietetycznych może wpędzić w kompleksy. „W oparach absurdu. Sama nie wierzę, że to muszę wyjaśniać, ale mam dość słuchania, że ktoś z mojej winy: zapędził się w wyzwaniach, zaczął trenować ponad normę, zaczął schodzić poniżej zdrowego deficytu kalorycznego, zaczął wywierać na sobie presję, zaczął nakładać na siebie restrykcje, obrał kierunek autodestrukcji [...]. Ty jesteś dorosła, odpowiedzialna i dołączasz do wyzwań z własnej woli" – oburza się Chodakowska. Ma dla swoich obserwatorów radę: „Zanim zaczniesz ze mną trenować (czy z kimkolwiek innym), zacznij od selflove". „Twoje ciało może więcej, niż podpowiada Ci umysł! [...]. Umysł jest dużo bardziej leniwy i podda się dużo szybciej niż ciało! To nie znaczy, że masz trenować ze zwichniętą kostką, to znaczy, że możesz zrobić jedno powtórzenie więcej" – wskazała trenerka. W komentarzach pod postem wybuchła ostra kłótnia, jednak influencerka nie zmienia zdania. Powtórzyła stwierdzenie o „lenistwie pod płaszczykiem akceptacji". „Mam dość demonizowania piękna, demonizowania dbania o siebie, demonizowania świadomej i mądrej pracy nad ciałem, chodzenia na palcach wokół hasła »body positivity«, które dziś dla wielu stało się wymówką!" – stwierdziła. Grabisz sobie, Ewa, grabisz.

OPERACJA WYSOKIEGO RYZYKA

Znana przede wszystkim z licznych, niekończących się operacji plastycznych „Laluna Unique" znowu wybrała się do Turcji. Nie na plażę, ale do kliniki. Pech chciał, że akurat w czasie, gdy celebrytka przechodziła kolejny „upiększający zabieg", w Stambule miało miejsce trzęsienie ziemi o magnitudzie 6,2. Celebrytka opublikowała nagranie, na którym widzimy ją z zabandażowaną głową i zaschniętą krwią na twarzy. – Cześć, kochani, jestem po operacji już parę godzin – zaczęła. – Niestety, przeżyliśmy potężne trzęsienie ziemi. Żyję, operacja przebiegła wspaniale. Opieka niesamowita mimo trzęsienia ziemi. Zadbali o mnie w 100 proc. Piję herbatkę, płakałam cały czas, bo bałam się, że wróci to trzęsienie. Ale jakoś daję radę – uspokoiła fanów. „Laluna" podzieliła się też z obserwatorami reakcją swojej mamy na operację. Kobieta postanowiła zażartować z córki, sugerując, że wygląda jak Azjatka. „Zamówię jedzenie chińskie u Ciebie? Zrobisz sushi, jak przyjedziesz" – komentowała. Córka ledwo uszła z życiem, a matka żartuje. No kto to widział?!

DANIEL ZNOWU NADAJE

Młody Martyniuk, syn Zenka Martyniuka, powraca do mediów niczym bumerang. Niepokorny awanturnik był kiedyś żonaty z Eweliną, z którą ma córkę. W rozmowie z Żurnalistą wyznał, że ślub był porażką, a jednym powodem było to, iż para spodziewała się dziecka. Na początku Daniel liczył, że może związek uda się uratować, ale rozwód był nieunikniony. – Od tego wszystkiego się zaczęło, od tego całego ślubu. To był najgorszy dzień w moim życiu, ten ślub. Bez kitu. Oboje tego nie chcieliśmy [...]. Po tej uroczystości to ona pojechała do siebie do domu, a ja do siebie do Warszawy. To dziwactwo było, to nie wiem, co to było. Porażka [...]. To było czyste zło – opowiadał syn discopolowca. – Od razu powinienem sprzed kościoła uciec. Ja w ogóle uciekałem z kościoła, tylko księdza spotkałem. Spotkałem też teścia, teścia olałem. Była taka lipa, nie wiem, a powinienem od razu wyjść. I gdyby tak się skończyło, byłoby super. Gdybym mógł cofnąć czas, to tak bym właśnie zrobił – wyznał Daniel Martyniuk. Bez komentarza. ©℗

eprasa.pl cd69d1a612

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak tam po spring holidays? Wróciliście do korpo wypoczęci, pełni energii, nowych planów i z gotowymi do realizacji projektami? Ha, ha, no wiadomo, że nie xD.

Otósh widzieliśmy dzisiaj wyniki badania, według którego tylko co 10. Polak angażuje się w swoją pracę. Tak się składa, iż nas w kolektywie jest tylko siedem, Nowy z Tarnowa jest ósmy, a zatem statystyka wyraźnie pokazuje, iż w naszym korpo wszyscy mają pracę w głębokim poważaniu.

No bo zastanówmy się: Dlaczego mamy się angażować? Dla nas wystarczającym przejawem zaangażowania jest to, że dzień w dzień wstajemy na tę ósmą i przychodzimy do biura, iż Nowy zlikwidował nam możliwość pracy zdalnej, twierdząc, że potrzebuje mieć nad nami większą kontrolę, bo w domach to się pewnie obijamy. Oczywiście, że ma rację, ale nie od razu powinno to oznaczać, iż musimy codziennie wysiadywać w biurze doopogodziny.

Czujemy jednak trochę dysonansu między tym, co naprawdę myślimy, a tym, do czego aspirujemy w mediach społecznościowych, zwłaszcza na LinkedInie, gdzie lubimy się pokazywać jako kreatywni profesjonaliści – dynamiczni, z chęcią zdobywający nową wiedzę i dzielący się życiowymi przemyśleniami typu: „Stanie w kolejce do samoobsługowej kasy w Lidlu uświadomiło nam, że cierpliwość to pierwszy krok do samodoskonalenia, a jeśli liczysz, że ktoś za ciebie skasuje produkty, to świadczy o tym, iż nie jesteś dojrzały na tyle, aby wziąć sprawy w swoje ręce”.

Co więcej, wyniki tego samego badania mówią, że z powodu niezaangażowanych pracowników globalne straty sięgają setki pierdyliardów dolarów. A zatem widać już, kto jest głównym prowodyrem światowego kryzysu ekonomicznego – gnuśni, znudzeni, nieefektywni pracownicy biorący hajs za nic i spędzający dnie pracy w social mediach. Gdyby nie oni, biznes z pewnością radziłby sobie lepiej.

Poczuliśmy się wyjątkowo nieprzyjemnie, przeczytawszy informację o tym, iż Polska znów będzie produkować czołgi. Po pierwsze dlatego, iż liczyliśmy na jakieś poważne zaawansowane nowoczesne technologie, a czołgi to technologia przestarzała, z której korzystali już nawet naziści w czasie wojny. Po drugie dlatego, iż w bardzo niemiły sposób przypomina nam to o zagrożeniu militarnym, wojnie i panu Putinie. A po trzecie dlatego, iż czołgi, podobnie jak karabiny, granaty czy łodzie podwodne, służą do zadawania przemocy, a my się brzydzimy przemocą inną niż werbalna w stosunku do przeciwników tolerancji i demokracji.

Wolelibyśmy, iżby ten kraj skupił się na czymś innym. Jeśli outsourcing usług IT wychodzi mu coraz słabiej, to może chociaż produkowalibyśmy jakieś neutralne gadżety, jak np. długopisy, zabawki dla kotoosób czy piłki lekarskie.

Czołgami ani nie nadrobimy luki technologicznej w stosunku do Zachodu (dużo ostatnio czytamy, stąd też znamy takie mądre pojęcia i potrafimy je – uważajcie teraz! – zoperacjonalizować xD), ani nie wygramy żadnej wojny, ani nie zrobimy na nikim wrażenia. No chyba że pis odzyska władzę i znów będzie robił te okropne falliczne procesje z okazji święta Wojska Polskiego, z tymi wszystkimi karabinami, lufami – obrzydliwe. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Inscenizacja

Donald, mam pomysł na te uroczystości rocznicy koronacji.
Sławek, po genialnej debacie, którą wymyśliliście Rafałowi z Basią, ja bym już żadnych pomysłów od was nie brał.

Ale nie, słuchaj, zrobilibyśmy inscenizację koronacji!
Ale że jak?

Normalnie: że Bolkowi koronę zakładają...
Wałęsę chcesz koronować?

Oj nie, nie tego Bolka. Chrobremu znaczy. I teraz uwaga: jako Bolka – znaczy: Chrobrego – obsadzimy Rafała. Nikt się nie będzie mógł czepić, bo powiemy, że to wyraz głębokiego patriotyzmu. No i co myślisz?
Myślę, że weź urlop. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Opóźnia się Msza chyba przez rozmowy Trump – Żeleński” [pisownia oryg.]

ROMAN GIERTYCH, *poseł KO, na platformie X podczas uroczystości pogrzebowych papieża Franciszka*

eprasa.pl cd69d1a612

Ku islamizacji Polski?

Kacper Kita

Od kilkudziesięciu lat postępuje islamizacja Europy poprzez masową imigrację. Polacy przez długie lata powtarzali: „Nigdy nie pozwolimy, żeby nasz kraj powtórzył błędy Europy Zachodniej". Dziś jesteśmy jednak na tej samej drodze. Pojawia się więc pytanie: Czy opór społeczny będzie wystarczająco silny, żeby zatrzymać pełzającą depolonizację Polski?

Polskę obiegły ostatnio szokujące nagrania muzułmanów modlących się na ulicach Gdańska z okazji zakończenia ramadanu. Widoki znane z Francji czy ze Szwecji stają się powoli rzeczywistością naszych miast. Polska idzie drogą Europy Zachodniej, choć teoretycznie wszyscy politycy od prawa do lewa są temu przeciwni.

Pikanterii sytuacji dodaje fakt, że właśnie świętujemy tysiąclecie powstania Królestwa Polskiego. Polska powstała jako państwo chrześcijańskie i była nim przez ogromną większość naszej historii, choć odniesienia do Chrystusowej religii zwalczali zaborcy, okupanci, komuniści i część „postępowych elit" III RP. Polacy postrzegali swoją misję jako przedmurze chrześcijaństwa, ponieważ wielokrotnie w naszej historii stawialiśmy czoła naporowi islamu na Europę. Zwycięstwo sił Sobieskiego pod Wiedniem to tylko jeden – wyjątkowo widowiskowy – przykład sukcesu Polaków w zderzeniu z próbami muzułmańskiego podboju. Do tych chwalebnych kart z dziejów naszych przodków chętnie wracaliśmy potem w trudniejszych chwilach narodowego upadku. O nich chętnie przypominamy także innym, a Wiedeń to triumf polskiego oręża najbardziej znany poza naszymi granicami, zwłaszcza w środowiskach konserwatywnych i patriotycznych – choć oczywiście Austriacy chętnie eksponują swoją rolę w tym zwycięstwie.

eprasa.pl cd69d1a612

Zakończenie ramadanu, Gdańsk, 30 marca 2025 r.
FOT. TROJMIASTO.PL/FILM CZYTELNIKA

Walki z muzułmańskimi najazdami rzeczywiście mogą zaś łączyć europejskie narody jako wspólne, wielowiekowe doświadczenie historyczne. Warto pamiętać, że nie minęło nawet 100 lat od powstania religii Mahometa, gdy jego wyznawcy skutecznie opanowali Hiszpanię. Kto wie, jak potoczyłyby się losy nas wszystkich, gdyby nie zatrzymanie islamskiej agresji na państwo Franków w 732 r. pod Poitiers przez wojów Karola Młota. Hiszpanom odzyskanie ojczyzny zajęło aż ponad siedem wieków, a upór pokoleń chrześcijańskich rycerzy biorących udział w rekonkwiście może być wzorem determinacji także w walkach, które mogą wydawać się beznadziejne.

Choć jednak imperium osmańskie rozpadło się wskutek pierwszej wojny światowej, a Europa była prawie w całości chrześcijańska, to od kilkudziesięciu lat ma miejsce islamizacja Europy innymi metodami – poprzez masową imigrację. Polacy przez długie lata powtarzali: „Nigdy nie pozwolimy, żeby nasz kraj powtórzył błędy Europy Zachodniej". Dziś jesteśmy jednak na tej samej drodze. Pojawia się więc pytanie: Czy opór społeczny będzie wystarczająco silny, żeby zatrzymać pełzającą depolonizację Polski i wymusić na politykach realne działania, a nie tylko gromkie patriotyczne frazesy?

TAK SAMO ZACZYNAŁO SIĘ NA ZACHODZIE

Warto pamiętać, że także zmiany demograficzne we Francji, w Szwecji, Wielkiej Brytanii czy Niemczech zaszły stopniowo i w sposób zakamuflowany przed społeczeństwem. Nigdy nie było pojedynczego momentu otwartej decyzji, w którym ktoś powiedziałby Brytyjczykom czy Niemcom: „Gdy dojdę do władzy, osiedlę w naszym kraju kilka milionów muzułmanów", a następnie wygrał wybory na takim programie. Klasa polityczna odgórnie narzuciła zachodnioeuropejskim narodom rozmontowanie ich spójności i tożsamości, często także stygmatyzując stawiających opór. Enoch Powell czy Jean-Marie Le Pen, którzy od razu przestrzegali przed negatywnymi skutkami imigracji, stali się „niebezpiecznymi ekstremistami" rytualnie potępianymi w mediach, „niedotykalnymi" pariasami, których izolacja jest warunkiem bycia przyzwoitym człowiekiem i wyznacznikiem moralności.

Najpierw mówiono ludziom, że nic takiego się nie dzieje, islamska (i inna obca kulturowo) imigracja jest czasowa i na niewielką skalę oraz wynika wyłącznie z chwilowych potrzeb gospodarki. Każdy, kto widział narastające liczby muzułmanów i czuł się tym zaniepokojony, był zakłamanym, nietolerancyjnym rasistą rozsiewającym irracjonalne lęki, dziedzicem Hitlera i jego kolaborantów. Potem zaś, gdy po pewnym czasie imigrantów i ich potomków zrobiło się już odpowiednio wielu, liberalno-lewicowa propaganda przestawiała wajchę i używała odwrotnego argumentu – oto mleko się rozlało, tych ludzi są miliony, cała gospodarka jest od nich zależna, nie ma powrotu do przeszłości, te procesy są nieodwracalne. Musimy nauczyć się z nimi żyć, to ludzie tacy jak my, mają prawo do sprowadzania rodzin, praw socjalnych, politycznych itd. Musimy zbudować razem z nimi nowe, „różnorodne", wielokulturowe Szwecję czy Niemcy. Jednym słowem – ustępowanie im to najlepsze, co możemy zrobić, żeby żyć z nimi w pokoju!

EUROPA ZAWSZE BYŁA „RÓŻNORODNA"?

Kluczową narracją propagandową było też powtarzanie, że wcale nie doszło do radykalnej zmiany społecznej, bo tak naprawdę „islam zawsze był częścią Francji" czy Wielkiej Brytanii, a pozaeuropejska imigracja pozwoliła tym narodom się wzbogacić. Całe mrowie autorów nurtu „historii krytycznej" pisze podręczniki naukowe, popularne syntezy i książeczki dla dzieci o „od zawsze różnorodnych" europejskich narodach. Temu służą także kolejne filmy i seriale z wykwitami w rodzaju czarnoskórej Anny Boleyn, angielskiej królowej z XVI w.

Jest to wierutna bzdura, która zakłamuje fakt zajścia gigantycznej zmiany w ciągu ledwie dwóch–trzech ostatnich pokoleń. Wszystkie te kraje to były homogeniczne społeczeństwa – tak jak Polska do niedawna. Pokazują to konkretne dane, np. ze spisów powszechnych. Jeszcze w 1951 r. odsetek ludności niebiałej w Wielkiej Brytanii wynosił ledwie 0,1 proc. W 2021 r. było to już 17 proc. Najgłębsze zmiany zaszły w największych miastach – w aglomeracji londyńskiej biali stanowili w 2021 r. 54 proc., z czego tylko 37 proc. to biali Brytyjczycy. Rdzenni Brytyjczycy, którzy jeszcze niedawno byli 99 proc. ludności swojego kraju, stali się mniejszością we własnej stolicy – większość to imigranci lub ich potomkowie.

We Francji nie ma spisów z danymi etnicznymi, ale chociażby na podstawie oficjalnych danych rządowych możemy prześledzić liczbę muzułmańskich imion nadawanych nowo narodzonym dzieciom. W pierwszej połowie XX w. było to cały czas blisko 0 proc. Islam po prostu nie był we Francji obecny. W 1964 r. odsetek chłopców z muzułmańskimi imionami doszedł do 2 proc. Dziś wynosi już 22 proc., a w niektórych regionach większość. W epoce kolonialnej Europejczycy osiedlali się w innych krajach, ale pilnowali, by Indusi czy Arabowie pozostawali u siebie. Dziś mamy do

eprasa.pl cd69d1a612

czynienia z odwrotną sytuacją – to ludność muzułmańska i inna pozaeuropejska osiedla się na Starym Kontynencie, choć Europejczycy wycofali się z obszarów dawnych kolonii.

Oczywiście propaganda multi-kulti nie ma żadnych granic bezczelności – pojawiają się np. pomysły przedstawiania arabskiego panowania nad Hiszpanią przez kilkaset lat jako przykładu odwiecznej obecności islamu w Europie oraz koegzystencji muzułmanów i chrześcijan. Absurdem jest wreszcie twierdzenie, że to imigracja zbudowała gospodarczą potęgę europejskich narodów. Czy Francja, Niemcy lub Wielka Brytania były biedne przed latami 60. XX w.? Dlaczego to Europejczycy podbijali świat, kolonizując go, a nie na odwrót? Wszystko można powiedzieć o islamie, ale nie to, że nie był skłonny do ekspansji terytorialnej z użyciem brutalnej siły.

MIT I RP ORAZ POLSKICH TATARÓW

W Polsce widzimy dokładnie te same narracje dostosowane do naszych warunków. Jeszcze zupełnie niedawno – do okolic 2014 r. – byliśmy społeczeństwem jednolitym narodowościowo i religijnie. Masowa imigracja ukraińska – której także nie przedyskutowano otwarcie z Polakami – była najpierw przedstawiana jako wcale nie tak wielka, a dziś już jako nieuchronna i nieodwracalna. Tak jak na Zachodzie nie stworzono przestrzeni do normalnej debaty, w której tak poważna decyzja jak osiedlenie w kraju milionowej liczby cudzoziemców byłaby publicznie rozważona, a każdy mógłby przedstawić argumenty za i przeciw. Politycy zdecydowali za społeczeństwo, stawiając Polaków przed faktem dokonanym.

W polskich mediach także funkcjonuje już narracja „islam był tu od zawsze, uprzedzenia są bezpodstawne". Największym fetyszem wielu polskich liberałów i lewicowców – a także sporej części prawicy – są polscy Tatarzy. Marginalna grupka, która stanowi ok. 0,007 proc. populacji Polski, jest regionalną ciekawostką i żyje od wieków w izolacji od swoich współwyznawców, ma być dowodem na atrakcyjność Polski i bezproblemowość integracji muzułmanów. Na tej samej zasadzie – uogólniania pojedynczych i niereprezentatywnych przykładów na całość zjawiska – we Francji funkcjonuje

Wszystko można powiedzieć o islamie, ale nie to, że nie był skłonny do ekspansji terytorialnej z użyciem brutalnej siły

propagandowe twierdzenie o tym, że „imigranci zbudowali wielkość naszego kraju", bo z zewnątrz przyjechali Maria Skłodowska-Curie i Pablo Picasso. Polska chemiczka i hiszpański malarz to znakomity argument za osiedlaniem milionów Algierczyków – równie dobry jak istnienie Tatarów na Podlasiu za otwieraniem naszego kraju na tysiące Pakistańczyków czy Uzbeków. Co charakterystyczne, także meczet w Gdańsku, pod którym odbywały się te głośne modły, był pierwotnie wybudowany dla Tatarów, którzy zostali osiedleni w Trójmieście wskutek akcji „Wisła", ale został przejęty przez świeżych muzułmańskich imigrantów.

Skopiowana z Zachodu jest również narracja o rzekomo „naturalnej" wieloetniczności Polski w związku z dziedzictwem I RP. Przykładowo: we Francji mówi się analogicznie o „uniwersalnej Republice". Tego typu abstrakcyjne hasełka oświeceniowych mędrków służą do zaciemniania rzeczywistości i stawiania znaku równości między współczesną masową imigracją ludzi o silnej i wyraźnie obcej tożsamości – np. islamskiej – a zjawiskami w rodzaju osiedlania się w Polsce grup Czechów, Niemców czy Ormian pochodzących ze zbliżonego kręgu kulturowego i szybko spolonizowanych. Zapomina się też o tym, że tak I RP w okresie jagiellońskim i władców elekcyjnych, jak II RP nie były arkadyjskimi idyllami, ale mierzyły się z konfliktami etnicznymi i religijnymi.

SŁOWA POLITYKÓW A RZECZYWISTOŚĆ

Polskę z Europą Zachodnią łączy też niestety duży rozdźwięk między tym, co politycy mówią wyborcom, a tym, co realnie robią. Jacques Chirac, Nicolas Sarkozy, Angela Merkel, Boris Johnson – wszyscy oni pozorowali działania. Chirac mówił o „smrodzie" „muzułmanów i czarnych", „którego mają dość francuscy robotnicy". Sarkozy i Merkel – że „multi-kulti nie działa". Johnson o „muzułmankach w burkach, które wyglądają jak skrzynki pocztowe". Wielka Brytania pod jego przywództwem wyszła z Unii Europejskiej, ale następnie Partia Konserwatywna suwerennie osiedlała nad Tamizą setki tysięcy imigrantów, jeszcze więcej niż wcześniej. Johnson szedł też zresztą jeszcze dalej niż UE w radykalnej polityce klimatycznej – a jednocześnie wyćwiczył się w odgrywaniu swojskiego prawicowca w kampaniach wyborczych.

Rządzący w latach 2015–2023 PiS sprowadzał do Polski imigrantów na ogromną skalę, bynajmniej nie ograniczając się do Ukraińców i Białorusinów, ale osiedlając w Polsce także Indusów i muzułmanów – Banglijczyków, Pakistańczyków, Turków czy Uzbeków. Jednocześnie jego propaganda twierdziła, że PiS jest najlepszą zaporą przed imigracją, bo sprzeciwia się nielegalnej imigracji i unijnemu paktowi migracyjnemu. Systemowo oszukiwano Polaków – zdecydowana większość imigracji w Europie, która przyczyniła się do islamizacji i wzrostu przestępczości, to legalny napływ będący wynikiem suwerennych decyzji poszczególnych rządów, a nie Komisji Europejskiej.

Widowiskowych zamachów na Zachodzie – w rodzaju ataku na redakcję „Charlie Hebdo", zabicia trzech dziewczynek w Southport w lipcu ubiegłego roku czy niedawnego wjechania Saudyjczyka samochodem w tłum w Magdeburgu – dokonywali legalni imigranci albo wręcz obywatele danych krajów, potomkowie legalnych imigrantów. Oczywiście walka z nielegalną imigracją jest bardzo ważna. Jeśli ktoś jednak twierdzi, że problemy Europy sprowadzają się do imigracji nielegalnej, to albo świadomie kłamie, albo ma zerową wiedzę na ten temat. Także w Polsce to już zresztą widać – skatowanie Polaka w Śremie, zamieszki w centrum Słupska, zbiorowy gwałt na Polce pod Warszawą – wszystko to dzieła legalnych imigrantów zarobkowych z Kolumbii w ciągu ostatniego roku.

Ani obecny, ani poprzedni rząd nie zbudowali przy tym żadnych mechanizmów asymilacyjnych nawet wobec teoretycznie najłatwiejszych do polonizacji Białorusinów. Obowiązują także stare, liberalne przepisy uzyskania obywatelstwa – formalnie Polakiem może zostać

eprasa.pl cd69d1a612

Ośrodek Kultury Muzułmańskiej w Warszawie z największą muzułmańską salą modlitewną w Polsce FOT. JAKUB PORZYCKI/ANADOLU/AFP/EAST NEWS

każdy, kto przeżyje tu trzy lata z prawem stałego pobytu, ma aktualnie pracę i gdzie mieszkać oraz zda egzamin ze znajomości polskiego na poziomie B1 (czyli mówi w miarę komunikatywnie; to daleko do realnego opanowania naszego języka). Automatycznie polskie obywatelstwo otrzymają zatem później z krwi także wszyscy jego potomkowie, choćby już nie pracowali, nie mówili słowa po polsku i byli do naszego narodu nastawieni wrogo. Na papierze i z punktu widzenia prawa będą jednak takimi samymi Polakami jak my wszyscy. Zgodnie z obowiązującą konstytucją polskiego obywatelstwa nie da się odebrać. Potomków imigrantów, którzy zadbają o spełnienie niewygórowanych wymogów, nie będzie się więc dało deportować, choćby popełniali dowolnie makabryczne przestępstwa.

Tworzy to ogromne pole do działania dla lewicowych polityków, którym po prostu będzie się opłacać sztuczne kreowanie „Polaków", by ci na nich głosowali – tak jak wygląda to na Zachodzie. Jak nietrudno policzyć, jeśli w danym kraju np. 20 proc. wyborców stanowią ludzie obcego pochodzenia o silnej tożsamości, z których 90 proc. zawsze głosuje na lewicę, to prawicowy polityk, by wygrać, potrzebuje pozyskać już nie 50,1 proc., ale aż 61 proc. pozostałych. W ten sposób systemowo utrudnia się dojście do władzy siłom przeciwnym imigracji i islamowi.

Czemu więc także politycy deklarujący się jako prawicowi otwierają swój kraj? Oprócz mitu I RP i „mocarstwowości" przez sztuczne zwiększanie populacji (co jest znacznie prostsze niż walka z niską dzietnością Polaków) ważna jest z pewnością presja części biznesu, który chce sprowadzać tanią siłę roboczą. Wielkie międzynarodowe koncerny, takie jak Deloitte czy Ernst & Young, zatrudniają nawet w Polsce pełnoetatowych „specjalistów do spraw imigracji", których praca polega na „legalizacji cudzoziemców". Także niektóre polskie firmy naciskają na sprowadzanie pracowników, którzy będą mieli mniejsze wymagania niż Polacy. Jest to jednak myślenie krótkofalowe i obarczone wielkim ryzykiem – imigracja generuje bowiem ogrom kosztów, co pokazują liczne przykłady krajów Europy Zachodniej. Przykładowo: badacze z Uniwersytetu w Amsterdamie policzyli, że przybysze z Bliskiego Wschodu, Pakistanu, Turcji, Karaibów i Afryki kosztują holenderski budżet średnio od 200 tys. do 400 tys. euro na osobę w ciągu całego jej pobytu w Holandii.

Cudzoziemcy generują dodatkową presję na mieszkania i służbę zdrowia, szybko domagają się praw socjalnych i politycznych lub chcą sprowadzić swoje rodziny (co umożliwia im Europejska Konwencja Praw Człowieka i co oznacza koszty w szkolnictwie). To także wzrost przestępczości i zwiększone wydatki na policję. Podobnie jest z wydatkami na rozmaite szkolenia z „deradykalizacji" i próby asymilacji muzułmanów. Wielu tylko pozoruje chęć podjęcia legalnej pracy czy studiów, by dostać się do Europy. Wreszcie – dużo łatwiej wpuścić człowieka, niż go potem znaleźć i deportować, np. we Francji zaledwie 7 proc. sądowych nakazów opuszczenia terytorium kraju jest skutecznie wykonywane. Imigranci nabywają także prawa emerytalne. Co z tego, że uda się nimi częściowo opłacić emerytury dla Europejczyków, jeśli ktoś będzie potem pracować na ich emerytury? Wszystkie te koszty spadną nieuchronnie na rodzimego podatnika, w tym polskie firmy.

ILUZJA INŻYNIERII SPOŁECZNEJ

Imigracja teoretycznie mogłaby być opłacalna, gdyby obcych pracowników traktować naprawdę instrumentalnie, a po kilku latach pracy zmuszać do wyjazdu, zastępując nowymi. To jednak wizja utopijna, bo mówimy przecież o żywych ludziach i demoliberalnej Europie, a nie Arabii Saudyjskiej. Widzimy to już w Polsce, vide: ostatni strajk kierowców Ubera. Jedyną zaletą zagranicznych kierowców jest niska cena. Dzieci imigrantów, urodzone już w Polsce i nieznające warunków życia w kraju pochodzenia, będą tylko bardziej roszczeniowe. Badania pokazują, że o ile w latach 60. pierwsze pokolenie muzułmanów przybywających do Francji było podobnie „religijne" jak rdzenni Francuzi, o tyle od tego czasu tubylcy znacząco się zeświecczyli, a przybysze i ich dzieci stali się bardziej religijni. Tak zwana desekularyzacja dotyczy także tych, którzy odnieśli w Europie sukces materialny.

Muzułmanów dotyczy również zjawisko endogamii: 80–90 proc. z nich wiąże się z innymi muzułmanami i tworzy zamknięte społeczności. Rozwój technologii tylko ułatwia utrzymanie kontaktu z kulturą i religią przodków. Oświeceniowa utopia odgórnego ukształtowania przybyszów i ich potomków przez państwo na „świeckich, racjonalnych obywateli" poniosła porażkę w zderzeniu z islamem, choć politycy tacy jak Emmanuel Macron wciąż potrafią pokrzykiwać o „wojnie w imię oświecenia", gdy dżihadysta obetnie głowę nauczycielowi. Równolegle analogiczna inżynieria społeczna trwa wobec Europejczyków, których odgórna propaganda i „edukacja" mają dostosować do „multi-kulti" i wykorzenić z tożsamości narodowej czy chrześcijańskiej, co ma pomóc w „uniknięciu konfliktów" z przybyszami. Nie da się jednak uciec od brutalnych prawd historii, takich jak wieczna walka o terytorium i zasoby między obcymi sobie cywilizacjami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd69d1a612

W Szwecji w porachunkach imigranckich gangów co roku ginie kilkadziesiąt osób – i jest to europejski rekord. Na zdjęciu: zrozpaczone mieszkanki Sztokholmu

FOT. CLAUDIO BRESCIANI/TT NEWS AGENCY/AFP/EAST NEWS

Stan

Teresa Stylińska

Czy wobec napływu imigrantów mieszkańcy państw Zachodu mogą spać spokojnie czy mają powody, by bać się o swe bezpieczeństwo? To nie jest wyimaginowany problem, odpowiedzi zaś różnią się diametralnie

Badania sfinansowane przez UE, przeprowadzone przed dwoma laty w kilkunastu krajach Europy – nowych, starych i w Wielkiej Brytanii, a więc o różnych doświadczeniach z imigracją – przyniosły jednoznaczny wynik: nie ma żadnego dowodu, że napływ imigrantów pociąga za sobą wzrost przestępczości. „Rasizm rodzi się z niewiedzy" – podsumował je z przekonaniem ówczesny komisarz do spraw badań naukowych, Philippe Busquin.

Czy do takich wyników można podchodzić z pełnym zaufaniem? Są oparte na wymiernych danych, trudno więc zakładać, że celowo je zafałszowano. Jednak nie ma takiej tezy, której nie dałoby się uzasadnić, jak to pokazują kwestie klimatyczne. Diabeł tkwi więc w interpretacji.

Co najbardziej uderza, to jaskrawa rozbieżność między owymi wynikami a zwykłą, nienaukową obserwacją rzeczywistości. Zadają im kłam niemal codzienne doniesienia ze świata. Wynika z nich jasno, że to imigranci są sprawcami wielu przestępstw czy choćby tylko wykroczeń, poczynając od drobnych kradzieży i handlu narkotykami. Gdyby mieszkańcom krajów, które zmagają się z najazdem imigrantów, to nie przeszkadzało, partie antyimigranckie nie rosłyby tak szybko w siłę. We Włoszech, w Holandii i Szwecji już uczestniczą w rządach, choć dla establishmentu są nadal solą w oku, a kordon sanitarny, zwłaszcza we Francji i w Niemczech, działa jak zawsze.

OD DILERÓW DO TERRORYSTÓW

Napady na przechodniów, ataki nożowników, gwałty, strzelaniny na ulicach, porachunki wśród cudzoziemskich gangów, zamachy terrorystyczne – tradycyjne, z użyciem bomb i w nowym wydaniu z wykorzystaniem samochodów i ciężarówek... Sprawcy pochodzą z różnych części świata, od dalekiej Azji do północnej Afryki. Również z Europy – tej samej Europy, w której się wychowali albo znaleźli schronienie. Mieszkańcy Zachodu mają się z czym mierzyć.

Oto przykłady. Jeden z najgłośniejszych: rok 2015, noc sylwestrowa w Kolonii, w tłumie świętującym nadejście Nowego Roku setki kobiet doświadczają natarczywych zaczepek ze strony imigrantów. Jak bardzo natarczywych? Nad tym media niemieckie, nieuchybiające idei poprawności, za bardzo się nie rozwodzą. Sytuacja jest szokująca, tym bardziej że zaledwie parę miesięcy wcześniej władze niemieckie szeroko otworzyły przed tysiącami ludzi bramy kraju, upewniając ich i siebie, że z masowym ich napływem „dadzą sobie radę" – jak to ujęła ówczesna kanclerz Angela Merkel.

Najnowsze: 15 kwietnia 2025 r. w strzelaninie ulicznej w Göteborgu giną dwie osoby. Imigranckie gangi wojują ze sobą w wielu miejscach Europy, Szwecja jednak to przypadek nieporównywalny z żadnym innym. W porachunkach gangów co roku ginie kilkadziesiąt osób – i jest to europejski rekord.

Najbardziej szokujące: rok 2020, na podparyskim przedmieściu znalezione zostaje ciało człowieka z odrąbaną głową. Okazuje się, że to Samuel Paty, nauczyciel zamordowany przez pochodzącego z Czeczenii ucznia, któremu nie podobał się sposób, w jaki nauczyciel mówił o Koranie.

O największym oddźwięku: rok 2007, nieopodal Rzymu ofiarą młodego imigranta z Rumunii pada Giovanna Reggiani, żona admirała. Zostaje pobita, zgwałcona i zamordowana. Poruszenie opinii publicznej jest tak wielkie, że doprowadza do uchwalenia przepisów umożliwiających wydalenie z Włoch obywateli państw Unii Europejskiej. Latem 2017 r. na plaży koło Rimini grupa młodocianych imigrantów z Maroka i Nigerii napada na parę turystów z Polski. Kobieta zostaje wielokrotnie zgwałcona, mężczyzna pobity.

Wreszcie zamachy terrorystyczne – nieustająca seria od wielu, wielu lat. I nie chodzi o zamierzchłe czasy, od połowy lat 60. do końca lat 90., gdy terror

eprasa.pl cd69d1a612

zagrożenia

stosowały skrajna lewica i ugrupowania narodowe – włoskie Czerwone Brygady, niemiecka Frakcja Armii Czerwonej, irlandzka IRA, by wymienić najważniejsze. To rozdział zamknięty. Od ponad 20 lat postrachem Europy są islamiści, często – nazbyt często – znajdujący wsparcie wśród imigrantów muzułmańskich i w meczetach. To zarówno członkowie wrogich Zachodowi islamistycznych organizacji, jak i samotne wilki. Madryt, Londyn, Bruksela, Paryż, Nicea, Strasburg, Berlin, Wiedeń, Manchester, a ostatnio Magdeburg i Aschaffenburg – kolejne tragiczne przystanki.

WIELKA ŻYWA KRYJÓWKA

Przestępczość imigrantów to temat trudny. Nie tylko dlatego, że jest wielowątkowy i w dodatku obejmuje sprawy różnego kalibru. Kilka przedstawionych wyżej spektakularnych przypadków to te, które poruszyły opinię publiczną i pozostały w pamięci z uwagi na swą skalę bądź drastyczność.

Widok ciężarówki rozjeżdżającej ludzi budzi przerażenie, ale świadomość, że wyjście na ulicę może się źle skończyć, również wywołuje lęk

A przecież zagrożeń jest więcej. Weźmy ryzyko terroryzmu. To koronny argument, który pojawia się zawsze, gdy toczy się dyskusja o potrzebie ograniczenia napływu imigrantów do Europy. Mniej ludzi obcych, o niewiadomych powiązaniach, to większa szansa, że w mieście nie zaczną wybuchać bomby, auto nie rozjedzie ludzi na świątecznym jarmarku, a w pociągu nie pojawi się człowiek z nożem w ręku. Słowem: Europejczycy mogą czuć się bezpieczniej. Argument jest trafny i przemawia do wyobraźni, bo takie zagrożenie istnieje. Na co dzień jednak nie jest ono, jak się wydaje, czymś, co zwykły Anglik, Francuz czy Szwed byłby skłonny wkalkulować w swe plany. Fakt, że w Strasburgu doszło do zamachu, nie oznacza, iż należy omijać pobliski Colmar. Zamach w jednym miejscu nie przekłada się na stan zagrożenia w innym; to są zupełnie niezależne sprawy.

Kwestię tę zatem można ująć inaczej: Czy ludzie czują się bezpiecznie, wiedząc, że za rogiem kwitnie handel narkotykami? Że członkowie imigranckich gangów toczą ze sobą wojny, w których na linii strzału może znaleźć się Bogu ducha winny obywatel? Widok ciężarówki rozjeżdżającej ludzi w Nicei budzi przerażenie, ale świadomość, że wyjście na ulicę może się źle skończyć, również wywołuje lęk.

eprasa.pl cd69d1a612

Kolejny aspekt: kwestia przestępczości jest delikatna i ryzykowna politycznie. Poprawność każe widzieć w imigrantach ludzi, którzy wyruszyli w świat w poszukiwaniu lepszego losu. Z jakich powodów – politycznych czy ekonomicznych, ucieczki przed wojną czy ucieczki przed biedą – to bez znaczenia. Mają do tego prawo, jak każdy. Wiara w Świętego Imigranta każe w nim widzieć wyłącznie ofiarę złego losu. Nie mówimy oczywiście o ludziach, których przed laty sprowadzano z Turcji czy Maroka do pracy, a zatem przyjeżdżających legalnie, lecz o fali migracyjnej ostatnich lat. Potężna masa ludzka stanowiła wielką, żywą kryjówkę dla tych wszystkich, którzy wyruszyli do Europy niekoniecznie w dobrych zamiarach.

OSTROŻNIE Z KOLOREM SKÓRY!

Trudno nie dostrzegać, jak wiele błędów leży po stronie europejskiej. Kardynalnym jest unikanie kwestii przynależności etnicznej przestępców. Nie brakuje opowieści o tropieniu kogoś, kogo opisano dokładnie, poza drobnym szczegółem: kolorem skóry.

W Anglii przez całe lata bezkarnie działały pedofilskie gangi stręczycieli i mało kto, ze strachu przed posądzeniem o rasizm, miał odwagę mówić, że to imigranci, głównie z Pakistanu. Pochodzenia sprawców czy podejrzanych nie eksponuje się przede wszystkim dlatego, by nikogo nie piętnować, nie antagonizować i nie obarczać winą całych grup etnicznych. O jedno i drugie jest łatwo. Śmierć Giovanny Reggiani – okradzionej, wykorzystanej seksualnie i zabitej przez 28-letniego Rumuna – sprawiła, że na imigrantów rumuńskich we Włoszech padł blady strach – tak powszechne było przekonanie, że przyjdzie im doświadczyć odpowiedzialności zbiorowej, przynajmniej w wymiarze moralnym. Przy tej okazji zresztą władze włoskie, niejako pod presją, ujawniły, że wśród cudzoziemców we włoskich więzieniach najwięcej jest nie Rumunów, jak się powszechnie uważa, lecz Marokańczyków.

Opinia publiczna ma jednak prawo wiedzieć. Brytyjska dowiedziała się jesienią ubiegłego roku, gdy dziennik „Daily Telegraph" zamieścił informacje o pochodzeniu pensjonariuszy brytyjskich zakładów karnych. To bardzo szerokie spektrum. Okazało się, że w Anglii i Walii (bez Szkocji i Irlandii Północnej) w HMP, Więzieniach Jego Królewskiej Mości, przebywają przedstawiciele aż 130 narodowości i grup etnicznych. Prym bezapelacyjnie wiodą Albańczycy. Do więzienia trafia jeden Albańczyk na 50, przy całej ich populacji w Wielkiej Brytanii na poziomie 53 tys. Kolejne miejsca przypadły imigrantom z Kosowa (a zatem zapewne również Albańczykom), następnie przybyszom z Wietnamu, Algierii, Jamajki, Erytrei, Iraku i Somalii.

W Danii imigranci spoza Europy, stanowiący 8,4 proc. jej mieszkańców, popełniają 14 proc. ciężkich przestępstw i ponad 24 proc. gwałtów. Znaczna część sprawców to ludzie z tzw. MENAPT – Bliskiego Wschodu, Afryki Północnej, Pakistanu i Turcji

Były to informacje nieoficjalne. Wystąpił o nie do policji sam dziennik, powołując się na przepisy o prawie do informacji. Dane oficjalne, uwzględniające zarówno pochodzenie sprawców, jak rodzaj przestępstw, mają zostać przedstawione do końca tego roku. Obejmą przestępców czekających na deportację, której, w myśl brytyjskiego prawa, imigrant podlega automatycznie, jeżeli został skazany na karę co najmniej 12 miesięcy więzienia. W tym gronie, według „Daily Telegraph", najwięcej jest Albańczyków, Rumunów i, niestety, Polaków. To jednak dane w liczbach bezwzględnych, nie w przeliczeniu na liczebność danej społeczności.

STATYSTYKI PRZESTĘPSTW DOKONYWANYCH PRZEZ IMIGRANTÓW

Rozszczelnienie furtki informacyjnej sprawiło, że na jaw wychodzą coraz to nowe i coraz bardziej bulwersujące wiadomości. Taka na przykład, że za obserwowanym ostatnio wzrostem liczby przestępstw na tle seksualnym kryje się właśnie obecność Albańczyków. Albo to, że władzę w więzieniach przejmują gangi więźniów-muzułmanów.

Decyzja, jaką osobiście, mimo oporu podległych jej urzędników, podjęła minister spraw wewnętrznych Yvette Cooper to prawdziwy przełom. Jedynym w Europie państwem, które podaje pełną informację o przestępczości imigrantów, jest jak dotąd Dania. Stąd wiadomo, że imigranci spoza Europy, stanowiący 8,4 proc. jej mieszkańców, popełniają 14 proc. ciężkich przestępstw i ponad 24 proc. gwałtów. Znaczna część sprawców to ludzie z tzw. MENAPT - Bliskiego Wschodu, Afryki Północnej, Pakistanu i Turcji.

CHOWANIE GŁOWY W PIASEK

Popatrzmy na koniec na Szwecję i toczone przez gangi, zwłaszcza narkotykowe, wojny uliczne, które sprawiły, że Szwecja traci swój ładny wizerunek: kraju spokojnego, może nawet trochę nudnego, na pewno jednak praworządnego i takiego, w którym dobrze się żyje. Chociaż policja nie kryje, że gangi tworzą imigranci, to chowa po trosze głowę w piasek, nie eksponując informacji, z których krajów pochodzą.

Szczegóły, mało budujące, ujawniają media i badacze. To od dziennikarza śledczego Diamanta Salihu – z pochodzenia Albańczyka, który przybył do Szwecji jako dziecko w latach 90. – można się dowiedzieć, że organizację o nazwie Foxtrot stworzyli imigranci kurdyjscy i że wiele grup zabójstwa na zlecenie zleca dzieciom! Bo próg odpowiedzialności karnej to 15 lat.

Chowanie głowy w piasek przybiera też inną, nieco zawoalowaną formę. Niektórzy uważają, że kluczem do rozwiązania problemu jest rozbicie gangów, które organizują przerzut ludzi do Europy, zazwyczaj drogą morską. Na tym należy się skoncentrować. Brytyjski premier Keir Starmer pod koniec marca zorganizował więc w Londynie międzynarodową konferencję na ten temat. Byli przedstawiciele 40 krajów, jak zwykle padło mnóstwo słusznych uwag, w tym deklaracja Starmera, że gangi przemytników należy zwalczać tak jak terrorystów. Brzmi to dobrze – wcale jednak dobrze nie wróży. Ponieważ, jak uczy doświadczenie, wysokie tony zazwyczaj wyczerpują temat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd69d1a612

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

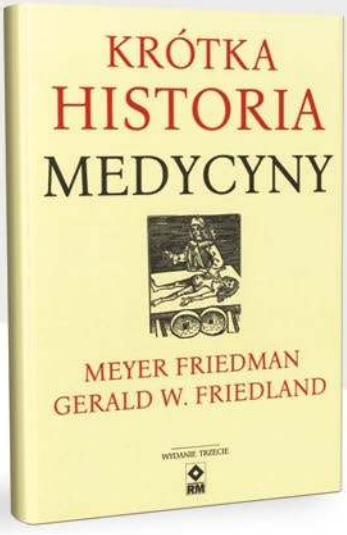

+

W PREZENCIE
KSIĄŻKA

MEYER FRIEDMAN, GERALD W.FRIEDLAND:
„KRÓTKA HISTORIA MEDYCYNY"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~756 ZŁ~~

291,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 465ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl cd69d1a612

Kościół żegna

Paweł Chmielewski

Odszedł papież Franciszek. Rządził Kościołem katolickim przez ponad 12 lat. Już wkrótce dowiemy się, kto będzie jego następcą

Śmierć papieża to dla katolików na całym świecie głęboko poruszająca chwila. Odchodzi najwyższy pasterz Kościoła – ten, który reprezentuje na ziemi samego Chrystusa. Zarazem jest to moment naturalny: jako że kardynałowie na papieży wybierają zwykle sędziwych ludzi, to na życie większości z nas przypada co najmniej kilka pontyfikatów.

Niewiele brakowało, by rządy Jorge Maria Bergoglia zakończyły się w dalece bardziej dramatycznych i niejasnych okolicznościach. Krótko po objęciu władzy Franciszek zapowiedział, że będzie rządzić najwyżej kilka lat. Planował rezygnację; chciał przeprowadzić reformę Kurii Rzymskiej, dokonać kilku zmian oczekiwanych przez wielu kardynałów i ustąpić, tak jak zrobił to Benedykt XVI. Gdyby zrealizował pierwotny zamiar, Kościół czekałby kolejny potężny kryzys. Rezygnacja Józefa Ratzingera była aktem zupełnie wyjątkowym i nieoczekiwanym, a wielu katolików nigdy jej nie zaakceptowało. Dla niektórych papież Franciszek pozostał „drugim" papieżem, bo tym pierwszym i prawdziwym miał pozostać Benedykt.

Kilku doświadczonych kardynałów – np. były prefekt Kongregacji Nauki Wiary Gerhard Müller – usilnie prosiło Jorge Maria Bergoglia, by nie szedł w ślady Ratzingera. Obawiali się, że jeżeli zrezygnuje, to dokona instytucjonalizacji papieża emeryta, a to mogłoby mieć dla Kościoła negatywne konsekwencje. Wydaje się, że Franciszek wziął sobie te ostrzeżenia do serca. Pozostał biskupem Rzymu do końca pomimo wyraźnych problemów zdrowotnych – trudności z chodzeniem, częstych chorób, osłabienia.

Mogło wydarzyć się coś jeszcze gorszego od śmierci i rezygnacji. Już w 2013 r. Bergoglio – idąc zresztą śladem swoich poprzedników – podpisał dokument, w którym warunkowo zrzekł się władzy papieskiej. Gdyby z powodu choroby stał się niezdolny do sprawowania swojej posługi, dziekan Kolegium Kardynalskiego – sui generis przewodniczący kardynałów – powinien ogłosić, że przestaje być papieżem i należy wybrać jego następcę. Brzmi rozsądnie? Tak, ale łatwo wyobrazić sobie czarny scenariusz. Osłabiony papież traci kontakt z rzeczywistością, ale wciąż żyje; ogłasza się, że traci papiestwo, i kardynałowie zbierają się, by wyłonić nowego następcę św. Piotra. Zdrowie poprzednika jednak się polepsza i „były papież" wraca do przytomności, ale na tronie św. Piotra zasiada już jego następca… Dopiero wtedy zaczęłyby się spekulacje, kto jest prawdziwym papieżem.

PROSTA SPRAWA SUKCESJI

Udało się jednak uniknąć takiego zamieszania. Dzięki temu sprawa sukcesji jest w sensie technicznym zupełnie prosta. Wkrótce w konklawe weźmie udział ponad 130 kardynałów. Jeżeli nie napotkają żadnych poważnych trudności i będą w stanie dojść do porozumienia, to tożsamość nowego papieża powinniśmy poznać najdalej w połowie maja, najpewniej nawet nieco wcześniej.

Na gruntowne podsumowanie pontyfikatu Jorge Maria Bergoglia przyjdzie jeszcze czas. Tu ograniczę się do kilku tylko punktów. Czytelnicy tygodnika „Do Rzeczy" wiedzą doskonale, że lata 2013–2025 były w Kościele katolickim okresem pełnym poważnych napięć i głębokich kontrowersji. Franciszek obdarzył katolików oczywiście również wieloma wartościowymi tekstami. Wyróżnia się wśród nich jego ostatnia encyklika – „Dilexit nos", pobożne rozważania o Sercu Jezusowym. Nieco wcześniej zatwierdził też publikację deklaracji „Dignitas infinita" o godności ludzkiej. Pomimo kilku dyskusyjnych stwierdzeń dokument ten stał się bardzo ważnym głosem w debacie o podmiotowości człowieka w epoce, która cechuje się dominacją głęboko antyhumanistycznych ideologii, takich jak transgenderyzm czy posthumanizm. Ojciec Święty upominał się też wielokrotnie o los wykluczonych przez biedę, stawał w obronie prawa naturalnego w takich kwestiach jak tożsamość płciowa, krytykował zapaść demograficzną Zachodu i nawoływał do otwartości na życie. Pogłębiona refleksja nad jego dorobkiem

eprasa.pl cd69d1a612

Franciszka

Trumna z ciałem papieża wystawiona dla wiernych w bazylice św. Piotra

FOT. JAMES VEYSEY/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

pozwoli, jak sądzę, wydobyć bardzo wiele istotnych akcentów, które będą pozytywnie kształtować przyszłość Kościoła katolickiego na świecie.

Jednakże Franciszek potrafił szokować – zarówno stylem sprawowania swojej władzy, sposobem komunikacji z mediami, jak i wreszcie konkretnymi decyzjami i tekstami. Chyba żaden inny papież w historii Kościoła nie wywołał tylu dyskusji co Jorge Mario Bergoglio. Stało się tak głównie za sprawą wielu wręcz rewolucyjnych dokumentów. Wśród nich można wymienić adhortację „Amoris laetitia", w której poruszono problem rozwodników w powtórnych związkach. Innym przykładem jest deklaracja z Abu Zabi mówiąca o dialogu międzyreligijnym. W 2023 r. prawdziwe trzęsienie ziemi wywołała wreszcie deklaracja „Fiducia supplicans" o błogosławieniu par jednopłciowych. Rzetelne uchwycenie wszystkich wątków jego pontyfikatu, złożonego i pełnego konfliktów, wymaga spokoju, a tego czas bezpośrednio po śmierci i pogrzebie nie może zapewnić.

CO BĘDZIE TERAZ Z KOŚCIOŁEM?

Dziś wszyscy zastanawiamy się nie tyle nad tym, co wydarzyło się przez ostatnie lata, ale raczej nad tym: Co będzie teraz z Kościołem? Giełda nazwisk, która towarzyszy zawsze każdemu konklawe, w przypadku nadchodzących wyborów jest dość specyficzna. Jako że papież Franciszek długo nosił się z myślą o rezygnacji, a ponadto bardzo często poważnie chorował, to watykaniści od dawna poświęcali dużą uwagę potencjalnym kandydatom na jego następcę. Niedawno opisywałem w tygodniku „Do Rzeczy" bezprecedensową inicjatywę dwojga watykanistów – Edwarda Pentina i Diane Montagny. Wraz z międzynarodową grupą dziennikarzy przygotowali stronę internetową („The College of Cardinals Report"), która gromadzi informacje na temat większości kardynałów. Dwunastu z nich Pentin i Montagna uznali za mających największe szanse na następstwo po Bergogliu. Lista jest bardzo reprezentatywna, a te same nazwiska padają też w artykułach innych watykanistów.

Kim według Pentina i Montagny są papabile? To trzej Włosi: obecny przewodniczący Episkopatu Włoch i metropolita Bolonii Matteo Zuppi; watykański sekretarz stanu Pietro Parolin; wreszcie – urodzony we Włoszech, ale posługujący w Ziemi Świętej Pierbattista Pizzaballa, łaciński patriarcha Jerozolimy. Na wąskiej liście znajduje się jeszcze czterech Europejczyków. To prymas Holandii Willem Eijk, arcybiskup Utrechtu; metropolita Marsylii – Francuz Jean-Marc Aveline; arcybiskup Budapesztu i przewodniczący Episkopatu Węgier – Peter Erdő; biskup Sztokholmu, szwedzki konwertyta z luteranizmu – Anders Arborelius. Do tego dochodzą dwaj Afrykanie i trzej Azjaci. Z Afryki pochodzą: Gwinejczyk Robert Sarah, były prefekt Kongregacji do spraw Kultu Bożego; Kongijczyk Fridolin Ambongo, arcybiskup Kinszasy i szef ogólnoafrykańskiej organizacji biskupów. Azjaci to: Malcom Ranjith ze Sri Lanki, Charles Bo z Mjanmy i – last but not least – Luis Tagle z Filipin, de facto kierujący Dykasterią do spraw Ewangelizacji.

Czytelnik zwrócił zapewne uwagę, że w wytypowanej przez Pentina i Montagnę dwunastce dominują kardynałowie z Europy. Pozornie może to zaskakiwać. Jak wiadomo, papież Franciszek dość konsekwentnie poszerzał skład Kolegium Kardynalskiego, chętnie włączając do niego duchownych z innych kontynentów, zwłaszcza z Ameryki Łacińskiej i Azji. Wydawałoby się zatem, że w tej sytuacji Europa musi odejść na drugi plan i następcą Jorge Maria Bergoglia powinien zostać ktoś, kto reprezentuje globalne Południe: niekoniecznie Latynos, ale może właśnie Azjata. Pentin i Montagna oczywiście biorą ten scenariusz pod uwagę – nie mniej sugerują inne rozwiązanie. Nie są w tym osamotnieni, bo za Europejczykiem przemawia niemało argumentów.

Przyczyna jest prosta. Kardynałowie znają się dzisiaj dosyć słabo. Papież dobierał ich z bardzo różnych miejsc świata – i nie dawał zbyt wielu okazji do tego, by mogli się nawzajem poznać. Fakt, że w Kolegium Kardynalskim zasiadają duchowni z Timoru Wschodniego, Indonezji,

eprasa.pl cd69d1a612

Japonii, Papui-Nowej Gwinei czy Singapuru nie oznacza automatycznie, że będą wspierać jakiegoś kandydata tylko dlatego, iż jest on Azjatą. Muszą wiedzieć, kim dokładnie jest – w Kościele kluczowa pozostaje osobista wiarygodność, a tej nie buduje się przez sam fakt pochodzenia, lecz raczej przez sprawowane urzędy i głoszone poglądy. Tu przewagę mają Europejczycy, a przede wszystkim Włosi. W epoce chaosu „włoski" wybór może być dla wielu kardynałów bardzo kuszący.

Wśród kandydatów z Italii szczególną uwagę zwracają watykański sekretarz stanu Pietro Parolin i przewodniczący Episkopatu Włoch Matteo Zuppi. Niezależnie od tego, na jakim stoją stanowisku w wielkich dyskusjach doktrynalnych i moralnych, obaj mają jedną niewątpliwie bardzo istotną zaletę: doświadczenie polityczne i dyplomatyczne. W burzliwej epoce międzynarodowej, w której kontestowany jest panujący przez wiele lat ład światowy, papież dobrze znający uwarunkowania w tym obszarze może być w ocenie kardynałów prawdziwym skarbem. Parolin od ponad 11 lat kieruje watykańską dyplomacją. Dzięki jego wysiłkom Watykan nie wpadł w tym czasie w żadną polityczną pułapkę, stając się zakładnikiem tego czy innego mocarstwa. W 2018 r., wbrew opinii wielu wpływowych amerykańskich polityków, Stolica Apostolska zawarła porozumienie z Chinami dotyczące mianowania biskupów. Kiedy wybuchła wojna na Ukrainie, Rzym stał zasadniczo po stronie napadniętego, ale nie podjął typowej dla krajów zachodnich ostrej krytyki Federacji Rosyjskiej, deklarując wręcz zrozumienie dla jej interesów. Po wybuchu kolejnej odsłony wojny izraelsko-palestyńskiej Stolica Apostolska zachowała dużą niezależność – a co za tym idzie, zaprezentowała się jako podmiot autentycznie troszczący się o pokój.

W Polsce ocenialiśmy postawę Watykanu często bardzo negatywnie, zwłaszcza w sprawie Ukrainy, ale trzeba pamiętać, że większość świata nie podziela polskiej optyki. Parolin niewątpliwie naraził się wielu środowiskom, w tym antychińskim amerykańskim „jastrzębiom", ale w oczach innych mógł dowieść skuteczności. Matteo Zuppi nie ma tak poważnego doświadczenia, ale od lat jest blisko związany ze Wspólnotą św. Idziego (Sant Egidio), nazywaną „paralelną dyplomacją" Watykanu. To właśnie jemu Franciszek powierzył specjalną misję, w ramach której Zuppi odwiedzał zarówno Kijów, jak i Moskwę.

NUDY NIE BĘDZIE

Oczywiście znane jest powiedzenie, że kto wchodzi na konklawe papieżem, wychodzi z niego kardynałem. Chociaż racjonalne argumenty mogłyby przemawiać za tym lub innym kandydatem, to poważne znaczenie ma też zwykły lobbing – zewnątrz- i wewnątrzkościelny. Jakie konkretnie ośrodki wpływu naciskają na kardynałów z zewnątrz Kościoła, możemy tylko spekulować, jest jednak oczywiste, że największe mocarstwa nie pozostają obojętne na to, kto zasiądzie na tronie św. Piotra. Lobbing wewnątrzkościelny jest nieco bardziej transparentny. Wiemy, jak wyglądał na dwóch poprzednich konklawe. Konserwatyści namawiali do swoich kandydatów, liberałowie – do swoich. Ci drudzy w 2013 r. działali skuteczniej. Grupa europejskich i amerykańskich progresistów już dawno upatrzyła sobie na swojego kandydata arcybiskupa z Buenos Aires i przekonywała do jego osoby, kogo tylko się dało. Konserwatystom można było przedstawiać Bergoglia jako przeciwnika aborcji; postępowcom wskazywać na inne elementy jego światopoglądu. Udało się.

Znane są nazwiska liberalnych kardynałów, którzy odgrywają w budowaniu międzynarodowej sieci współpracy bardzo ważną rolę również dziś. Luksemburczyk Jean-Claude Hollerich, Niemiec Reinhard Marx, Amerykanin Blase Cupich – to ludzie, którzy, jak wolno sądzić, od dawna dokładają znacznych starań na rzecz popularyzacji własnego kandydata, choć opinia publiczna nie wie jeszcze, kto nim jest.

Jedno jest pewne: następca papieża Franciszka nie będzie narzekać na nudę. Kościół katolicki po 12 latach pontyfikatu Jorge Maria Bergoglia znajduje się w sytuacji dość przełomowej. Kluczowe pytanie dotyczące przyszłości brzmi: Co z osławioną synodalnością? W 2013 r. Franciszek ogłosił w swojej adhortacji „Evangelii gaudium", że Kościół powinien zostać „zdecentralizowany", tak aby różnorodne kwestie doktrynalne czy moralne były rozstrzygane nie przez Stolicę Apostolską, ale lokalnie – przez biskupów czy grupy biskupów. Pozostał temu przekonaniu wierny przez cały pontyfikat i wyrażał to nie tylko w teoretycznych refleksjach, lecz także w konkretach, po prostu otwierając kolejne płaszczyzny swobody – w takich sprawach jak wspomniane już rozwody, ekumenizm czy związki jednopłciowe. Zakończony w październiku Synod o synodalności Franciszek chciał kontynuować. Na rok 2028 wyznaczył bezprecedensowe Zgromadzenie Kościelne, podczas którego biskupi i świeccy mają obradować wspólnie, ostatecznie nadając Kościołowi nową, synodalną i bardziej zdecentralizowaną formę. To zamierzenie szalenie kontrowersyjne. Nie wiadomo, czy następca Jorge Maria Bergoglia będzie chciał je kontynuować – a jeżeli tak, to czy nie napełni go inną treścią, np. znacząco zawężając zakres kompetencji, które miałyby przysługiwać kościołom lokalnym.

Na tym nie koniec wyzwań. Franciszek bardzo mocno rozwinął prace – zainicjowane już przez św. Jana Pawła II – nad przemodelowaniem sposobu sprawowania prymatu w Kościele. W połowie ubiegłego roku Kuria Rzymska opublikowała obszerny dokument, który sygnalizuje chęć „ekumenicznego" przekształcenia papiestwa. Następca Jorge Maria Bergoglia będzie musiał podjąć konkretne decyzje: albo odkładając to na bok, albo, przeciwnie – podejmując reformistyczne dzieło swojego poprzednika.

Choć papież Franciszek zyskał sobie miano rewolucjonisty na tronie Piotrowym, to w w istocie wiele jego inicjatyw pozostało niezakończonych. Wynika to nie tylko z niepokoju, które wzbudzały wśród konserwatywnej części Kościoła, lecz także z ich skali. Kilka lat temu kard. Walter Kasper, teolog bardzo bliski Franciszkowi, przekonywał, że zmiany rozpoczęte przez papieża z Argentyny są tak głębokie, iż ich realizacja będzie wymagać zaangażowania jeszcze co najmniej jednego, a może nawet dwóch kolejnych papieży. Zobaczymy, czy rzeczywiście znajdą się do tego chętni. Dziś wierzący mogą tylko pomodlić się o zbawienie wieczne dla papieża Franciszka – i mądrość dla kardynałów, by wsłuchiwali się na konklawe nie tylko w głos świeckiej i kościelnej polityki, lecz także w głos Ducha Świętego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl cd69d1a612

Proboszcz świata w gąszczu dyplomacji

Piotr Semka

Prestiż Watykanu w czasie pontyfikatu zmarłego niedawno papieża wyraźnie osłabł. Następca Franciszka stanie wobec niełatwego zadania prób odbudowy wpływu Kościoła na dyplomację światową

Zmarły niedawno papież Franciszek przyrównywany był często stylem bycia i typem nauczania do papieża, który mówił językiem proboszcza. O ile ta pewna prostota i serdeczność ujmowały serca wielu milionów ludzi na świecie, o tyle „proboszczowski" styl zarządzania dyplomacją watykańską się nie sprawdził. A jeszcze za rządów Jana Pawła II i potem Benedykta XVI służby dyplomatyczne Stolicy Apostolskiej cieszyły się pewnym prestiżem wśród dyplomatów największych mocarstw. W latach 80. dyplomacja watykańska zapobiegła wojnie między Argentyną a Chile, a administracja Reagana bardzo często sięgała do wiedzy i doświadczenia watykańskiego sekretariatu stanu w realizowaniu wyjątkowo delikatnych misji.

Ta dyskretna renoma dyplomacji watykańskiej za pontyfikatu Franciszka została roztrwoniona. Jak wyglądały kierunki aktywności papieża na arenie światowej?

NOWE HORYZONTY

„Europa jest zmęczona i bezsilna jak »bezpłodna babcia«". Te słowa wypowiedziane przez pontifexa wyrażające jego rozczarowanie stanem Starego Kontynentu przytaczane są dziś po jego śmierci bardzo często. Słowa te padły w czasie wizyty papieskiej w 2014 r. w Parlamencie Europejskim w Strasburgu. Papieska wizyta odbyła się 26 lat po przemówieniu w Parlamencie Europejskim Jana Pawła II. O ile jednak papież Polak, który odwiedził Strasburg w 1988 r., odbywał swoją wizytę w momencie, gdy stawało się już jasne, że mur dzielący Europę zachodnią i wschodnią kruszeje, o tyle papież z Argentyny położył nacisk na zmiany, które zaszły w świecie od czasu wizyty Jana Pawła II. „Zmieniający się świat jest coraz mniej eurocentryczny" – wskazywał gość z Rzymu. Powiększonej i posiadającej większy wpływ Unii Europejskiej zdaje się towarzyszyć wizerunek tego kontynentu jako obszaru podstarzałego i przytłumionego. Skłonnego, by odsuwać się od aktywności w świecie, który z kolei patrzy na Europę z dystansem, nieufnością, a niekiedy z podejrzliwością – mówił papież. Oczywiście zakończył swoje przemówienie powrotem do ideałów założycieli Unii, którzy pragnęli przezwyciężania podziałów i krzewienia pokoju, ale papieska przemowa nie napawała optymizmem.

Odejście od europocentryzmu wpłynęło na geografię papieskich wizyt zagranicznych. Wychylenie w stronę Trzeciego Świata premiowało kraje zmagające się z problemami społecznymi. Motyw włączania ubogich i bezdomnych we wspólnotę Kościoła był już bardzo silny w czasie pierwszej pielgrzymki papieskiej, która nieprzypadkowo, jak się zdaje, zawiodła papieża w lipcu 2013 r. do Brazylii. Ci, którzy pamiętali, jaki dystans zachowywał Jan Paweł II w stosunku do teologii wyzwolenia, obserwowali potem, jak kościelni progresiści uczynili z brazylijskiego wojażu Franciszka triumfalny powrót do łask i wpływów.

Papież postawił w centrum swojego pontyfikatu ludzi biednych, wykluczonych, poranionych; podkreślał, że to oni są w centrum jego postrzegania świata, stanowiąc wyzwanie dla tych sił, które skupiają się na poszukiwania bogactwa, pławią się w luksusie lub demonstrują pychę wynikłą z braku pokory. O ile za pontyfikatów poprzednich papieży refleksja o znaczeniu ubogich dla sumienia Kościoła była jednym z elementów nauczania, o tyle w wypadku Franciszka wypchnęła ona wrażliwość na inne zagrożenia, jak np. laicyzacja czy cywilizacja śmierci.

Demonstrowanie pokory było punktem wyjścia do wielu gestów medialnych. Tak było w Wielkanoc 2016 r., kiedy papież przybył do Centrum Imigrantów Castelnuovo di Porto i umył nogi czterem nigeryjskim katolikom, trzem prawosławnym kobietom z Erytrei, wyznawcom hinduizmu z Indii i trzem muzułmanom z Mali, Syrii i Pakistanu. Już wówczas część obserwatorów przestrzegała, że społeczność muzułmańska może ten gest w stosunku do imigrantów islamskich odebrać jako hołd dla ich wiary.

Papież bardzo wyraziście stawał też po stronie imigrantów szturmujących granice czy to Europy, czy Stanów Zjednoczonych Ameryki. Potępiał zapowiedzi Donalda Trumpa o budowie muru na granicy z Meksykiem. Niezwykle głośna była wizyta papieska na wyspie Lampedusie w 2013 r., w trakcie której papież faktycznie wezwał Europę do zaakceptowania niekontrolowanego napływu przybyszy z Afryki i Azji. „Opłakuję wszystkich tych, którzy zginęli w drodze do Włoch, i apeluję o pomoc dla przybywających imigrantów" – głosił pontifex w czasie swej wypowiedzi

eprasa.pl cd69d1a612

na wyspie. Papież udał się nawet na wyprawę kutrem na morze, gdzie rzucił na fale wieniec z białych i żółtych chryzantem w hołdzie dla ofiar. Jednocześnie Franciszek nie był w stanie znaleźć języka, w którym odniósłby się do obaw tych Europejczyków, którzy na własnej skórze odczuli, że niekontrolowana imigracja wywołała wzrost przestępczości, np. gwałtów na kobietach i dziewczętach.

DZIECKO AMERYKI ŁACIŃSKIEJ

„Opcja na biednych" w pontyfikacie Franciszka wpłynęła na zmianę postrzegania istoty misji nuncjuszy papieskich. Zaczęto instruować dyplomatów watykańskich, by w znacznie większym stopniu zamieniali się w koordynatorów akcji pomocowych dla przybyszów z obcych kontynentów. Zachęcano, by porzucili tradycyjne role dyplomatów spędzających więcej czasu wśród polityków niż wśród „zwykłych ludzi". Na polecenie Franciszka watykański sekretarz stanu, kard. Pietro Parolin, zaczął reformować Papieską Akademię Kościelną w kierunku wyczulania kandydatów na kościelnych dyplomatów na podjęcie misji czysto humanitarnych. Jak to sformułował kardynał: „Nie tylko uczestnictwa w międzynarodowych debatach, lecz także proponowania zgodnie z chrześcijańską wizją Kościoła rozwiązań, które mogą przyczynić się do budowania bardziej sprawiedliwego i braterskiego świata".

Ten zwrot ku ubogim i wykluczonym interpretowany był przez część watykanistów jako dowód na to, jak silnie naznaczyły papieża argentyńskie lata dojrzewania do kapłaństwa. Jedni watykaniści widzieli w tym echo epoki Juana Peróna (1895–1974), dyktatora argentyńskiego, który mieszał deklaratywny szacunek dla ludzi pracy z bardzo niekiedy brutalnym autorytaryzmem, a inni dostrzegali w wypowiedziach papieskich ducha rewolty z 1968 r. i teologii wyzwolenia.

Te doświadczenia wpłynęły też na postrzeganie świata, które również było bardzo latynoskie. Z tego punktu widzenia absolutnym złem dla Franciszka była zawsze polityka Stanów Zjednoczonych. Rosja, która wypoczwarzyła się z dawnego Związku Sowieckiego, kojarzyła się według tej latynoskiej perspektywy z siłą pozytywną, która ograniczała wszechmoc gospodarzy Białego Domu. W tym kontekście zyskiwały też Chiny komunistyczne, których rywalizacja z Waszyngtonem jawiła się w oczach wielu duchownych z Ameryki Południowej jako ta sama walka o wyrwanie się spod niszczącego wpływu imperializmu jankesów jak zmagania krajów położonych na południe od rzeki Rio Grande. Dlatego Franciszek zawsze demonstrował swój wielki szacunek dla Fidela Castro. We wrześniu 2015 r. papież specjalnie odwiedził rezydencję kubańskiego dyktatora, który na dodatek zaszokował wielu, przyjmując papieża w nieformalnym stroju – dresie sportowym. Wtedy to Franciszek wydawał się być onieśmielony i zachwycony tym, że audiencji udzielił mu człowiek, który był symbolem wyzwania, które świat latynoski rzucił Ameryce.

To latynoskie spojrzenie na Rosję przyczyniło się do największego kryzysu wizerunkowego Franciszka w świecie zachodnim po ataku Rosji na Ukrainę w lutym 2022 r. Tuż po inwazji papież – wykraczając poza normy protokołu – złożył wizytę w ambasadzie Rosji przy Stolicy Apostolskiej. Formalnie pontifex uczynił to dla zademonstrowania swego zaniepokojenia konfliktem, ale sprawni rosyjscy propagandziści zrobili z tego demonstrację papieskiej sympatii dla Kremla. Trudno było zresztą o inne wrażenie, gdy Franciszek zgodził się na pamiątkowe zdjęcie z ambasadorem, jego rodziną i personelem placówki rosyjskiej przy Watykanie. Potem głośny był wywiad papieża, w którym za jedną z przyczyn wojny uznał „szczekanie NATO pod drzwiami Rosji". Franciszek pośrednio usprawiedliwiał rosyjski atak, mówiąc: „Ta złość, nie wiem, czy została sprowokowana, a może ułatwiona". Równie wiele kontrowersji wywołało bardzo długie demonstrowanie przez papieża swojej wiary w dobre intencje Putina. Jak mówił pontifex: „Gdybym miał okazję złożyć wizytę w Moskwie i choćby godzinę rozmowy z Putinem, to na pewno przekonałbym władcę Rosji do zakończenia wojny".

Równie kontrowersyjna była polityka Franciszka wobec komunistycznych Chin. Papież wielokrotnie stawiał wyżej dobre relacje Stolicy Apostolskiej z Pekinem niż solidarność z prześladowanymi katolikami znajdującymi się pod władzą komunistów. To właśnie Franciszek podpisał pierwsze porozumienie między Stolicą

FOT. EVANDRO INETTI/POOL/DIBANEZ/ZUMA PRESS/FORUM

Apostolską a Chińską Republiką Ludową w październiku 2018 r. Co znaczące, treści tego dokumentu nigdy nie opublikowano. Nie wiadomo więc dokładnie, na jakie koncesje wobec Pekinu poszedł Franciszek, próbując usankcjonować możliwość sprawowania kultu przez 10 mln chińskich katolików. Dogadanie się z rządem pekińskim było osiągnięciem, którego nie miał żaden z poprzednich papieży. Tyle że – jak wskazywali krytycy tych negocjacji – nie zatrzymały one represji wobec tych chińskich wiernych, którzy nie chcieli ulegać totalnej kontroli ze strony chińskiej bezpieki nad wspólnotami.

W STRONĘ PÓŁKSIĘŻYCA

Jedną z pierwszych uroczystości kanonizacyjnych, której przewodniczył papież, była w 2013 r. kanonizacja ok. 800 włoskich katolików, którzy w 1480 r. wpadli w ręce muzułmańskich piratów. Trafili oni na ołtarze, gdyż wobec danego im przez islamskich najeźdźców wyboru – przejście na islam albo śmierć – wybrali

eprasa.pl cd69d1a612

męczeńską egzekucję. To, co zwróciło uwagę wielu komentatorów, to fakt, że w trakcie kanonizacji na placu św. Piotra w Watykanie papież sławił Włochów jedynie jako świadków wiary, nie wspominając w czasie długiego kazania ani razu, kim byli ich prześladowcy.

Ta ostrożność papieska w krytykowaniu skłonności wielu wyznawców islamu do przemocy, szczególnie wobec chrześcijan, tłumaczona była na różne sposoby. Watykańscy dyplomaci w kuluarowych rozmowach wskazywali, że z punktu widzenia Franciszka wspierany przez Rosję prezydent Syrii Baszar al-Asad ceniony był jako gwarant swobodnego istnienia wspólnot chrześcijan, o których Zachód zapomniał. W myśl tego rozumowania nie wolno było dopuścić, aby chrześcijanie zniknęli z Bliskiego Wschodu, który był kolebką chrześcijaństwa. Dlatego też papież unikał potępiania dyktatora Syrii i stojącego za nim prezydenta Putina.

Ale wyraźne unikanie krytycyzmu wobec islamu miało też charakter czysto doktrynalny. I tu najważniejszym wydarzeniem było podpisanie wspólnej deklaracji Franciszka i wielkiego imama islamskiego uniwersytetu Al-Azhar w Kairze na temat ludzkiego braterstwa dla pokoju na świecie oraz zgodnego współistnienia. Ta deklaracja, podpisana w lutym 2019 r., była szokiem dla części teologów katolickich, gdyż można było ją interpretować jako uznanie przez pontifexa, że Bóg życzy sobie istnienia różnych religii i nie należy tego zmieniać. Tym, którzy uważali, że jest to przesadna interpretacja, trudniej było potem bronić wypowiedzi papieża Franciszka w czasie jego wyprawy do Azji Południowo-Wschodniej. Szczególnie w czasie wizyty w Indonezji w 2024 r. z papieskich wypowiedzi można było wyciągnąć nauczanie, że taką samą światłością są chrześcijanie i muzułmanie. Mają oni zmierzać wspólnie ku ostatecznemu celowi na drodze do braterstwa, a różnice w ich rytach i doktrynie są tylko powierzchnią, gdyż to, co naprawdę istotne, jest ukryte pod spodem.

Jak wskazywało wielu watykanistów, Chrystus był wielkim nieobecnym w papieskich wystąpieniach. Ponadto papież, opisując zadania Kościoła katolickiego, jego misję przedstawiał wyłącznie w kategoriach doczesnych. Jak mówił 4 września 2024 r. w Dżakarcie: „Kościół katolicki służy dobru wspólnego i pragnie wzmocnić współpracę z instytucjami publicznymi i innymi podmiotami społeczeństwa obywatelskiego, ale nigdy nie prozelityzuje i zawsze szanuje wiarę każdego człowieka. Kościół pragnie zachęcać do tworzenia bardziej zrównoważonej tkanki społecznej i zapewnić bardziej skuteczną i sprawiedliwą dystrybucję pomocy społecznej". Nic dziwnego, że kościelni konserwatyści uznali, że głowa Kościoła sprowadza jego rolę do zadań organizacji dobroczynnej o celach wyłącznie materialistycznych.

NIELICZNE NAWROTY DO PRYNCYPIALIZMU

Na tle wszystkich tych wspomnianych już kontrowersji swoistym kontrastem była wizyta Franciszka w Belgii we wrześniu 2024 r. Papież w bardzo ostrych słowach potępił wtedy aborcję. Co więcej, złożył hołd nieżyjącemu już królowi Belgów Baldwinowi, który abdykował w 1990 r. na jeden dzień w ramach swoistej demonstracji przeciwko legalizacji aborcji w Belgii. Co znaczące, tak spokojne opowiedzenie się papieża po stronie obrony życia wywołało niewspółmierną irytację rządu Belgii. Nuncjusz papieski w Brukseli został wezwany przez premiera Alexandra De Croo, który w ostrym tonie pouczył dyplomatę watykańskiego, że to, co wydarzyło się w czasie wizyty Franciszka w Belgii, było niedopuszczalne. Równolegle do demonstracji premiera w parlamencie belgijskim doszło do burzliwej sesji, w trakcie której atakowano papieża za odwiedzenie grobu króla Baldwina. Starsi wiekiem watykaniści wskazywali, że za pontyfikatu Jana Pawła II rząd belgijski nie odważyłby się na taką demonstrację.

Ten ostatni incydent pokazuje, jak bardzo osłabł prestiż Watykanu w czasie pontyfikatu zmarłego niedawno papieża. Jego następca stanie wobec niełatwego zadania prób odbudowy wpływu Kościoła na dyplomację światową.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd69d1a612

Z Grzegorzem Braunem, kandydatem na prezydenta RP, prezesem Konfederacji Korony Polskiej, posłem do Parlamentu Europejskiego
rozmawia Ryszard Gromadzki

Czołg przełamania systemu

FOT. ARTUR BARBARKOWSKI/EAST NEWS

RYSZARD GROMADZKI: Rozmawiamy bezpośrednio po podjętej przez pana i posła Romana Fritza interwencji poselskiej w szpitalu w Oleśnicy. Chciał pan dokonać „zatrzymania obywatelskiego" lekarki Gizeli Jagielskiej, która kilka miesięcy temu uśmierciła zastrzykiem trucizny w serce dziecko w 37. miesiącu ciąży. W reakcji na pana akcję prokuratura wszczęła śledztwo przeciwko panu i towarzyszącym panu osobom pod pretekstem „zastraszania i utrudniania wykonywania pracy personelowi szpitala". Nie sądzi pan, że ta sprawa to Polska w soczewce? Lekarka, która abortowała mające się za chwilę narodzić dziecko, kreowana jest na ofiarę i bohaterkę w jednej osobie, a pan na awanturnika szukającego rozgłosu. O małego Felka, którego dr Jagielska pozbawiła życia, nikt nie pyta....

GRZEGORZ BRAUN: W pełni zgadzam się z pana diagnozą, że szpital w Oleśnicy i zabójstwo dziewięciomiesięcznego Felka to Rzeczpospolita trzecia i pół, nasz land eurokołchozowy, jak w soczewce. Mamy bezkarność morderców, i to seryjnych morderców. W toku interwencji poselskiej z udziałem pana posła Romana Fritza, członka sejmowej komisji zdrowia i przewodniczącego zespołu parlamentarnego do spraw bezpieczeństwa zdrowia i życia Polaków, dyrekcja szpitala w Oleśnicy przyznała, że tylko w poprzednim „sezonie' w tym szpitalu wykonano ponad 150 procedur tzw. aborcji. Spopularyzowany został jeden konkretny przypadek w wykonaniu zastępcy dyrektora szpitala do spraw – o ironio i zgrozo – medycznych, pani

eprasa.pl cd69d1a612

doktor Gizeli Jagielskiej, która publicznie przechwalała się, że znane jej są i praktykowane przez nią procedury pozbawiania życia poprzez podawanie zastrzyku chlorku potasu do serca dziecka. W trakcie interwencji zastaliśmy panią Jagielską w pracy. Ta pani nie została odsunięta od kontaktu z kolejnymi swoimi potencjalnymi ofiarami, pomimo że prokuratura wszczęła przeciągające się śledztwo w sprawie śmierci Felka. Wezwana na miejsce policja zareagowała dopiero po kolejnych ponagleniach, ograniczając się do wylegitymowania niektórych uczestników zdarzenia. Funkcjonariusze pojawili się w odpowiedzi na nasze zgłoszenie dotyczące naruszenia nietykalności osobistej posłów dopiero po prawie dwóch godzinach. Proszę zwrócić uwagę, że policję mobilizuje do działania przekazane ustnie zawiadomienie o naruszeniu nietykalności osobistej posła, ale nie motywują jej do pracy podane przez media ogólnopolskie informacje o naruszeniu nietykalności dziewięciomiesięcznego małego Polaka.

Komentując wydarzenie w lokalnych mediach, Jagielska – odnosząc się do przypadku dziewięciomiesięcznego Felka – powiedziała, że to nie było dziecko, tylko płód...

Działania tej osoby domagają się bardzo wnikliwego, bieżącego opisu. Ta sytuacja dopiero się rozwija. Więc niech państwo dopilnują, czy prokuratura od dochodzenia przejdzie do śledztwa. Czy zostaną postawione zarzuty. My działaliśmy w szpitalu w Oleśnicy w poczuciu, że niebezpieczny dla zdrowia i życia pacjentów tego szpitala, matek i dzieci jeszcze nienarodzonych, jest fakt, że ludzie o mentalności doktora Mengele mają ich zdrowie i życie w swoich rękach. Pani Jagielska kilka miesięcy temu uznała za stosowne wbić igłę ze śmiertelną dawką chlorku potasu do serca małego chłopca, nie uznając za stosowne przyjść z pomocą czy terapią matce dziecka, żeby mogło ono przyjść bezpiecznie na świat, do czego – jak wiemy – było w pełni zdolne. Było w pełni zdolne do życia poza organizmem matki. Wiemy, że w tej dziedzinie również polska medycyna potrafi dokonywać cudów. W tej sprawie cud nie był potrzebny. Jeśli dr Jagielska uznała za właściwe uśmiercić dziecko, a nie służyć, przyjść z pomocą, to nie jest przesadne, a w pełni uzasadnione podejrzenie, że w każdej chwili taki pomysł może jej znowu przyjść do głowy. Być może dziś lub jutro do tego szpitala trafi kolejna matka, być może znajdująca się w sytuacji kryzysowej czy stanie krańcowego wycieńczenia i niestabilności emocjonalnej, wymagająca terapii i pomocy. Być może taka osoba trafi pod igłę strzykawki personelu tego szpitala. Bo przecież jest jasne, że pani Jagielska nie działa sama. Nasza interwencja w szpitala w Oleśnicy potwierdziła, że jej działania mają pełną aprobatę dyrekcji szpitala.

Po pana interwencji w szpitalu w Oleśnicy mainstreamowe media pisały o karczemnej awanturze i kolejnym politycznym happeningu Brauna. Inni kandydaci w wyborach prezydenckich zareagowali bardzo powściągliwe. To efekt obaw, że aborcja to wraży temat, mina, która może zniweczyć szanse w wyborach?

Proszę mi wierzyć, że ja nie kieruję się wyrachowaniem PR kampanijnego i buchalterią sondaży i słupków codziennie serwowanych przez media. Działam w poczuciu, że tam, gdzie mali ludzie nie są bezpieczni, tam nikt nie jest bezpieczny. Także ci, którzy się już szczęśliwie urodzili. Być może sądzą, że ich to nie dotyczy. Owszem, dotyczy. Jeżeli spod konstytucyjnej zasady równości obywateli wobec prawa wyjmiemy jakąkolwiek grupę arbitralnie, eugenicznie wyselekcjonowaną i nominujemy niektórych Polaków na takich, którym nie przysługuje ze strony Rzeczypospolitej Polskiej ochrona ich życia i zdrowia, to w konsekwencji, prędzej czy później, każdy stanie na tej oświęcimskiej rampie. Ponieważ prędzej czy później każdy z nas znajdzie się w stanie bezbronności. Każdy z nas, czego nikomu nie życzę, może stracić przytomność czy podupaść na zdrowiu, wówczas kluczowe dla nas będzie to, kto się nad nami pochyli. Czy ratownicy, medycy, lekarze o mentalności doktora Mengele i dr Jagielskiej, którzy będą może nawet w stanie przedstawić na pozór przekonywujące teorie, które by uzasadniały skrócenie naszego życia zamiast walki o jego podtrzymanie. To jest sprawa, która dotyczy nas wszystkich. To bynajmniej nie jest tak, że sprawy dotyczące przemysłu aborcyjnego, przemysłu transplantacyjnego, na którego zapleczu działa wielki biznes handlu ludzkimi organami, dotyczą grupy tak wąskiej, że dla świętego politycznego spokoju nie warto się nimi zajmować. Bo to przecież nie jest elektorat, bo przecież mały Felek na nikogo by nie głosował jeszcze przez kilkanaście lat. Miejmy świadomość, że przyzwolenie na to, żeby naszym życiem zarządzały procedury eugeniczne, selekcja dzieląca życie na godne i warte przeżycia i to niewarte przeżycia, jeśli na to się zgodzimy, to na każdego z nas w pewnym momencie będzie wydany wyrok. Zwracam uwagę, że mamy już w Polsce eutanazję wprowadzoną kuchennymi drzwiami.

Mówi pan o tzw. terapii daremnej?

Tak, a także o śmierci mózgowej. Jedno i drugie to są sformułowania nie z dziedziny nauki, tylko stricte polityczne. To nie są ustalenia badawcze, biologiczne czy medyczne. To są arbitralnie podjęte decyzje polityczne, które mają charakter wyroków śmierci wydanych na niektórych ludzi. Przejawem eugeniki wprowadzanej w Polsce kuchennymi drzwiami jest niedawny przypadek z Warszawy, gdzie pewną starszą panią wożono od szpitala do szpitala ambulansem; ostatecznie nigdzie nie została przyjęta i umarła. Dlaczego? Ano dlatego, że – jak to się mówi – ma „zdezaktualizowany PESEL”. Nikt się nad nią nie pochylił z zamiarem pomocy, podtrzymania życia, nie zaoferowano jej żadnej terapii. Stwierdzano tylko – być może nawet nie personel medyczny, tylko jakiś urzędnik to ocenił – że ta pani urodziła się zbyt dawno, żeby warto było ją ratować.

W trakcie kampanii prezydenckiej jako priorytet stawia pan odzyskanie przez Polskę niepodległości. W wymiarze politycznym, bezpieczeństwa, gospodarki, zdrowia. Czy naród, który akceptuje zabijanie nienarodzonych, „terapię daremną”, wstrzykiwanie trucizny do serca dziecka, które miało się za chwilę narodzić, jest zdolny do prawdziwej niepodległości? Czy zasługuje na niepodległość?

Panie redaktorze, dlatego właśnie wraz z posłem Fritzem pospieszyliśmy do szpitala w Oleśnicy. Przyznam, że bardzo motywująco wpłynęła na nas publikacja jednego z katolickich portali, która w syntetyczny sposób referowała przypadek nienarodzonego Felka. Pojechaliśmy tam dlatego, że dla nas

eprasa.pl cd69d1a612

są to rzeczy nierozdzielne. Jeśli nie będziemy bronić życia najmniejszych, najbardziej bezbronnych Polaków, to cóż my tu w ogóle obronimy? Jeśli nie odzyskamy poczucia bezpieczeństwa dla najsłabszych, jeśli im tego poczucia bezpieczeństwa nie zapewnimy, to z całą pewnością nie odzyskamy niepodległości. To duży skrót, który być może nie do każdego przemówi. Z ostrożności procesowej nie chcemy, żeby za naszej kadencji, na naszej wachcie, przez jakieś przeoczenie czy zaniechanie powstało takie złudzenie, że my to aprobujemy, że się z tym utożsamiamy. My to stanowczo odrzucamy właśnie dlatego, że stoimy na gruncie konstytucyjnych praw i wolności, z zasadą równości obywateli wobec prawa na czele i z imperatywem zapewniania bezpieczeństwa, zdrowia i życia przez służby i administrację państwa polskiego. Dlatego w mojej Radzie Bezpieczeństwa Narodowego będą też obrońcy życia, ponieważ uważam, że standard prawnoustrojowy bezpieczeństwa życia jest równie istotny jak czołgi, drony czy samoloty. Bardzo chciałbym, żebyśmy z obrony życia uczynili produkt flagowy, markowy znak Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Chciałbym, żeby Polska słynęła z wyjątkowej troski i najwyższego standardu bezpieczeństwa ludzkiego życia. Przemawiając więc do godnej polecenia praktycznej interesowności, chciałbym zwrócić uwagę, że gdyby taki standard udało nam się zaprowadzić i rozpropagować, to wiązałoby się to z ogromnymi korzyściami dla Polaków. Moglibyśmy ciągnąć zyski z systemowego działania na rzecz ochrony życia. Pchaliby się do nas drzwiami i oknami ludzie z całego świata, za gwarancję, że nikt ich tutaj poduszką nie dodusi.

Jak to możliwe, że wychodząc do ludzi z takim przekazem, może pan wciąż uczestniczyć w kampanii prezydenckiej? Gdzie indziej kandydaci o znacznie mniej jednoznacznych poglądach są prewencyjnie sekowani z życia politycznego, na co dowodem są wydarzenia w Rumunii czy we Francji. To, że pan może nadal kandydować, jest „błędem systemu”? Ale podobno system się nie myli...

Można powiedzieć, że i wobec mnie ta reguła jest w pełni dotrzymywana. Przecież wyroki śmierci cywilnej na mnie wydawane i wykonywane przez polityków i media głównego ścieku od wielu lat są faktem. Ja wciąż mam zero minut, zero sekund w programach publicystycznych mediów warszawskich i, o ironio, również toruńskich, z dyspensą tylko na debaty.

Pomimo tej cenzury rozpoznaje pana 90 proc. Polaków. Prawie czterogodzinną rozmowę z panem na Kanale Zero obejrzało 2,5 mln ludzi. Świetne osiągi jak na persona non grata.

Fenomenalne jest to, że akurat pan redaktor Krzysztof Stanowski upomniał się w debacie telewizyjnej o Felka zamordowanego w szpitalu Oleśnicy. Odpowiadając na pytanie, które pan postawił, ludzie, do których adresuję swoją kampanię i zwracam całą aktywność polityczną, są przez wiodące media i świat polityki wrogo przejęty przez kartel okrągłostołowy ignorowani. To nie ja jeden jestem tak uparcie ignorowany. Ignorowani są normalni Polacy. Najwyraźniej inni kandydaci zwracają swoje działania i kierują swoje komunikaty do jakichś innych ludzi. Być może do tych Polaków, którzy raczej nie chcą być już Polakami, bo np. wolą być eurokołchoźnikami. Ja zwracam się do tych Polaków, którzy chcą, żeby, po pierwsze, ich dzieci urodziły się bezpiecznie. Chcą, żeby mogły się normalnie wychować i wykształcić, nienarażone na systemową dezinformację i deprawację ze strony agend własnego państwa. Zwracam się do tych Polaków, którzy chcą dla siebie, swoich dzieci i wnuków wolności i bezpieczeństwa, a nie zniewolenia i ogłupienia pod różnymi pretekstami. Czy to pod pretekstem urojeń klimatycznych, czy to pewnych urojeń geopolitycznych. Zwracam się do Polaków, którzy nie chcą, żeby za całą naukę historii ich dzieci miała wystarczyć hagada Holokaustu, w której polscy naziści budowali obozy zagłady. A za całą naukę brednie klimatystów, na bazie których niszczy się gospodarkę, a ludzi wywłaszcza z ich własności. Tu zresztą pewne wątki się łączą. Klimatyści są bardzo często, a może z reguły, aborcjonistami. Jakie to znamienne, kiedy Rafał Trzaskowski wskazuje jako jeden z głównych politycznych celów swojej kampanii rozszerzoną legalizację dzieciobójstwa, a jednocześnie nie waha się segregować Polaków, dzielić ich na lepszych i gorszych, tworząc centralną, stołeczną strefę wykluczenia i dyskryminacji ludzi z nie najnowszymi samochodami.

> **Miejmy świadomość, że jeśli zgodzimy się na to, aby naszym życiem zarządzały procedury eugeniczne, to na każdego z nas w pewnym momencie będzie wydany wyrok**

Podczas konwencji wyborczej w Krakowie porównał pan swoją kampanię prezydencką do misji lekkiego czołgu, który dokonuje wyłomu na froncie i wdziera się na teren wroga. Ten wyłom powiększa następnie cała uzbrojona w inne rodzaje broni potęga, która podąża w ślad za czołgiem przełamania. Ma pan poczucie, że dzięki prowadzonej przez pana kampanii taki wyłom w systemie rządzącym Polską rzeczywiście się dokonuje?

W sztuce wojennej, która święciła triumfy na polach bitewnych XX w., nazywa się to „czołgiem przełamania”, który sam wojny, a nawet bitwy nie wygrywa, jeżeli w ten wyłom przezeń stworzony nie wejdą inne typy broni i inne formacje. Otóż mam takie poczucie dobrze spełnianego obowiązku i sądzę, że moja kandydatura dobrze służy poszerzaniu i tak już bardzo szerokiego „frontu gaśnicowego”, który idzie przez Polskę. Ten front daje znać o sobie i manifestuje swoją siłę, a także ogromną rozmaitość na niezliczonych spotkaniach wyborczych i podczas mojej konwencji, która była takim właśnie wstępnym przeglądem wojsk. Polskich formacji patriotycznych, z którymi, mam nadzieję, skutecznie walczyć będziemy nie tylko o wynik w tej kampanii prezydenckiej już niedługo, lecz także będziemy skutecznie walczyć o reprezentację polskich katolików, patriotów, narodowców, wolnościowców, konserwatystów i tradycjonalistów w następnym parlamencie. O to teraz walczymy. Kampania prezydencka to stanięcie w bloki startowe do następnych kampanii. W nocy z 18 a 19 maja rozstrzygnie się m.in. właśnie to, czy w ogóle i jaką reprezentację mieć będą polscy katolicy w następnym Sejmie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd69d1a612

Pozarządowy rak

FOT. ADOBE STOCK

Łukasz Warzecha

Mechanizm działania NGO-sów na wszystkich szczeblach jest ten sam: podmioty, skupiające mikroskopijne liczby ludzi mających mocną ideologiczną (lub czasem po prostu cynicznie egoistyczną) motywację, zyskują absurdalnie nieproporcjonalny wpływ na rzeczywistość, forsując rozwiązania szkodliwe dla obywateli, których pieniędzmi są zasilane

Pojęcie społeczeństwa obywatelskiego karierę zaczęło robić w latach 90. Wyidealizowany obraz społeczeństwa aktywnych obywateli, który nam serwowano – a do którego nawiązywała przecież swoją nazwą także założona w 2001 r. Platforma Obywatelska – zakładał, że ludzie wezmą sprawy w swoje ręce. Że poprzez swoją obywatelską aktywność, inną niż stricte partyjna, będą wpływali na rzeczywistość. Emanacją społeczeństwa obywatelskiego miały być organizacje pozarządowe, czyli tzw. trzeci sektor. W świecie idealnym obywatele bardziej zainteresowani życiem publicznym mieli dzielić swój czas pomiędzy pracę, życie prywatne i aktywność obywatelską właśnie. Ta miała polegać na zmienianiu zarówno najbliższego otoczenia, jak i działaniu na rzecz różnych ważnych spraw na centralnym poziomie. Organizacje pozarządowe (NGO) miały się stać partnerem dla władzy, która miała z nimi konsultować i uzgadniać znaczną część swoich decyzji i pomysłów.

Był jednak problem: organizacje pozarządowe do swojego funkcjonowania potrzebowały pieniędzy, a Polacy przez długi czas nie byli ani wystarczająco zamożni, ani wystarczająco chętni, żeby fundować im funkcjonowanie z własnych kieszeni. Od czego jednak są zagraniczne fundusze i pośredniczące w ich rozdzielaniu polskie struktury, takie jak Fundacja Batorego? Zagraniczne rządy szybko tę lukę wykorzystały, doskonale rozumiejąc, jak znakomite narzędzie wpływania na życie w Polsce mają w rękach. Z czasem pojawiły się również pieniądze od polskiego państwa, dystrybuowane w postaci dotacji w programach wsparcia. Oraz oczywiście 1 proc., a następnie 1,5 proc. podatku. Organizacje pozarządowe, szczególnie w niektórych dziedzinach i o jasnej orientacji ideologicznej, zaczęły być tłustymi kotami.

KREZUSI NA FRONCIE IDEOLOGICZNYM

Raport Stowarzyszenia Klon/Jawor z 2021 r. o organizacjach pozarządowych stwierdzał, że przeciętny roczny budżet takiej organizacji w 2020 r. to zaledwie 26 tys. zł, ale nie ulegajmy złudzeniom: to średnia (w dodatku z kiepskiego okresu pandemii, ale nowszego pełnego raportu na razie nie ma). Aktywa łączne Fundacji Batorego na koniec 2022 r. wynosiły prawie 212,5 mln zł. Koszty podstawowej działalności operacyjnej to prawie 63 mln zł.

Znacznie mniej zamożna, ale przecież nieuboga, jest Fundacja Viva!, zajmująca się realizacją fanatycznie prozwierzęcej agendy. Jej aktywa na koniec 2022 r. wynosiły łącznie 9,3 mln zł. Koszty działalności statutowej to blisko 15 mln zł.

eprasa.pl cd69d1a612

Są zatem krezusi i są też biedniutkie organizacje ledwo wiążące koniec z końcem.

Dla tych rozważań ważne jest również, żeby podzielić organizacje pod względem dziedziny, w której funkcjonują. Czym innym jest lokalna organizacja zajmująca się kultywowaniem regionalnych zwyczajów, a czymś całkiem innym organizacja aktywistów miejskich w dużym mieście, walcząca z kierowcami, albo wpływowa organizacja walcząca z „mową nienawiści".

Według wspomnianego raportu aktywnych organizacji pozarządowych było ok. 70 tys., z czego 35 proc. zajmowało się sportem, turystyką, rekreacją lub hobby. Na drugim miejscu były organizacje zajmujące się kulturą i sztuką (15 proc.), na trzecim (14 proc.) te od edukacji i wychowania. W grupie 10 proc. mieściły się organizacje działające w dziedzinach takich jak prawa człowieka, badania naukowe, religia.

Nie jest jednak jasne, gdzie w klasyfikacji przyjętej w raporcie Stowarzyszenia Klon/Jawor należałoby umieścić organizacje mające największy wpływ na rzeczywistość, w której funkcjonujemy, czyli takie jak Demagog, Viva! lub Miasto Jest Nasze czy Inicjatywa Wschód, do której należy jedna z klimatystycznych celebrytek, Dominika Lasota. Ta ostatnia wyznała kiedyś w jednym z wywiadów, że żyje z „ciężko wywalczonych grantów". Ta właśnie – zapewne stosunkowo niewielka liczebnie, ale potężna finansowo – grupa organizacji pozarządowych jest rdzeniem nowotworu toczącego życie publiczne.

Wyjaśnijmy to na przykładzie dwóch hipotetycznych organizacji. Niech pierwsza zrzesza aktywistów miejskich – możemy ją nazwać Gmina Jest Nasza – i działa w polskim mieście liczącym sobie pół miliona mieszkańców. Jak zdecydowana większość podobnych organizacji GJN ma orientację wyraźnie lewicową, a jej program to eliminacja miejsc parkingowych, wyznaczanie buspasów i pasów dla rowerów wszędzie, gdzie się da i nie da, zamknięcie centrum miasta dla samochodów, forsowanie stref czystego transportu, podwyższanie opłat za parkowanie – jednym słowem: fanatyczna walka z kierowcami. GJN ma 50 aktywnych członków, a więc jedną dziesiątą promila mieszkańców. W większości są to zawodowi aktywiści – ludzie, którzy nie mają rodzin, zobowiązań, a całe ich życie to właśnie aktywizm, który traktują jako misję. Stąd mają czas, żeby uczestniczyć praktycznie w każdym spotkaniu z „obywatelami", które urządzają urzędnicy miejscy, żeby przesiadywać w mediach społecznościowych czy przygotowywać zgodne z linią GJN projekty wykorzystania budżetu obywatelskiego.

UE nie powinna finansować jakichkolwiek organizacji pozarządowych. Zaoszczędzone na tym pieniądze można przekierować na dozbrojenie krajów Unii

Ponieważ mówimy o dużym polskim mieście, to – jak w większości takich miast – i tutaj mamy polityczny przechył w lewo. GJN jest w tym przechyle sojusznikiem zarządzających miastem sił politycznych, więc jest przez nie dopieszczana: dostała lokal od miasta, dostaje też dotacje właśnie jako emanacja „społeczeństwa obywatelskiego"; członkowie GJN otrzymują od urzędników bezpośrednie informacje o odbywających się spotkaniach lub formalnych konsultacjach społecznych. Te ostatnie – np. w sprawie poszerzenia strefy płatnego parkowania – są ogłaszane w najmniej odwiedzanym zakamarku strony urzędu miasta i organizowane tylko na miejscu (nie ma możliwości uczestnictwa zdalnego) w środku tygodnia w godzinach 14–14.30. Nie przyjdzie na nie oczywiście nikt, kto normalnie pracuje, ma swoje zobowiązania i nie ma czasu na uważne śledzenie strony urzędu miejskiego. Ale aktywiści GJN mają czas, bo niczym innym się nie zajmują. Pojawiają się zatem zawsze i popierają najbardziej radykalne koncepcje. Dzięki temu, gdy mieszkańcy burzą się z powodu wprowadzanych rozwiązań, o których nie mieli wcześniej pojęcia, urzędnicy mogą w komunikatach pisać, że przecież konsultacje się odbyły, a głos obywateli w ich trakcie był jasny: „Działać!". A że ci obywatele to w 99 proc. członkowie GJN i podobnych gremiów – cóż, kto się nie pojawił, jego strata.

GJN załapała się na granty nie tylko od miasta, lecz także te rozdzielane centralnie oraz te płynące z UE (program wspierania organizacji promujących elektromobilność) i z niektórych krajów (niemieckie wsparcie dla społeczeństwa obywatelskiego). Dzięki temu jej roczny budżet sięga już 1,5 mln zł.

Owszem, powstała organizacja, która przyjęła odwrotny wektor i próbuje się przeciwstawiać poczynaniom GJN. Jednak jej działalność jest znacznie trudniejsza. Jej członkowie to ludzie mający pracę i rodziny, niemogący poświęcić tyle czasu na działalność społeczną. Przede wszystkim zaś jako struktura sprzeciwiająca się politycznej linii miasta ta organizacja nie ma miejskiego lokalu, a utrzymuje się wyłącznie z datków sympatyków. Nie ma przecież ani na poziomie polskim, ani tym bardziej unijnym funduszy wspierających organizacje walczące o prawa kierowców.

W praktyce zatem sprawa wygląda tak, że mikroskopijny ułamek liczby mieszkańców miasta zyskał gigantyczny wpływ na miejską politykę, działając przeciwko interesowi ogromnej liczby mieszkańców – za ich własne pieniądze.

Drugi przykład to organizacja zajmująca się weryfikacją wypowiedzi, czyli fact-checkingiem. Nazwijmy ją Populista. Organizacja należy do międzynarodowej sieci takich struktur, a mając certyfikat, jest wciągana jako rzekomo wiarygodny i rzetelny konsultant do rozmaitych rządowych programów. Populista otrzymuje hojne granty z międzynarodowych, w tym unijnych źródeł, a także ze źródeł polskich, i uczestniczy w programach finansowanych przez cyfrowych gigantów. Członkowie organizacji – która w sumie zrzesza 25 osób, a jej roczny budżet to 3 mln zł – są przez lewicowy rząd zapraszani do współtworzenia zasad dotyczących swobody wypowiedzi w sieci.

Większość członków Populisty przyszła do tej organizacji z lewicowych mediów lub z innych organizacji o takim profilu ideowym. Nie ma wśród nich specjalistów w naukach ścisłych; są wyłącznie humaniści, a jednak zajmują się recenzowaniem m.in. wypowiedzi lekarzy dotyczących pandemii czy niektórych naukowców, dotyczących polityki klimatycznej. Ale tylko niektórych, ponieważ Populista manipuluje już

eprasa.pl cd69d1a612

na etapie doboru tematów, którymi się zajmuje. Niektórzy politycy, publicyści lub naukowcy są pod jego szczególnym nadzorem, podczas gdy inni w zadziwiający sposób pozostają poza radarem.

Działania Populisty stanowią dla rządu podstawę, aby tworzyć prawo krępujące wolność słowa. Za pieniądze tych, którzy na takich regulacjach by ucierpieli.

UNIJNY SKANDAL

W UE rozwija się właśnie skandal z finansowaniem organizacji pozarządowych, który część z nich popchnął już do rozpaczliwych skarg, że w konsekwencji zniszczone może zostać społeczeństwo obywatelskie. Okazuje się, że Komisja Europejska przekazywała dla trzeciego sektora gigantyczne pieniądze – mowa jest o miliardach euro – przy minimalnym nadzorze, przede wszystkim zaś nie kontrolując, czy nie są one następnie wykorzystywane do uprawiania lobbingu w instytucjach europejskich. Sektor pozarządowy ma w nich największą po biznesie reprezentację: 3821 zarejestrowanych pracowników, zaledwie o 43 osoby mniej niż biznes. Dla porównania: związki zawodowe i stowarzyszenia zawodowe zarejestrowały 1014 osób, a instytucje akademickie – 343 osoby. A trzeba pamiętać, że aby utrzymać swojego przedstawiciela w Brukseli i aby był on w jakikolwiek sposób użyteczny, potrzebne są niemałe pieniądze. Zatem akredytowani tam przedstawiciele organizacji pozarządowych nie reprezentują raczej tych mniejszych, drobniejszych, mniej zamożnych, ale właśnie te i tak już najbardziej wpływowe. Dzięki tej reprezentacji mogą wylobbować sobie kolejne fundusze – następnie przeznaczane na dalszy lobbing. Genialne!

Opublikowane przez Europejski Trybunał Obrachunkowy w styczniu tego roku sprawozdanie specjalne, zatytułowane „Przejrzystość finansowania unijnego przyznanego organizacjom pozarządowym. Mimo postępów nadal brakuje wiarygodnego oglądu sytuacji", stało się paliwem dla przede wszystkim europosłów z prawicowych grup politycznych, aby uderzyć w finansowanie trzeciego sektora z budżetu UE. Dołączyli do nich jednak niektórzy członkowie Europejskiej Partii Ludowej, a więc jak najbardziej głównego nurtu.

Europejski Trybunał Obrachunkowy wskazał w swoim raporcie wiele problemów. Na przykład niejasność kryteriów stosowanych przy przyznawaniu finansowania stwierdzających faktyczną niezależność organizacji od rządu (Polska należy do zdecydowanej mniejszości państw UE, które zdefiniowały organizację pozarządową we własnych przepisach). W próbie, którą badał trybunał, aż 25 proc. organizacji okazało się błędnie uznanych za pozarządowe, w tym – uwaga – trzy otwarcie to przyznały w ankiecie dla ETO, a mimo to otrzymały pieniądze.

Dalej ETO stwierdza, że „kompleksowe i wiarygodne informacje zbiorcze dotyczące finansowania unijnego przyznanego lub wypłaconego organizacjom pozarządowym w podziale na obszary polityki i wszystkie tryby zarządzania nie są dostępne", a w związku z tym tzw. kontrola krzyżowa dotacji jest bardzo utrudniona.

Trybunał miał także wątpliwości co do weryfikacji, czy zasilane z unijnej kasy podmioty przestrzegają „wartości UE", co jest warunkiem otrzymywania dofinansowania. Ta kwestia pokazuje, że uzyskać pieniędzy z Unii nie mają raczej szans te podmioty, które będą chciały kontestować jej politykę – np. klimatyczną. Zostanie to po prostu uznane za sprzeczne z „unijnymi wartościami", co już pokazuje, jak jednostronne jest zasilanie organizacji pozarządowych z unijnego budżetu.

Serwis Politico wskazał, jaką część swojego budżetu niektóre organizacje pozarządowe czerpią z funduszy UE. Okazuje się, że np. Climate Action Network Europe – jedna z najbardziej agresywnych organizacji klimatystycznych promująca rozwiązania szkodliwe dla naszej gospodarki i portfeli – była aż w 28 proc. finansowana przez UE. W czołówce były jeszcze trzy kolejne organizacje, forsujące zieloną agendę: European Environmental Bureau – 26 proc. finansowania z UE, Friends of Earth Europe – 17 proc., World Wild Fund Europe – 18 proc. Z funduszy UE 4,7 proc. swojego budżetu pozyskiwała także organizacja Transport & Environment, agresywnie promująca elektromobilność m.in. za sprawą zmanipulowanych sondaży mających pokazywać, że Europejczycy marzą o kupowaniu aut na baterię. Wygląda więc na to, że europejscy podatnicy współfinansują podmioty, które następnie lobbują w Brukseli za tym, żeby wdrażać szkodliwe i uciążliwe dla tychże podatników rozwiązania w takich sferach jak polityka klimatyczna.

PRAWDZIWE SPOŁECZEŃSTWO OBYWATELSKIE

Mechanizm na wszystkich szczeblach jest ten sam – czy to szczebel unijny, czy krajowy, czy miejski: podmioty, skupiające mikroskopijne liczby ludzi mających mocną ideologiczną (lub czasem po prostu cynicznie egoistyczną) motywację, zyskują absurdalnie nieproporcjonalny wpływ na rzeczywistość, forsując rozwiązania szkodliwe dla obywateli – będąc zasilane pieniędzmi tychże obywateli. Nie ma to nic wspólnego z jakimś społeczeństwem obywatelskim. To rak. Prawdziwe społeczeństwo obywatelskie to ludzie, w których działania tych środowisk uderzają.

PiS w czasie swoich rządów stworzył pozory reformy, powołując Narodowy Instytut Wolności, który centralnie miał zarządzać finansowaniem organizacji pozarządowych, ale w żaden sposób nie uderzało to w istotę sprawy. Reforma powinna polegać na wyraźnym oddzieleniu organizacji, które zajmują się takimi dziedzinami jak tradycje, historia, sztuka, opieka nad określonymi grupami ludzi (np. niepełnosprawnymi) czy lokalne dziedzictwo od tych, których celami są aktywne wpływanie na rzeczywistość i rozwiązania prawne. Te drugie powinny zostać pozbawione jakiegokolwiek publicznego finansowania, w tym możliwości uzyskiwania takiego za granicą – niech wspierają je ci, którzy zgadzają się z ich postulatami. UE zaś w ogóle nie powinna finansować jakichkolwiek organizacji pozarządowych. Zaoszczędzone na tym pieniądze można przekierować na tak ostatnio przecież popularne dozbrojenie krajów Unii.

Tymczasem serwis Europeanconservative.com podał, że przedstawiciele polskiej prezydencji podczas spotkania z dyplomatami w Brukseli w pierwszej połowie kwietnia stwierdzili, iż UE powinna „wynagrodzić" organizacjom pozarządowym fundusze utracone z powodu zamknięcia USAID. Wygląda zatem na to, że rak nie będzie zwalczany, ale przeciwnie – miałby być dokarmiany.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd69d1a612

Prezydencki trolling

FOT. FILIP NAUMIENKO/REPORTER

Rafał A. Ziemkiewicz

Występ Krzysztofa Stanowskiego na debacie w Republice, gdzie przeczytał fragment książki Rafała Trzaskowskiego, i ogólna wesołość, którą w ten sposób wywołał, prawdopodobnie przejdą do historii jako „gejmczendżer" tej kampanii – analogicznie jak niefortunny bon mot Adama Michnika sprzed 10 lat o „ciężarnej zakonnicy na pasach"

Krzysztof Stanowski zapewne nie zbierze ostatecznie wielu głosów – sam przecież prowadzi kampanię z przekazem: „Proszę na mnie nie głosować, nie po to tu jestem" – ale w pewnym sensie już te wybory wygrał. Mimo że początkowo nic tego nie zapowiadało, a początek był dość słaby, inauguracyjna przemowa, w którą wkleił fragmenty przemówienia Wojciecha Jaruzelskiego z 13 grudnia 1981 r., nikogo nie rozśmieszyła, a wielu zdezorientowała i kazała podejrzewać, iż happening znanego youtubera jest jednorazowym wygłupem mającym zwrócić na jego autora uwagę i nic poza tym.

Pomysł nie wydawał się zresztą nowy. We francuskich wyborach prezydenckich w roku 1981 sporo namieszał komik Coluche (Polakom znany głównie z filmu „Skrzydełko czy nóżka", gdzie grał u boku Louisa de Funèsa), który swój start motywował, tak samo jak twórca Kanału Zero, wyłącznie zamiarem zdemaskowania i ośmieszenia establishmentu oraz mechanizmów polityki. Przykładów można by znaleźć wiele – szczególnie w USA, gdzie procedura rejestracji jest najprostsza, regularnie znajdują się na kartach glosowania nazwiska celebrytów, radiowych gawędziarzy czy gwiazdek popkultury – ale Polakom ruch Stanowskiego ożywił w pamięci przede wszystkim dwóch rodzimych kandydatów „spoza układu". Jednym jest Stan Tymiński, którego wygrana z premierem Tadeuszem Mazowieckim w roku 1990 (wyprzedził go, awansując do drugiej tury wyborów prezydenckich, w której przegrał z Lechem Wałęsą) stanowiła taki szok, że wciąż jest pamiętana, mimo że Tymiński okazał się polityczną efemerydą i nikomu już później – a próbowało wielu – nie udało się jego sukcesu powtórzyć. Drugim przykładem był start w tych samych wyborach pięć lat później satyryka Jana Pietrzaka. Ten ostatni bardzo na swej decyzji stracił – próbując w kampanii z żartownisia „Pana Janka" zmienić się w przywódcę niestroniącego od wzniosłości i patriotycznego patosu, ostatecznie nie tylko nie zdobył głosów, lecz także utracił sporo ze swej niezmiernej w czasach późnego PRL popularności.

PRZEKAZ DLA „NORMALSÓW"

Niektórzy wróżyli podobny los Stanowskiemu – szczególnie „autorytety" oddane obozowi władzy. Nie brakło też patetycznych połajanek za urządzanie sobie kpin ze „święta demokracji", oskarżeń o brak odpowiedzialności i wyrazów zniesmaczenia. Pamiętajmy, że od czasu swego nieuzgodnionego z establishmentem sukcesu medialnego, którym okazał się Kanał Zero, Stanowski jest w środowisku „Gazety Wyborczej" nie mniej znienawidzony niż media „prawicowe", a nawet o tyle bardziej, że w przeciwieństwie do dziennikarzy oklejonych etykietą „pisowskości" jego przekaz trafia do szerokiej rzeszy apolitycznych „normalsów".

Media rządowe usilnie próbowały zdyskredytować „Stano" w sposób wewnętrznie sprzeczny. Z jednej strony, demaskując go i znieważając jako „pisowca", w czym celowały internetowe grupy hejterskie, z drugiej – przedstawiając jako człowieka niepoważnego, zgrywusa tego samego autoramentu co internetowe „szafiarki", który ogłosił kandydowanie wyłącznie dla rozgłosu i pieniędzy. Wielu zapytało w tym momencie: „A to coś złego?". Otóż dla salonów usiłujących

eprasa.pl cd69d1a612

kontynuować wzorce inteligenckie – tak. I tu właśnie widać, jak bardzo rozjechał się stary, udecki mental michnikowszczyzny z czasami YouTube. Bo oczywiście próby zdyskredytowania kandydatury Stanowskiego, podkreślając rozmiary jego sukcesu, tylko go uwiarygodniły jako człowieka naprawdę skłóconego z establishmentem.

Trzeba jednak przyznać, że choć sposób atakowania Stanowskiego przez klakierów obecnej władzy był przeciwskuteczny, to sam atak wynikał z trafnego przewidzenia, iż internetowy trefniś w swej trollingowej kampanii nie będzie „dowalał po równo", tylko zaszkodzi przede wszystkim władzy. I nawet nie wynika to z jego zdroworosądkowych poglądów, które wielokrotnie prezentował, a które z zasady muszą prowadzić go do wykpiwania szaleństw lewicowego, europejskiego „ideolo", stanowiących wszak rdzeń tożsamości rządzących „elit" i podstawę ich poczucia wyższości nad „nieeuropejską" polską masą. Po prostu to rząd jest dziś śmieszny, nie opozycja, i to kandydat, którego rządząca partia wystawiła do walki o prezydenturę – a nie kandydaci partii opozycyjnych – sam się prosi o szyderę.

Od początku, gdy okazało się, że Stanowski naprawdę startuje (do końca sądzili niektórzy, że chce tylko wykorzystać chwilę uwagi i do rejestracji przez PKW nie dojdzie), dawałem wyraz przekonaniu, iż siłą rzeczy, nawet gdyby nie chciał, będzie Stanowski uderzał głównie w Rafała Trzaskowskiego. Kandydat, który z góry ogłaszany jest zwycięzcą, który startuje z ogromną przewagą, z praktycznie nieograniczonymi funduszami – których godnym Alaksandra Łukaszenki sposobem pozbawiła PO Karola Nawrockiego i Sławomira Mentzena – z poparciem przytłaczającej większości tradycyjnych mediów, aparatu samorządowego i administracyjnego, jest po prostu dla wszelkiego rodzaju satyry oczywistym obiektem ataku. Taka już jej natura, że śmiesznie jest wtedy, gdy outsider „jedzie" po możnych tego świata, a nie gdy panujący wyszydzają niezadowolonych z ich rządów.

Trudno było oczywiście przewidzieć, że Trzaskowski będzie się aż tak „trollującemu kampanię" youtuberowi podkładał. Występ Stanowskiego na debacie w Republice, gdzie przeczytał fragment książki Trzaskowskiego, i ogólna wesołość, którą w ten sposób wywołał, prawdopodobnie przejdą do historii jako „gejmczendżer" tej kampanii, analogicznie jak niefortunny bon mot Michnika sprzed 10 lat o „ciężarnej zakonnicy na pasach". Fachowcy zgodzą się oczywiście, że przyczyną „tąpnięcia" sondaży był raczej fakt niepojawienia się Trzaskowskiego w Republice i cały fatalny ciąg zachowań związanych z wcześniejszymi debatami w Końskich. Ale opowieści Trzaskowskiego o zmaganiach z rekinami i węgorzem, godne bohatera dziecięcego wierszyka Stefka Burczymuchy, odczytane ze śmiertelną powagą przez popularnego youtubera właśnie w tym miejscu, w tym czasie, z niby-poważnym komentarzem, że taka odwaga predestynuje kandydata PO jak nikogo innego do roli zwierzchnika sił zbrojnych RP, bardziej zapadną wszystkim w pamięć.

Wiele podniosło się potem głosów niezrozumienia, jak Trzaskowski mógł sam to sobie zrobić – wydać tuż przed wyborami książkę, w której nadyma się i popisuje do tego stopnia, że nie powstrzymał się przed jej wyśmianiem nawet felietonista wściekle antypisowskiego „Newsweeka". Otóż mógł, bo nie przewidział, jaką rolę może odegrać w tej kampanii Stanowski. Ten sam fragment – albo któryś z jeszcze śmieszniejszych, bo wywiad rzeka pani Subbotko pt. „Rafał" zawiera ich sporo – przeczytany na debacie przez któregokolwiek z „poważnych" (w sensie: ubiegających się o głosy) rywali Trzaskowskiego nie wybrzmiałby, tak jak niespecjalnie kogokolwiek rozweselił kartonowy Trzaskowski przyniesiony do studia przez Marka Jakubiaka. I jak niespecjalnie zaszkodziły Donaldowi Tuskowi (na którego książce „Szczerze" ewidentnie się Trzaskowski wzorował) jego parweniuszowskie opowiastki o Gustavie Klimcie, Oskarze Kokoschce i toskańskich winach.

Kampania wspomnianego Coluche'a skończyła się niewyjaśnioną do dziś tragedią, która zmusiła go do wycofania się – wiele spekulowano o ewentualnym udziale w niej służb François Mitteranda, bo wbrew zastrzeżeniom samego komika wszyscy potraktowali jego kandydaturę poważnie i bardzo wielu zamierzało oddać nań głos, co groziło wysadzeniem w powietrze rządzącego układu. Ale Francuzi nie mają w swej tradycji takiej postaci jak Stańczyk i sytuacja kandydata trollującego klasę polityczną nie była dla nich zrozumiała. Polacy – można już teraz powiedzieć na pewno – pomysł Stanowskiego kupili i przyznali mu w stawce kandydatów szczególne miejsce, właśnie nowego Stańczyka, który ma prawo dzięki błazeńskiej szacie być częścią prezydenckiego wyścigu i zarazem nią nie być.

WIĘCEJ NIŻ PREZYDENTURA

Jest to sytuacja dla obecnie rządzących wielce niekomfortowa. Po tym, jak ten obóz przyjął zupełnie na serio poparcie telewizyjnego hosta z TVN, a jego media zachwycały się „sejmfliksem", gromy rzucane na Stanowskiego za podważanie „powagi" demokracji są przeciwskuteczne. A żadnego „antystanowskiego", który kierowałby ostrze kpiny przeciw opozycji, jak kiedyś czynili to Stanisław Tym czy Jacek Fedorowicz, nie ma i już nie będzie. Formacja lewicowo-liberalna poszła już tak głęboko w brutalną agresję, wulgarność i nadęte wielkosłowie o „zagrożeniu dla demokracji" oraz „agenturach Putina", że coraz bardziej przypomina w swym zadęciu słowa „socjalizmu będziemy bronić jak niepodległości" schyłkowego Jaruzelskiego. Wtedy w odpowiedzi na to zadęcie pojawiły się pomarańczowe krasnoludki „majora" Waldemara Fydrycha. Dziś zaś jest prezydencki trolling internetowego „chłopaka z sąsiedztwa", którego rozmowy z formalnymi konkurentami w walce o Pałac biją rekordy, oglądane przez miliony internautów.

Kiedy przyjdzie kolej na taką rozmowę z Trzaskowskim, Stanowski prawdopodobnie zniszczy go do reszty, choćby tylko konfrontując cytaty z samego Trzaskowskiego z innymi cytatami z Trzaskowskiego i na deser zachwycając się co smakowitszymi opowieściami z książki „Rafał". Jeśli Trzaskowski nie zgodzi się na taki „roast", to po prostu do Kanału Zero nie przyjdzie – zaszkodzi mu to nie mniej. Tak czy owak, formalnie ubiegając się o prezydenturę, ma Stanowski realną szansę wygrać coś więcej niż Pałac – opinię „kingmejkera", który de facto zdecydował, kto go ostatecznie wygra.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd69d1a612

FOT. ADOBE STOCK

Przestępstwo wisi w powietrzu

Radosław Wojtas

Wykorzystują je armia, służby, policja, strażnicy miejscy, fotografowie i dostawcy pizzy. Drony to uniwersalne urządzenia, które sprawdzają się również w rękach przestępców

Tylko ta jedna akcja miała przynieść przemytnikom kilkanaście tysięcy złotych. Udaremnili ją funkcjonariusze z placówki Straży Granicznej w Wojtkowej w Bieszczadach. Podczas nocnego patrolu na granicy polsko-ukraińskiej usłyszeli charakterystyczny dźwięk lecącego drona. Przelot ten nie był zgłoszony – a w strefie przygranicznej takie loty należy zgłaszać – pogranicznicy wiedzieli więc, że najprawdopodobniej mają do czynienia z przemytem. Nie pomylili się. Przy pomocy sprzętu umożliwiającego nocną obserwację namierzyli pudła zrzucone przez statek powietrzny, który wleciał w głąb Polski z terenu Ukrainy.

Kilkugodzinna obserwacja przyniosła spodziewany skutek. Po paczki przyjechał 39-letni mieszkaniec Podkarpacia, którego na gorącym uczynku zatrzymali funkcjonariusze Straży Granicznej. – Mężczyzna był zaskoczony nagłym spotkaniem ze strażnikami granicznymi. Jak się okazało, w sześciu pakunkach znajdowało się ponad tysiąc paczek papierosów o łącznej wartości przekraczającej 15 tys. zł – informowała Straż Graniczna.

To dość typowy model działania, który jest aż za dobrze znany pogranicznikom. Nocny lot z terenu Ukrainy lub Białorusi, zrzucenie towaru na terenie Polski i szybki powrót drona na teren kraju, z którego przyleciał. Do opisywanej sytuacji doszło we wrześniu 2022 r. Straż Graniczna z Podkarpacia informowała wówczas, że od początku roku udaremniła przemyt papierosów oraz tytoniu o łącznej szacunkowej wartości 3,5 mln zł. Przemytnicy od kilku lat wykorzystują drony, które są trudne do wykrycia i których użycie – za sprawą możliwości zdalnego sterowania lub zaprogramowania na automatyczny przelot – zmniejsza ryzyko wpadki.

SETKI INCYDENTÓW

O skalę problemu pytał niedawno w interpelacji do ministra spraw wewnętrznych i administracji poseł PSL-Trzeciej Drogi Marek Biernacki, przewodniczący sejmowej Komisji do spraw Służb Specjalnych. Poseł zaznaczył, że w 2015 r., kiedy pełnił obowiązki koordynatora służb specjalnych, zlecił Komendzie Głównej Straży Granicznej wykonanie analizy „Wykorzystanie bezzałogowych statków powietrznych do działalności przestępczej". „W opracowaniu tym wyraźnie stwierdzono, że wykorzystanie dronów w działalności przestępczej będzie nasilało się w sposób wręcz lawinowy" – zaznaczył Biernacki. „Różnego rodzaju drony stały się niezwykle popularnym narzędziem wykorzystywanym na skalę dotąd niespotykaną, także poza sektorem militarnym, także na terytorium RP" – zauważył poseł i w związku z tym zadał MSWiA kilka pytań o wykorzystanie dronów przez przestępców, m.in. o skalę procederu.

Jak podaje Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji, policja „prowadzi postępowania przygotowawcze w sprawie przestępstw, do których popełnienia jako narzędzia użyto bezzałogowego statku powietrznego. Przedmiotowe sprawy dotyczą m.in. przestępstw określonych w art. 211 i art. 212 Ustawy z dnia 3 lipca 2002 r. – Prawo lotnicze oraz przestępstw wskazanych w Ustawie z dnia 6 czerwca 1997 r. – Kodeks karny. W 2024 r. odnotowano 72 tego rodzaju przestępstwa stwierdzone".

Nieuprawnionymi lotami zajmuje się również Służba Ochrony Państwa, gdy dron znajdzie się w strefie zakazu lotów zakładanych i administrowanych przez tę formację. W ubiegłym roku SOP odnotowała 54 przypadki naruszenia strefy zakazu lotów przez bezzałogowe statki powietrzne. W większości przypadków nie udało się ustalić, kto był odpowiedzialny za te przeloty. W 16 przypadkach namierzono pilotów.

Najwięcej incydentów z udziałem dronów rejestruje Straż Graniczna. „SG odnotowuje zdarzenia związane z przekroczeniem granicy państwowej przez różnego rodzaju bezzałogowe statki powietrzne. Spośród ujawnionych zdarzeń należy wskazać przede wszystkim na przeloty z ładunkiem (np. w postaci papierosów nieoznaczonych znakami skarbowymi akcyzy Ministerstwa Finansów RP) oraz na przeloty bez podczepionych ładunków, które najprawdopodobniej służą do prowadzenia działań rozpoznawczych" – pisze w odpowiedzi na interpelację Marka Biernackiego Czesław Mroczek, wiceminister spraw wewnętrznych i administracji.

W 2022 r. wszczęto 153 postępowania przygotowawcze w związku z przelotem

eprasa.pl cd69d1a612

lub sterowaniem bezzałogowym statkiem powietrznym, który dokonał przelotu nad granicą Polski. Sześćdziesiąt osiem z tych incydentów zdarzyło się na granicy z Białorusią, 64 – na granicy z Ukrainą. Ze wszystkich 153 postępowań aż 132 wszczęto w Nadbużańskim Oddziale Straży Granicznej.

Rok później podobnych postępowań wszczęto mniej, bo 97 (80 z nich w Nadbużańskim Oddziale SG). Liczba incydentów na granicy z Ukrainą spadła do 30 przypadków, a na granicy z Białorusią do 50. Rok 2024 to jeszcze mniejsza liczba incydentów. Wszczęto łącznie 51 postępowań przygotowawczych (43 w Nadbużańskim Oddziale SG), z czego 10 dotyczyło granicy z Ukrainą, a 33 granicy z Białorusią.

PAPIEROSY SPADAJĄ Z NIEBA

Udział tzw. przelotów akcyzowych stanowi mniejszość spośród wszystkich odnotowanych przekroczeń granicy państwowej przez bezzałogowe statki powietrzne. W 2022 r. wyniósł ok. 20 proc., w 2023 r. zaledwie ok. 10 proc., a w ubiegłym roku – ok. 20 proc. Kiedy jednak są to loty związane z przemytem, to scenariusz działania jest zwykle podobny. Loty bezzałogowców – czy to z terenu Białorusi, czy z terenu Ukrainy – odbywają się zazwyczaj w nocy. Drony przemieszczają się na bardzo niskiej wysokości. Najczęściej nie są pilotowane, bo trasa jest zaprogramowana wcześniej i lot odbywa się w trybie automatycznym, według określonych punktów na podstawie nawigacji GPS. W zależności od modelu dron może przenieść jednorazowo nawet tysiąc paczek papierosów i zrzucić je w odległości nawet do 10 km za granicą państwa polskiego.

Przemytnicy używają również maszyn własnej konstrukcji. W grudniu 2023 r. w obwodzie wołyńskim wpadła grupa, która uruchomiła produkcję dronów. Poszczególne elementy statków powietrznych Ukraińcy drukowali na drukarkach 3D, a następnie montowali je i używali do przerzucania papierosów na terytorium Polski. Ukraińskie służby znalazły w mieszkaniach i budynkach gospodarczych zajmowanych przez przestępców osiem gotowych dronów, a także lornetki, radiostacje, lokalizatory GPS i fotopułapki. Dzięki tym urządzeniom przemytnicy śledzili ruchy pograniczników i koordynowali swoje działania. Zarekwirowano też 2 tys. paczek wyrobów tytoniowych. Jak podało ukraińskie MSW, zarekwirowane drony posłużą teraz po drugiej stronie barykady – przekazano je Straży Granicznej.

O ile w Polsce możemy mówić o spadku wykrywanych prób przemytu z użyciem dronów, o tyle nasi sąsiedzi rejestrują coraz więcej tego typu zdarzeń. Litewskie służby w połowie ubiegłego roku alarmowały, że w pierwszym półroczu 2024 r. odnotowały 107 przypadków prób przemytu drogą powietrzną, podczas gdy w całym roku 2023 stwierdzono 115 takich incydentów. Litwa – podobnie jak Polska – odgrodziła się płotem od Białorusi, co nie tylko zwiększyło szczelność granicy w związku z kryzysem migracyjnym wywołanym przez reżim Łukaszenki, lecz także utrudniło życie przemytnikom. Tamtejsze służby szacują, że mniej więcej jedna trzecia przemycanych na Litwę papierosów trafia tam drogą powietrzną.

Przemytnicy używają do tego celu nie tylko dronów. Sięgnęli również po balony meteorologiczne. Jak podkreślają litewscy pogranicznicy, balony są dużo bardziej skomplikowane od klasycznych dronów i do ich użycia potrzebna jest specjalistyczna wiedza. W 2023 r. litewska straż graniczna przejęła trzy takie urządzenia, w pierwszym półroczu roku 2024 – już 29.

Loty bezzałogowców – czy to z terenu Białorusi, czy z terenu Ukrainy – odbywają się zazwyczaj w nocy. Drony przemieszczają się na bardzo niskiej wysokości. Najczęściej nie są pilotowane, bo trasa jest zaprogramowana wcześniej i lot odbywa się w trybie automatycznym

NIE TYLKO GRANICA

Z problemem nielegalnej kontrabandy z użyciem dronów mierzą się nie tylko strażnicy graniczni na całym świecie, lecz także służba więzienna. Drony już nie tylko zrzucają kontrabandę, którą podejmują więźniowie na spacerniakach. Charlie Taylor, inspektor nadzorujący funkcjonowanie brytyjskich więzień, alarmuje, że drony przenoszą coraz cięższe ładunki i dostarczają je prosto pod okna cel. Te są oczywiście zakratowane, a dodatkowo zabezpieczone wzmocnionym plastikiem. Więźniowie jednak topią plastik. Dron może podrzucić do celi przesyłki, które osadzeni będą mogli przełożyć przez kraty – narkotyki, papierosy, noże.

Taylor po inspekcji w dwóch więzieniach o zaostrzonym rygorze – HMP Manchester i HMP Long Lartin, w których przetrzymywani są najgroźniejsi przestępcy, w tym bossowie mafijni i terroryści – wezwał do podjęcia pilnych działań w celu zwalczania dronów. W obu więzieniach kwitły nielegalne rynki narkotyków, telefonów komórkowych i broni. Aż 39 proc. więźniów w Manchesterze miało pozytywny wynik obowiązkowych testów narkotykowych. Połowa osadzonych w Long Lartin odpowiedziała w ankiecie, że zdobycie alkoholu i narkotyków w więzieniu jest łatwe.

– Wysoce niepokojące jest to, że policja i służba więzienna de facto oddały kontrolę nad przestrzenią powietrzną nad dwoma więzieniami o zaostrzonym rygorze w ręce zorganizowanych grup przestępczych, które są w stanie dostarczać kontrabandę do zakładów karnych, gdzie przetrzymywani są wyjątkowo niebezpieczni więźniowie, w tym ci zaklasyfikowani jako kategoria A o najwyższym ryzyku. Bezpieczeństwo personelu, więźniów, a ostatecznie także społeczeństwa jest poważnie zagrożone przez brak działań wobec zagrożenia, które urosło do rangi kwestii bezpieczeństwa narodowego. Służba więzienna, policja i inne służby bezpieczeństwa muszą pilnie zmierzyć się z działalnością zorganizowanych gangów oraz ograniczyć dostawy narkotyków i innych nielegalnych przedmiotów – powiedział w lutym 2025 r. naczelny inspektor więzień Wielkiej Brytanii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd69d1a612

Trzecia młodość

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

„Trzecia młodość" coraz częściej jest podobna do tych pierwszej i drugiej. Jak grzyby po deszczu wyrastają oferty specjalnie dla seniorów. Osoby starsze chcą oddychać pełną piersią

Jesień życia nie musi być przygnębiająca, kojarzona ze szpitalnym łóżkiem i samotnością. Proponowana przez nas przestrzeń jest idealnym rozwiązaniem zarówno dla osoby starszej, jak i jej rodziny. Oferując lokale z tarasem i ogródkiem, opiekę medyczną, dostęp do części rekreacyjno-relaksacyjnej, catering dostosowany do potrzeb, zaopatrzenie, usługi sprzątające oraz sąsiedztwo domu seniora" – to oferta jednego z deweloperów, który w Starym Mieście nieopodal Konina wybudował osiedle dla osób 50+. Wśród zalet położenia osiedla wykonawca wymienia spokojną, zieloną okolicę oraz bliskość najważniejszych punktów usługowych, co „pozwala seniorom na komfortową, spokojną codzienność". Niecałe 2 km od osiedla znajduje się kościół, bliżej poczta i salon kosmetyczny. Seniorom ma się żyć nie tylko wygodnie, lecz także ciekawie. Dlatego nieopodal jest także centrum rekreacyjno-relaksacyjne, które ma zapewnić, że „seniorzy będą pod stałą opieką, a wolny czas będą spędzać aktywnie".

Mianem „seniora" zwykło się określać osoby powyżej 60. roku życia, ponieważ to wysokość wieku emerytalnego dla kobiet (dla mężczyzn 65 lat). W 2023 r. spośród 37,6 mln obywateli Polski niemal 10 mln (9,9) stanowiły osoby w wieku powyżej 60 lat – 26,3 proc. W stosunku do roku 2022 liczba ta wzrosła o 96 tys. Największą grupę stanowią seniorzy w wieku 65–69 (25,5 proc.). W populacji osób starszych większość stanowią kobiety – 5743,5 tys.; mniejszość to mężczyźni – 4150,2 tys. Ministerstwo do spraw Polityki Senioralnej, powołując się na wyniki prognozy ludności na lata 2023–2060, przewiduje pogłębianie się procesu starzenia naszego społeczeństwa. Populacja osób 65+ ma wzrosnąć w tym okresie do 11,8 mln. Oznacza to, że będzie stanowiła prawie 40 proc. ogółu mieszkańców Polski, co w naturalny sposób sprawia, że widocznie poszerza się oferta dla seniorów. Chodzi jednak nie tylko o kwestie medyczne, choć te pozostają jedną z podstawowych potrzeb. Osoby starsze chcą dziś, jeżeli nie mają poważnych przeciwwskazań zdrowotnych i mają w miarę stabilną sytuacją finansową, korzystać z życia. Jednym z najbardziej dostępnych miejsc pozwalających na socjalizację jest Internet. Według danych rządu w roku 2023 z Internetu korzystało prawie 62 proc. osób w wieku 60–74 lata.

DOJRZAŁA OTWARTOŚĆ

Portal Facebook pełen jest grup dla seniorów. Dominują tam pozdrowienia, selfie i zdjęcia kwiatów z ogrodu (pod nimi zazwyczaj dziesiątki sympatycznych komentarzy), codzienne życzenia miłego dnia i obrazki z dowcipami. Użytkownicy umawiają się na wspólne wyjścia i wyjazdy. Trudno nie odnieść wrażenia, że starsi są znacznie bardziej otwarci niż młodsi – wycieczka nad morze z nieznajomymi nie jawi się jako nic dziwnego.

„Witajcie kochani, pragnę się przywitać i życzyć pięknej niedzieli. Z przyjemnością poznam panią, pana Seniora czy to do wspólnej podróży, wycieczki, a może i nawet życia. Byłoby miło, bo we dwoje zawsze łatwiej i przyjemniej" – „reklamuje się" pani Lucyna. „Cześć Wam. Ja samotna seniorka 60 lat poznam rówieśników z Warszawy. Na wspólne spacery, nieforsowne wycieczki rowerowe lub w niedalekie okolice Wawy"

eprasa.pl cd69d1a612

FOT. ADOBE STOCK

[pisownia oryginalna] – to z kolei wpis pani Irminy.

Ktoś na jednej z grup cytuje wyniki badań naukowców z International Institute for Applied Systems Analysis i Uniwersytetu Stony Brook. „Wiek można zmierzyć na podstawie przeżytych lat albo na podstawie lat, jakie jeszcze mamy do przeżycia" – powiedział główny autor badania Sergei Scherbov. Jak dodał, ludzie w wieku 60 lat są osobami w wieku średnim. „Według mnie ktoś, kto ma obecnie 60 lat, jest w średnim wieku. Dwieście lat temu 60-latek byłby kimś bardzo starym. To, co postrzegamy jako starość, zmieniło się z czasem i będzie musiało się zmieniać w przyszłości, ponieważ ludzie żyją dłużej i zdrowiej" – przekonuje rosyjski demograf.

Stąd wyrastające jak grzyby po deszczu imprezy taneczne (nowoczesne, nie w stylu dancingu), speed dating 50+, zajęcia jogi dla osób starszych oraz biura wycieczek dla seniorów (biura organizujące nie tylko pielgrzymki). W 2023 r. odsetek osób w wieku 60 lat lub więcej, które uczestniczyły w podróżach krajowych i/lub zagranicznych, wyniósł 12,1 proc.

MODELING TRZECIEGO WIEKU

Na odważniejszych i bardziej żądnych wyzwań „silverów" (od angielskiego „silver", co odnosi się do siwych włosów) czeka agencja modeli. „To inicjatywa stworzona specjalnie z myślą o osobach powyżej 50. roku życia, które działają lub chcą działać w modelingu […]. Z nami wystąpisz w reklamie, weźmiesz udział w sesji zdjęciowej, pokazie, rozwiniesz swoje umiejętności aktorskie i modelingowe. Modeling to nie tylko praca, ale także przygoda, która pozwala odkrywać siebie na nowo" – zachęcają właściciele. Trend modelek plus age robi na świecie furorę. Najbardziej rozpoznawalne na zagranicznych wybiegach i w sesjach zdjęciowych Polki to 66-letnia Lidia Popiel, 90-latka Helena Norowicz oraz 57-letnia Bogna Sworowska. Ta ostatnia prowadzi aktywnie konto na TikToku, gdzie pokazuje kulisy swojej pracy. – Moje pośladki, moje włosy wzbudzają wiele emocji na Instagramie i na TikToku. Słuchajcie, 10 maja kończę 57 lat. I wiecie co, ja się z tym czuję dobrze. Nie mam doczepek, wszystko naturalne, moje, prawdziwe. Hej, Bogna, do przodu – mówi na jednym z nagrań. Na innymi prezentuje podróż na kolejny kontrakt modelingowy, dalej są pokaz makijażu i prezentacja stroju. Znacznie młodsze kobiety nie kryją zachwytu. „Jaka Pani przepiękna!", „Wygląda Pani obłędnie", „Megainspiracja" – to tylko niektóre z komentarzy.

Coraz więcej seniorów chce wychodzić poza ramy wyznaczane dla nich przez tzw. kluby seniora. Chcą żyć jak młodzi. – Poszłam do klubu seniora, ale tam wszyscy opowiadają o swoich chorobach. Unikam takich spotkań – opowiadała 72-letnia obecnie Barbara Tukendor. Ma na swoim koncie nie tylko liczne role w serialach. Pojawiła się też w teledysku jednego z najpopularniejszych obecnie raperów, Maty. – Słyszałam od osób w moim wieku, że ci młodzi to przeklinają. A ile przekleństw słychać na ulicy? Więcej. Gdyby ktoś się wsłuchał w „Patointeligencję" i odrzucił te przekleństwa, to wiedziałby, jaka jest młodzież i z czym się mierzy w świecie, a rodzice i dziadkowie nie zauważają tego, bo według nich ich wnuki i dzieci są idealne. Narzekają na młodych, że tylko w komórkach siedzą, a innym razem chwalą, że dziecko sobie samo bajkę puści na telewizorze – przekonywała seniorka.

SANATORIUM NA ANTENIE

Osoby starsze z dużym powodzeniem podbijają show-biznes telewizyjny, czego najlepszym dowodem jest wciąż odnawiany format reality show „Sanatorium miłości". Widzowie pasjonują się losami seniorów poszukujących miłości. Obecnie TVP1 emituje siódmą edycję, ósma już jest zaplanowana. Po miesiącu od premiery średnia widownia wynosiła 1,64 mln osób, co przekłada się na 13,46 proc. udziału stacji w rynku wśród wszystkich widzów oraz 9,21 proc. w grupie komercyjnej 16–49 lat.
– Składając swoją chęć uczestnictwa, nie musiałem się nikogo o nic pytać. Jestem rozwiedziony. Akurat rozstałem się też ze swoją życiową partnerką. Początkowo rodzina nie była oczywiście zachwycona. Nie są medialni. Ja też nie byłem, ale w nowożytnej erze jestem zupełnie inny, więc postanowiłem spróbować – opowiada jeden z uczestników, 70-letni Adam z Olkusza. – Moja filozofia opiera się na stwierdzeniu, że nieważne, co zrobił z tobą świat, ważne, co ty zrobiłeś z tym, co ten świat ci dał – dodaje miłośnik poezji Wisławy Szymborskiej.

W „Sanatorium" pojawiła się też Elżbieta z Goleniowa, 67-letnia emerytowana nauczycielka matematyki, która od 15 lat jest wdową. Seniorka dzieli się pasją podróżowania. – Wylatujemy do Tokio. Mamy też noclegi w Kioto. Same sobie wszystko organizujemy. Będziemy zwiedzać, oglądać, jeść japońskie jedzenie. Co prawda, sushi nie lubię, bo tam jest biały ryż, a ja białego ryżu nie mogę, bo mam insulinooporność, i jem ryż brązowy albo czarny. Jest tyle fantastycznych rzeczy, np. ramen. Każdego dnia będę jadła inny, z różnymi dodatkami – opowiadała. Dlaczego widzowie tak chętnie śledzą perypetie kuracjuszy? „Za tymi starszymi, niezbyt atrakcyjnymi już przecież ciałami stoi jednak jakaś opowieść, jakiś intrygujący ludzki los. I jeśli jeszcze tę opowieść umie się ładnie snuć, to taki senior może wygrać zainteresowanie widza, nawet z »ciachem« – analizował dla „Dziennika Bałtyckiego" medioznawca, prof. dr hab. Wiesław Godzic.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd69d1a612

Do piekła i z powrotem

Piotr Gociek

Subiektywny ranking wielkich aktorskich powrotów XXI stulecia

Filmowa dynastia Coppola reprezentowana jest w kinach już przez trzecie pokolenie. Wnuczka Francisa Forda, Gia Coppola, jest na najlepszej drodze, by przebić dokonania Sofii. Ich wyczynom przygląda się spore grono kuzynów, ciotek i wujów – wszyscy oczywiście robiący na różne sposoby kariery w biznesie filmowym. Wiadomo, Włosi – grunt to rodzina.

„The Last Showgirl", trzeci film Gii Coppoli, trafia właśnie na ekrany polskich kin. Poprzednie dwa były dobre („Palo Alto", „Król Internetu"), ten jest bardzo dobry. Gia pozostaje wierna kinu skromnemu, kameralnemu, skupiając się na studium charakterów. Akcja rozgrywa się w Las Vegas, za kulisami podupadającego spektaklu „Le Razzle Dazzle". To ostatni taki show w mieście kasyn, uciech i mroku: tradycyjna rewia oparta na odzianych w pióra, cekiny i muśliny tancerkach. Nowi właściciele klubu mają inny pomysł na biznes. A pracujące od dekad kobiety muszą zastanowić się, co dalej z przetańczonym życiem.

Jest w tej opowieści genialna drugoplanowa rola Jamie Lee Curtis (nie mam pojęcia, dlaczego nie dostała nominacji do Oscara), jest bardzo dobry Dave Bautista, który zrywa ze swoim emploi osiłka z MCU czy „Blade Runnera 2049". Ale przede wszystkim jest w roli głównej aktorka, której powrót na ekran jest największym zaskoczeniem nie tylko sezonu, lecz także dekady. To Pamela Anderson, dawna gwiazdka serialu „Słoneczny patrol", symbol wesołego kolorowego obciachu lat 90. Pamiętam wizytę w kinie na pokazie „Żylety" („Barb Wire", 1996) – był to jeden z najgorszych filmów, jakie w życiu oglądałem. I nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że będę kiedyś chwalił Pamelę za aktorskie umiejętności. Ten dzień nadszedł: w „The Last Showgirl" wypadła świetnie. A jej niespodziewany powrót niech będzie okazją do ułożenia subiektywnego rankingu największych aktorskich come backów XXI w. Listę podaję w porządku alfabetycznym.

PAMELA ANDERSON, „THE LAST SHOWGIRL"

Klucz do udanego powrotu: oprócz dobrego scenariusza i zaufania mądrego reżysera potrzebne jest jeszcze utrafienie w naturalne predyspozycje aktora. Humphrey Bogart przez długie lata obsadzany był w rolach amantów, do których kompletnie nie pasował. Wielka kariera zaczęła się, gdy obsadzono go w roli łotra. Pamela Anderson kariery na miarę Bogarta nie zrobi, ale wygrała w filmie Gii Coppoli dzięki temu, że dostała rolę, do której zagrania nadawała się idealnie: 57-letniej tancerki, której nikt nie chce już zatrudnić, bo świat pełen jest młodszych i ładniejszych. Czy zmarnowała życie? Czy wybrała blichtr ponad bycie matką? Czy może to jeszcze naprawić? Na twarzy dawnej seksbomby widzimy cierpienie, w które wierzymy, któremu wiarygodności przydają dziecięca kruchość i dziewczęca naiwność. Robiła to, co kochała. Każdy musi wybierać. Jest to come back o tyle nietypowy, że Pamela nie miała skąd wracać, bo była kiedyś sławna, ale w jej aktorskie umiejętności nie wierzył nikt. Więc jej dzisiejsza forma to gigantyczne zaskoczenie. Od dwóch lat triumfuje na Broadwayu, grając w musicalu „Chicago", a za występ w „The Last Show Girl" otrzymała nominację do Złotego Globu.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ROBERT DOWNEY JR., „IRON MAN"

Genialny jako Charlie Chaplin w filmie Richarda Attenborough (1992), rozchwytywany przez Hollywood, miał w swoich rękach wszystko, by już wtedy stać się na dekady gwiazdą pierwszej wielkości. Karierę wyrzucił do śmietnika razem ze wszystkimi flaszkami, które opróżnił,

i pustymi woreczkami po narkotykach. Wpadł w korkociąg: więzienie, odwyk, jazda po pijaku, awantury, interwencje przyjaciół – i znów od początku. Ciągnęło się to latami, aż w roku 2001 aktor rozpoczął mozolną drogę powrotną. Przełomem okazał się rok 2008, kiedy Robert Downey Jr. przypomniał światu, jak wielką vis comica dysponuje, i błysnął w komedii „Jaja w tropikach". Ale przede wszystkim fortunę i sławę (tym razem dobrą) przyniosła mu rola Tony'ego Starka, czyli Iron Mana w filmie pod tym właśnie tytułem. Publiczność pokochała nowego Roberta. Oscar za najlepszą rolę drugoplanową („Oppenheimer", 2023) był ostatecznym dowodem, że Downey Jr. wrócił na dobre.

BRENDAN FRASER, „WIELORYB"

Ten come back jest równie nieoczywisty jak powrót Pameli Anderson – przecież nie spodziewaliśmy się wiele

eprasa.pl cd69d1a612

po osobniku kojarzonym z serią filmów „Mumia" tudzież produkcjami typu „George prosto z drzewa". Ta historia jest jednak smutna: kariera Brendana Frasera wyhamowała po tym, jak ujawnił, że był molestowany seksualnie w 2003 r. przez Philipa Berka, ówczesnego szefa Hollywood Foreign Press Association. Kłopoty osobiste tudzież nieufność ze strony decydentów sprawiły, że Fraser grywał, ale w produkcjach drugorzędnych. I nagle zaskoczył branżę rolą w filmie „Wieloryb" („The Whale", 2022) Darrena Aronofsky'ego. Zmartwychwstanie było efektowne, bo Fraser dostał za swój występ Oscara. Film do mądrych nie należy, ale aktorska robota dawnej gwiazdy „Mumii" była rzeczywiście godna uwagi. A Frasera czeka wkrótce kolejne wyzwanie: ma zagrać gen. Dwighta D. Eisenhowera w filmie „Pressure".

MICHAEL KEATON, „BIRDMAN"

Przekleństwo hollywoodzkich hitów: kiedy świat poznał cię jako Batmana, a filmy, w których występowałeś, stały się popkulturowymi fenomenami na skalę światową, to dalej czekać może już tylko droga w dół. Dwa filmy Tima Burtona („Batman" 1989 i „Powrót Batmana" 1992) uczyniły z niego megagwiazdę. W latach 90. na propozycje nie narzekał, potem o nim powoli zapominano. Wciąż był aktywny, ale nikt już niczego nowego czy specjalnie oryginalnego się po nim nie spodziewał. Z drugiej ligi na salony wyciągnął go Alejandro González Iñárritu filmem „Birdman". I znów: tajemnym składnikiem receptury na sukces okazało się znalezienie zapomnianemu aktorowi roli, do której zagrania był idealny. W „Birdmanie" Keaton gra dawną gwiazdę filmów o superbohaterach, która próbuje reanimować swoją karierę. Udało się, czego dowodami były nominacja do Oscara i Złoty Glob. Inna sprawa, że od dobrej dekady Hollywood nie miał Keatonowi do zaproponowania kolejnej naprawdę dobrej roli, obsadzając go głównie w thrillerach i adaptacjach komiksów. Jedyną naprawdę wartą uwagi kreację od czasów „Birdmana" dał nam w serialu „Lekomania" („Dopesick", 2021). Może po prostu osiągnął już szczyt swoich możliwości?

DEMI MOORE, „SUBSTANCJA"

Czy ktoś jeszcze pamięta, że w połowie lat 90. XX w. Demi Moore była najlepiej opłacaną aktorką na świecie? Ja nie pamiętam, choć już wtedy do kina chadzałem nałogowo. A czy ktoś pamięta, że nigdy właściwie nie była dobrą aktorką? Tak, wiem, wielu ma sentyment do „Ducha" (1990), ale gdybym miał podsumować jej karierę, musiałbym rzec" naprawdę ładna pierwszorzędna aktorka drugorzędna. Od debiutu w 1981 r. gra właściwie niemal nieprzerwanie, ale trzeba mocno szukać w zakamarkach pamięci poszczególnych tytułów: „Niemoralna propozycja", „Szkarłatna litera", „G.I. Jane", no i oczywiście niesławny „Striptease". W tym roku niespodziewanie nominowana do Oscara za główną rolę w „Substancji" – szkoda, że przegrała z Mikey Madison („Anora"). Ten come back – jeśli już zdecydujemy się na taką kwalifikację – kryje w sobie pewną żelazną logikę. Demi Moore, gwiazda drugorzędna, największy triumf w swojej aktorskiej karierze świętuje dzięki roli drugorzędnej starzejącej się gwiazdki gotowej na wszystko („Substancja" to body horror tylko dla widzów o mocnych nerwach). Życie i fikcja mieszają się ze sobą, podobnie jak w przypadku Pameli Anderson w „The Last Showgirl".

EDDIE MURPHY, „NAZYWAM SIĘ DOLEMITE"

Kolejny król świata, który upadł bardzo nisko. Legenda „Saturday Night Live", mistrz kontrowersyjnej stand-up comedy (programy „Raw" i „Delirious"), megagwiazda kina lat 80. („48 godzin", „Gliniarz z Beverly Hills", „Nieoczekiwana zamiana miejsc", „Książę w Nowym Jorku"). W latach 90. grywał ze zmiennym szczęściem, ale poprzeczkę obniżał. Wreszcie w roku 2002 stał się twarzą jednej z największych finansowych katastrof w dziejach kina, czyli wyjątkowo mało śmiesznej, za to bardzo drogiej komedii SF „Pluto Nash". Gdyby nie fakt, że podkładał głos postaci Osła w serii „Shrek", lata 2002–2019 można by wyciąć z jego kariery i nikt nie zatęskniłby za ani jednym filmem. (Chlubnym wyjątkiem był film „Dreamgirls" – Murphy dostał wtedy swą jedyną nominację do Oscara). Pierwszą od wielu lat okazją, by go oklaskiwać, okazał się film „Nazywam się Dolemite" nakręcony dla Netflixa przez Craiga Brewera. Eddie Murphy lśnił jako Rudy Ray Moore, producent i reżyser kina blaxploitation z lat 70. Inna sprawa, że od tego czasu ani razu nie wzniósł się na podobny poziom, bo zajął się głównie odcinaniem kuponów od dawnej sławy (czwarty „Gliniarz z Beverly Hills", drugi „Książę w Nowym Jorku"). Kasa się

eprasa.pl cd69d1a612

zgadza, come back zaliczony. Ale czy możemy wciąż liczyć na więcej?

KE HUY QUAN, „WSZYSTKO WSZĘDZIE NARAZ"

Najbardziej uroczy powrót na tej liście. I najbardziej bajkowy. Urodzony w Wietnamie i wychowany w Ameryce Ke Huy Quan zdobył światową sławę już jako 13-latek – zagrał małoletniego pomagiera Harrisona Forda w filmie „Indiana Jones i świątynia zagłady" (1984). A rok później był jedną z gwiazd filmu „Goonies" Richard Donnera. Potem

było już dużo trudniej: role pojedyncze, zdobywane z rzadka, filmy, o których dziś mało kto pamięta. Wreszcie na niemal dwie dekady sympatyczny Shorty wziął rozbrat z aktorstwem. Wciąż pracował w branży (choreografia, produkcja, asystent reżysera), ale nie na ekranie. W roku 2022 powrócił w komedii „Wszystko wszędzie naraz" i dostał Oscara za najlepszą rolę drugoplanową. Znów zna go cały świat. A co ważniejsze – nie zgubił po drodze chłopięcego uśmiechu.

KEANU REEVES, „JOHN WICK"

Talent, charyzma, dobra ręka do projektów – a i tak kariera, która układa się w sinusoidę. Od ikony młodzieżowego kina przełomu lat 80. i 90. do aktora,

którego kojarzono raczej z filmami bez ambicji. W roku 1999 „Matrix" katapultuje go na szczyty sławy. Ale paradoksalnie filmy, które gra po sukcesie w trylogii Wachowskich, są gorsze od tych, w których grywał wcześniej (jeden z niewielu wyjątków to „Przez ciemne zwierciadło"). W roku 2013 wydaje się, że winda szybko jedzie w dół: katastrofa finansowa filmu „Człowiek Tai Chi", który Reeves wyreżyserował, oraz katastrofa aktorska w historycznej fantazji „47 roninów". Keanu jest na najlepszej drodze do bycia człowiekiem memem, niczym Nicolas Cage w chwilach swego największego upadku. Już rok później nadchodzi niespodziewane odbicie: „John Wick". I kolejne filmy z tej serii. Dziś hollywoodzcy producenci znów biją się o Keanu Reevesa, a jemu nie szkodzą nawet pojedyncze fatalne aktorskie wybory (jak „Syberia" czy „Replikanci").

MICKEY ROURKE, „ZAPAŚNIK"

Idol kina lat 80.: „Wrota niebios", „Rok smoka", „Angel Heart", „Homeboy". Charyzmatyczny nawet w filmach niezbyt mądrych („Johnny przystojniak") lub udanych („Ćma barowa"). Sekssymbol

po filmach „9 i pół tygodnia" i „Dzika orchidea". Potem niespodziewanie przerzuca się na zawodową karierę bokserską. Już nigdy nie będzie pięknym chłopcem. Nadal gra, ale cieszy się opinią po pierwsze trudnego, po drugie – raczej dziwaka niż aktora. Pierwsza dekada XXI w. do zapomnienia, z wyjątkiem filmu „Sin City" Roberta Rodrigueza. A potem niespodziewany powrót na szczyt: w filmie „Zapaśnik" Rourke tworzy kreację wielką, kreację poruszającą. Z piekła produkcji B-klasowych wydobywa go Darren Aronofsky. Rourke dostaje swą jedyną w karierze nominację do Oscara, choć wygląda jak parodia samego siebie sprzed lat. „Zapaśnik" pozostaje do dziś jego szczytowym osiągnięciem.

WINONA RYDER, „STRANGER THINGS"

Mało kto dziś pamięta, jak wielką gwiazdą – i jak szybko – stała się Winona Ryder na przełomie lat 90. Od ról w filmach Tima Burtona („Sok z żuka", „Edward Nożycoręki"), przez „Draculę" Coppoli, do „Wieku niewinności" Martina Scorsese i „Małych kobietek" Gillian Armstrong (za role w tych dwóch filmach otrzymała nominacje do Oscara w latach 1994 i 1995). Potem

przyszły lata walki z depresją, lekomanią, narkotykami i wyrok za drobne kradzieże w sklepach. Wciąż grywała, ale ludzie filmowego biznesu nie mieli już do niej zaufania za grosz. I mało kto te role zauważał. Come back nastąpił w roku 2016 dzięki roli w serialu Netflixa „Stranger Things" i zaskakująco głębokiej kreacji w serialu HBO „Spisek przeciwko Ameryce". Winona nie odzyskała co prawda dawnego statusu supergwiazdy, ale odzyskała zaufanie i wysokie gaże. No i spełniła swoje dawne marzenie – żeby kiedyś powrócić w sequelu „Soku z żuka". Stało się tak w ubiegłym roku. Znowu jest popularna, ale na kolejne role godne talentu wciąż czeka. Oby się doczekała.

Losy wszystkich powracających z niebytu aktorów dowodzą jednego: łatwiej wspiąć się na szczyt, niż się na nim utrzymać. I tak mają łatwiej niż reżyserzy, którym przydarzyły się kasowe klapy, albo producenci, którzy narazili się wpływowym szefom tego czy innego hollywoodzkiego studia. Nie bez powodu Julia Philips, producentka „Żądła" czy „Bliskich spotkań trzeciego stopnia", zatytułowała swoje demaskatorskie wspomnienia: „You'll Never Eat Lunch in This Town Again". Ładni mają łatwiej. Przynajmniej w Hollywood.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd69d1a612

FOT. MARTA ANKIERSZTEJN

Piękno, afery i fake newsy

Grzegorz Kondrasiuk

To o „Weselu" zwyczajowo pisze się jako o sztuce pokazującej rzeczywistą moc zespołu. Dla Narodowego stał się nią właśnie „Hamlet", gdzie poza głównymi rolami, hieratycznymi stereotypami jest mnóstwo znakomitego materiału dla dobrych aktorów

Uprzedzam: będzie mało o teatrze, dużo o zamieszaniu wokół Teatru Narodowego. Szkoda, bo rozmowę o „Hamlecie" Jana Englerta, którym żegna się z najważniejszą polską sceną po ponad dwóch dekadach dyrekcji, najlepiej zacząć od sztuki. Mało to popularne podejście… Tymczasem najnowsza premiera Narodowego niesie ze sobą wiele pytań. Na przykład o styl. Czy Englert dyrektor dopracował się własnego charakteru pisma? Z reżyserami, scenografami i całą resztą ekipy powracającej z kolejnymi realizacjami, a przede wszystkim ze stałym zespołem aktorskim? Sporą część Englert zatrudniał i utrzymał – tak uważam – odpowiadając od razu na postawione wcześniej pytanie, w dobrej (a może nawet bardzo dobrej) formie. I to właśnie „Hamlet" dostarcza argumentów na rzecz wysokiej oceny jego dorobku. Jest to (wciąż piszę „jest" – dopóty, dopóki na afiszu zostaną najlepsze tytuły) teatr świetnie grany, bywa czysty w swej chwalebnej prostocie i bywa też piękny – czego się nie wstydzi. Co więcej, to teatr komunikatywny – dlatego chętnie oglądany, unikający bełkotliwości. Mnożę te komplementy na odejście także po to, by zadać kolejne, najważniejsze teraz pytanie: Co z tego zostanie pod nową dyrekcją – Jana Klaty?

Żywot medialny tego „Hamleta" rozpoczął się już w styczniu. Odchodzący na ministerialną prośbę nie do odrzucenia dyrektor ogłosił tytuł i obsadę: Gertrudą ma być Beata Ścibakówna, prywatnie żona Englerta, a Ofelią – jego córka Helena Englert. „Internet zapłonął" (czytaj: sprawę komentowano na portalu społecznościowym). Potem opinie te, z daleka zalatujące dyskusjami w teatralnych bufetach, zreferowała dramaturżka Małgorzata Maciejewska w felietonie uroczo i postulatywnie zatytułowanym „Zmiana warty". Jakże to Englert śmiał reżyserować na odejście w kierowanym przez siebie teatrze i jakże to tak obsadzać rodzinę, i to w dodatku „kogoś spoza zespołu"?! Poza „argumentum ad fejsbukum" i „ad zespołum" zabrakło tylko postulatu o wydanie prawnego zakazu istnienia aktorskich klanów. W odpowiedzi teatr (czytaj: dyrektor) wydał oświadczenie, padły wielkie słowa, a nawet nazwiska (Grzegorzewski; i pamiętna nagonka na artystę u kresu dyrekcji, dziś uznawanej za wielką). Potem już tylko tabloidy i śniadaniówki, jak zawsze wygłodniałe aferki w celebryckim uniwersum – i już można wdziewać wieczorowe kreacje i stawać w kilometrowych kolejkach po bilety. Okazało się bowiem, że spektakl sprzedaje się na pniu, biletów brak, a w obiegu pojawiły się nawet podróbki (co z kolei wywołało falę kuriozalnych podejrzeń o wywołanie i podsycanie afery medialnej przez twórców). Wyszło na plus, ale dlatego że teatr tej części widowni, zwabionej tabloidowym szumem, nie zaproponował marketingowej wydmuszki.

Pomysł na „Hamleta" jest tutaj nazbyt oczywisty, ale nie jest to, w myśl pewnego powiedzenia, wada spektaklu, tylko cecha. Całość opiera się na prostej podmianie fabularnej. Oto sprężyną akcji, uruchamiającą w bohaterze chęć zemsty, jest Horacy, zdrajca (w oryginale był to zaufany przyjaciel). Nie ma tu metafizyki i zaświatów, zastępują je fake newsy i duża, brudna polityka. Bunt Hamleta nie wyraża opozycji stary – młody świat (choć tak wynikałoby z decyzji obsadowych, ról Hamleta i Ofelii ze świata celebryckiego). Pojawienie się Ducha podstępnie zabitego ojca młodzieńca inscenizuje właśnie Horacy (precyzyjny, jak zawsze, Przemysław Stippa), szpieg Fortynbrasa, władcy sąsiedzkiego mocarstwa – którym w finale okazuje się putinowska Rosja. Ulotnił się cały ciężar niejasnej wymowy tej sztuki, tak nieoczywistej jak, nie przymierzając, uśmiech Mony Lizy, w której wszyscy mają rację, więc nikt jej właściwie nie ma. Znaczenie przeniosło się więc do niektórych fraz, do rysunków postaci. To o „Weselu" zwyczajowo pisze się jako o sztuce pokazującej rzeczywistą moc zespołu. Dla Narodowego stał się nią właśnie „Hamlet", gdzie poza głównymi rolami, hieratycznymi stereotypami jest mnóstwo znakomitego materiału dla dobrych aktorów. Nie ma tu słabych punktów. Wspaniałe role drugoplanowe i epizody, mądre i zabawne, należały do Jerzego Radziwiłowicza jako szefa trupy aktorskiej, Arkadiusza Janiczka jako Pierwszego Grabarza (prawdziwie zaktualizował szekspirowski wieczny typ, błazna trickstera-filozofa), Cezarego Kosińskiego (jako najbardziej „poloniuszowatego" Poloniusza, jak to tylko jest możliwe). A Hugo Tarres, debiutujący najwyżej – jak się tylko w teatralnej Polsce da – udźwignął ten ciężar i ma zadatki na ikonicznego Hamleta swojego pokolenia. ©℗

WILLIAM SHAKESPEARE, „HAMLET"
TEATR NARODOWY
REŻYSERIA: JAN ENGLERT
PREMIERA: 12 KWIETNIA 2025 R.

eprasa.pl cd69d1a612

Z Martą Byczkowską-Nowak, dziennikarką i autorką książek
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Tadeusza Borowskiego droga ku przepaści

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Uda się jeszcze wyjaśnić tajemnicę śmierci autora „Kamiennego świata"?

MARTA BYCZKOWSKA-NOWAK: Przy obecnym stanie wiedzy i w kontekście całej biografii pisarza robi się ona nieco mniej zagadkowa. Siedem lat z dzieciństwa pisarza upływa bez rodziców, którzy zostali zesłani do sowieckich gułagów. Potem okres nastoletni – naznaczony trudnościami materialnymi, z nieposkładanym na nowo życiem rodzinnym. Wreszcie aresztowanie, kolejne obozy: Auschwitz, Dautmergen, Dachau-Allach – to już bardzo ciężki bagaż. Te dramatyczne wydarzenia pozostają w tragicznym splocie z wątłą kondycją psychiczną, być może obciążoną rodzinnie, bo starszy brat Tadeusza chorował na schizofrenię, a także z dość ryzykowną predyspozycją intelektualną. Borowski widział świat jako rzeczywistość koncentracyjną, która nie zaczęła się w momencie powstania obozów, lecz doprowadziła do ich zaistnienia. Był zdruzgotany faktem, że po zakończeniu wojny ta sama rzeczywistość wciąż trwa. Zbudowana na wydajności, opłacalności, a zatem na potwornym wyzysku człowieka przez człowieka. Widziana w ten sposób cywilizacja zachodnia gwałtownie domagała się zmiany – w koncepcji Borowskiego twórcy miała być rewolucją etyczną, duchową. Bój o przebudowę człowieka, który toczył w swej powojennej literaturze i krytyce, był walką samotną i niezrozumiałą. A związek z komunizmem, niezależnie nawet od tego, na ile szczęśliwy, pojawił się dopiero pod koniec równania, którego wynik dość konsekwentnie popycha człowieka w stronę przepaści. Gdy do tego wszystkiego dodamy zawirowania w życiu prywatnym (romans z Dżennet Połtorzycką), narodziny dziecka, znaków zapytania ubywa.

Jak to możliwe, że człowiek tak silnie dotknięty represjami bolszewizmu stał się jego piewcą?

Myślę, że w jakimś stopniu popchnęły go do tego powojenne frustracje i rozczarowania. Borowski miał wielką misję w literaturze: wypowiedzieć na głos całą prawdę o człowieku, którego ujrzał w kacetach, rozprawić się z zaciemniającymi ją narodowymi mitami i zużytymi poetykami, znaleźć nowy język „po Auschwitz". Zraniony idealizm i maksymalizm jednocześnie, było w tym coś obsesyjnego. Nie mógł się pogodzić z tym, że – jak sam napisał – „apokalipsa była, apokalipsa poszła, a w literaturze – spokój!". Po niewyobrażalnej katastrofie wojny, upadku świata wartości, oczeki-

eprasa.pl cd69d1a612

FOT. MUZEUM LITERATURY/PAP

wał jakiegoś przebudzenia, powstania czegoś nowego, lepszego. Wszystko to pozostało najpierw kompletnie niezrozumiane, potem zaś odrzucone – w obliczu zaostrzającego się kursu na socrealizm. Sądzę, że ogromne rozgoryczenie to ważny kontekst jego zwrotu w stronę komunizmu. Chyba bardzo pragnął w coś wierzyć, potrzebował tej identyfikacji. Ideę duchowej rekonstrukcji człowieka próbował zastąpić w jakimś sensie zaangażowaniem w walkę o pokój.

Rodzicielka opisanego uważała, że „matkę boską marksistowską" Borowski zaczął czcić pod wpływem Amora.

Narzeczona, potem żona pisarza, Maria Rundo, w czasie okupacji rzeczywiście była związana z Polską Partią Robotniczą – co ciekawe, łączyła to z pracą dla Związku Walki Zbrojnej. „Kocioł", w który oboje wpadli, stanowił pierwszą wpadkę komunistycznego podziemia w okupowanej Warszawie. Aresztowano ich w mieszkaniu Czesława Mankiewicza, szefa techniki PPR. Relacja z Marią z pewnością stwarzała warunki do zbliżenia się Borowskiego do środowiska komunistów, ale trzeba powiedzieć, że nie była to w jego życiu jedyna ku temu okazja. W rozpolitykowanym do granic dwudziestoleciu międzywojennym młodociani komuniści wchodzili w skład licealnej paczki przyjaciół Borowskiego. Jednym z nich był malarz Arkadiusz Żurawski, bardzo bliski przyjaciel Tadeusza, autor okładki jego debiutanckiego tomu wierszy „Gdziekolwiek ziemia…". Potem, przebywając w Auschwitz, pisarz znalazł schronienie w szpitalu, gdzie tworzyła się obozowa komórka PPR. Alfred Fiderkiewicz, lekarz, który uratował życie Tadeusza, a potem otoczył go opieką i przyjaźnią, budował zakonspirowaną międzynarodową społeczność obozowych komunistów. Maria nie była zatem jedyną bliską osobą pochodząca z tego grona. Mimo takich kontaktów Borowski długo bronił się przed przyswojeniem tej ideologii. W szpitalnym obozie wybiera inne znajomości: zaprzyjaźnia się z pochodzącym z rodziny szlacheckiej elewem szkoły podchorążych i z oficerem AK odbierającym zrzuty cichociemnych.

To miłość do Marii Rundo sprawiła, że stracił wolność?

W pewnym sensie tak, został aresztowany w mieszkaniu, gdzie dzień wcześniej gestapo zatrzymało Marię. W poszukiwaniu narzeczonej poszedł jej tropem, zdając sobie sprawę z tego, jaki może być finał. Nie pomylił się.

Pobyt w kacetach, które przetrwał dzięki „paczkom i szczęściu", stanowił katalizator pisarstwa bohatera książki?

Z pewnością prozy, gdyż Borowski trafił do obozu jako młody, ale rozpoznawalny już twórca, z okupacyjnym debiutem poetyckim na koncie. Zza drutów pisał do ukochanej Marii listy, przeradzające się w eseje o rzeczywistości obozowej, zachodniej cywilizacji – której wykwitem były, jego zdaniem obozy – o kondycji ludzkiej. Ta korespondencja stała się kanwą opowiadania „U nas, w Auschwitzu" i wstępem do kolejnych utworów z tego cyklu.

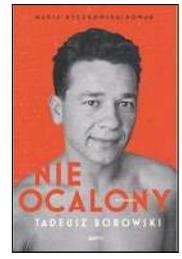

MARTA BYCZKOWSKA-NOWAK „NIEOCALONY. TADEUSZ BOROWSKI" ZNAK LITERANOVA KRAJ 2015

Oswobodzili go Amerykanie. W ich strefie okupacyjnej przebywał rok i zaistniał jak prozaik. Wahał się, czy wrócić do niesuwerennej Polski? Zresztą Marią, kurującą się po obozowym wyczerpaniu, też targały w tej kwestii rozterki…

Tak, to czas ogromnych wątpliwości, spowodowanych sytuacją osobistą, polityczną, materialną, twórczą. Borowski rozważał różne scenariusze, posyłał wiersze do Jana Lechonia, wydającego w Nowym Jorku „Tygodnik Polski", do londyńskich „Wiadomości" Mieczysława Grydzewskiego, do „Orła Białego" Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Rozważał, choć chyba niezbyt poważnie, wyjazd do Kanady. Po decyzji o powrocie do kraju polska emigracja skazała go na dożywotnie milczenie. Wahania Marii, odzyskującej zdrowie w Szwecji, związane były chyba w dużej mierze z brakiem gorących związków emocjonalnych z ojczyzną. Planowała układać sobie życie na Zachodzie, we Francji. Mówiła potem, że gdyby nie Tadeusz, nie wróciłaby do Polski.

Relacje Borowskiego z Andrzejem Trzebińskim określa pani mianem rewerslosów. Choć diametralnie poróżniła ich polityka, to bronił pamięci najbliższego przyjaciela gimnazjalnego oraz innych twórców „Sztuki i Narodu"…

To była bardzo ważna i skomplikowana relacja. Zaczęła się od zażyłej, szkolnej przyjaźni, skończyła olbrzymim konfliktem, de facto starciem światopoglądowym dwóch środowisk literackich okupacyjnej Warszawy. „Sztuki i Narodu", najważniejszego chyba pisma kulturalnego tego czasu, i lewicującego środowiska skupionego wokół studenckiego Klubu Esencjastów, do którego należał Borowski. Imperialne, nacjonalistyczne ambicje „SiN-owców" były dla niego nie do zaakceptowania, podobnie jak dla grupy „SiN" nieakceptowalny był brak postawy walki z okupantem czy choćby zaangażowanej w nią twórczości. Ale paczki żywnościowe, dzięki którym

eprasa.pl cd69d1a612

Borowski przeżył te pierwsze, najtrudniejsze miesiące w Auschwitz, załatwił właśnie Trzebiński. Niemcy rozstrzelali go 12 listopada 1943 r., w dniu urodzin Tadeusza. W drugiej połowie lat 40., rzeczywistości zbliżającego się przełomu socrealistycznego, honoru przyjaciela antagonisty bronił właśnie Borowski.

Wkrótce sam przepoczwarzył się w hunwejbina. Vide: publicystyczne dintojry nad książkami Jana Dobraczyńskiego, a zwłaszcza Zofii Kossak, apologia procesów pokazowych, zaangażowanie w socrealizm...

To dwa zupełnie różne zagadnienia, których nie należy łączyć. Wymienianie po przecinku głośnej krytyki powieści Dobraczyńskiego i Kossak-Szczuckiej z procesami pokazowymi jest nie fair. W powojennej literaturze opowiadającej o tym strasznym czasie Borowski krytykował dokładnie to, czego pojawienie się przewidział już w obozie (pisał o tym w listach do Marii i we wstępie do opublikowanego w 1946 r. zbioru trojga autorów pt. „Byliśmy w Oświęcimiu"): uproszczoną, dwubiegunową wizję świata, po którym chodzą wyłącznie wynaturzeni esesmani i uświęcone, szlachetne ofiary, martyrologię i cały zestaw narodowych mitów, by zręcznie wytłumaczyć coś, co dla Borowskiego nie dawało się wyjaśnić w tych kategoriach, co było wielkim kłamstwem kultury i człowieka, który nie ma odwagi spojrzeć sobie w oczy.

On miał swoje wielkie obozowe odkrycie, którym wszedł do polskiej i światowej literatury. Wykorzystując metodę behawioralną, powiedział o człowieku coś, czego przed nim powiedzieć nie miał odwagi nikt inny: ceną przeżycia bywało wyzbycie się człowieczeństwa. Zło jest w nas, czasami objawia się czynnie, niekiedy tylko brakiem sprzeciwu wobec innego zła. Stąd postać narratora opowiadań, cynicznego Tadka, stąd pomysł pisania w pierwszej osobie. Stąd też krytyka zakłamujących – jego zdaniem – prawdę opowieści.

Zajadła publicystyka, sprawozdania z procesów pokazowych – wydarzyły się trzy lata później, w tym czasie miało miejsce wiele innych rzeczy. To z pewnością najczarniejszy okres w życiorysie Borowskiego.

W Polsce Ludowej stał się pisarską gwiazdą, emigracja zdefiniowała go mianem „kapo literatury krajowej"! W roli redaktora naczelnego się nie sprawdził?

Albo sprawdził się aż za dobrze. „Nurt", który doczekał się tylko dwóch numerów, to było niesamowicie odważnie zakrojone pismo, na bardzo wysokim poziomie, którym środowisko młodych twórców próbowało walczyć o swoje forum, swój głos. W okresie, kiedy mocodawcy nowego ustroju i animatorzy nowej linii kulturalno-ideologicznej publicznie wyzywają „na zawsze dwudziestoletnich" poetów warszawskich od faszystów, Borowski otwiera pierwszy numer pisma, o które długo walczył, wierszem Tadeusza Gajcego. W drugim numerze publikuje swoją prozę – „Portret przyjaciela", piękne wspomnienie o Andrzeju Trzebińskim. Już sam gest uhonorowania w ten sposób środowiska „Sztuki i Narodu" był brawurowym, a nie jedynym wystawieniem władz na próbę. Trzeci numer pisma nigdy nie powstał.

Pobyt Borowskiego w Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie, kierowanej przez gen. Jakuba Prawina, miał wymiar dyplomatyczny czy wywiadowczy?

I jedno, i drugie. Wywiad Polski Ludowej w tych pierwszych powojennych latach to jest w ogóle fascynujący temat, dlatego zgłębiam go w książce z dr. Witoldem Bagieńskim, historykiem specjalizującym się w tym zagadnieniu. Wszystko wskazuje na to, że Borowski nie odgrywał istotnej roli agenturalnej, była to raczej zwykła, mało znacząca współpraca, która mogła polegać na niezobowiązującym zbieraniu informacji o Polakach w Niemczech lub, w ramach zadań kontrwywiadowczych, o osobach pracujących na placówce. Zachowała się notatka służbowa, w której stwierdza się, że Borowski nie nadaje się do takiej działalności. Mimo to dostał potem ofertę wyjazdu do Waszyngtonu, prawdopodobnie w podobnym charakterze, ale propozycja pozostała na papierze.

Samokrytykę, dedykowaną Jerzemu Andrzejewskiemu i Wiktorowi Woroszylskiemu, ogłosił z własnej inicjatywy? Wymusił ją bezpardonowy atak Włodzimierza Sokorskiego?

Inspiracja do wydrukowania głośnego artykułu „Rozmowy" była z pewnością silna, nie był pisany z potrzeby serca. Po zjeździe szczecińskim Związku Literatów Polskich (styczeń 1949 r.) władze coraz mocniej naciskały na ludzi pióra, ponieważ brakło plonów socrealizmu. Borowskiego nakłoniono do popełnienia ostatniego z cyklu trzech (stąd tytuł) szkiców krytycznych poświęconych twórczości w duchu nowych wytycznych.

Dopiero w 2005 r., na łamach jednego z czasopism literackich, czyli dość niszowego medium, upubliczniono list pisarza wysłany z Berlina, w którym wyraźnie wymigiwał się przed publikacją tego tekstu, przepraszając jednocześnie za dużą zwłokę w jego powstaniu. Znając taki kontekst, trochę inaczej patrzymy na ten artykuł, chociaż należy przyznać, że to, jak autor bezpardonowo rozprawił się tam ze swoim (i nie tylko) dorobkiem, budzi grozę. Zaprzyjaźniony z nim Aleksander Wat powiedział po latach, że słowa, a wręcz całe zdania tego tekstu dyktowano Borowskiemu przez telefon. Pewnie nigdy nie dowiemy się, ile w tym prawdy. Być może to właśnie ta kwestia, a nie przedwczesny zgon, jest tą zagadką, której nie rozwiążemy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wykorzystując metodę behawioralną, powiedział o człowieku coś, czego przed nim powiedzieć nie miał odwagi nikt inny: ceną przeżycia bywało wyzbycie się człowieczeństwa

Marta Byczkowska-Nowak *– absolwentka polonistyki na Uniwersytecie Łódzkim. Dziennikarka, krytyk teatralny, specjalistka do spraw public relations. Autorka książek: „Którędy na wolność? Historia pierwszej dziewczyny, która uciekła z Auschwitz" oraz najnowszej: „Nieocalony. Tadeusz Borowski".*

eprasa.pl cd69d1a612

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

Zainwestuj w Do Rzeczy S.A. Kup Akcje Spółki!

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

„Idziemy na giełdę, by budować jeszcze mocniejsze, niezależne medium."

Paweł Lisicki
REDAKTOR NACZELNY
TYGODNIKA „DO RZECZY"

Do Rzeczy S.A.
– LIDER KONSERWATYWNO - LIBERALNEGO RYNKU WYDAWNICZEGO W POLSCE W DRODZE NA **New/Connect (GPW)**

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka"). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom maklerski INC S.A.

eprasa.pl cd69d1a612

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

max

Dzień doktora

Lubimy piosenki, które znamy, a serial „Ostry dyżur" lubili wszyscy. Jeden z jego producentów, R. Scott Gemmill, przekonał serwis Max do wyłożenia pieniędzy na kolejną medyczną dramę: „The Pitt". Podobieństwo projektów jest oczywiste, branżowa wieść niesie, że wchodził w grę jakiś spin-off „Ostrego dyżuru" lub nawet jego wskrzeszenie, ale właściciele praw się nie dogadali. Dostaliśmy więc w postaci „The Pitt" opowieść starą, ale nową – w każdym razie sprytnie odświeżoną. Ostatni odcinek liczącego 15 odcinków pierwszego sezonu właśnie trafia do streamingu, tymczasem już w walentynki ogłoszono, że powstanie sezon drugi. I słusznie, nie tylko dlatego, że gwiazdą „The Pitt" jest pamiętany z „Ostrego dyżuru" Noah Wyle.

Tym razem miejscem akcji jest Pittsburgh Trauma Medical Hospital, gdzie każdy dzień wygląda jak przedsionek piekła i trzeba mieć nerwy ze stali, żeby nie poddać się głębokiej depresji – to, co oglądamy na ekranie, nie różni się bardzo od codzienności na polskich SOR-ach, a czasem, powiedzmy wprost, bywa nawet gorzej. Doktor Michael Robinavitch (Wyle) ma też własne traumy, m.in. wciąż wspomina śmierć swego lekarskiego mentora, który zmarł w czasie epidemii COVID-19. Oczywiście tam, gdzie persony, tam konflikty personalne, więc załoga szpitala nie żyje w pokoju i harmonii, oczywiście – jak to w medycznych dramach – wszystko bywa nadmiernie melodramatyczne, ale efekt jest taki, że po prostu świetnie się to ogląda.

Świetny jest chwyt narracyjny, na którym oparto konstrukcję „The Pitt" – otóż cały sezon pierwszy to opowieść o jednym dniu z życia szpitala, a każdy odcinek pokazuje wypadki zachodzące podczas kolejnej godziny. Ta rzadko spotykana w serialach jedność miejsca, czasu i akcji przydaje opowieści autentyczności. Bywały chwile, gdy miałem wrażenie, że gdyby twórcy kultowego „The Wire" (u nas znany jako „Prawo ulicy") chcieli nakręcić jeszcze jeden sezon – o patologiach amerykańskiej służby zdrowia – to efekt mógłby być podobny. Tak czy inaczej, widzowie dopisali, więc ogłoszono już miesiąc temu, że powstanie drugi sezon. Podejrzewam, że pójdą za nim kolejne. ©℗

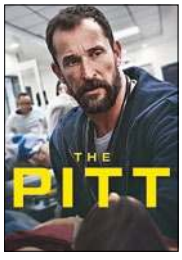

★★★★☆☆

SEZON 1
„THE PITT"
USA 2025

wyst. Noah Wyle, Tracy Ifeachor, Patrick Ball

GRA TYGODNIA: „COMMANDOS: ORIGINS" ★★★★☆☆

1998 – cóż to był za rok! „Baldur's Gate", „Half-Life", „Metal Gear Solid", „Tekken 3", „Resident Evil 2", „StarCraft", „Unreal"... Do tej wyliczanki możemy dorzucić jeszcze parę znakomitych tytułów z „Commandos: Behind Enemy Lines" na czele. Gra wytyczyła nową ścieżkę dla gatunku taktycznych skradanek. W „Origins" powracamy do starych znajomych i znów ruszamy na tyły wroga, by pokrzyżować plany III Rzeszy. Spora dawka nostalgii, którą docenią starsi gracze. A młodsi? Cóż, prawie trzy dekady temu „Commandosi" wzięli nas z zaskoczenia. Dziś to już nie to samo, ale wciąż może się podobać. ©℗ ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *strategiczne, taktyczne*
- ***Platforma:*** *XSX, XONE, PS5, PS4, PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Claymore Game Studios; Kalypso Media*

eprasa.pl cd69d1a612

Dezerter mniemany

FLIX CLASSIC

Epoka, w której kino kierowało ofertę do ludzi myślących, wydaje się dziś równie odległa jak czasy faraonów. Między innymi dlatego, że jej luminarze na recydywę prostactwa zareagowali wywieszeniem białej flagi. Przykładem jest Dirk Bogarde, który zmarł 25 lat temu, lecz z ekranów zniknął o wiele wcześniej. Karierę miał dziwną. Obdarzony urodą amanta zamiast zostać europejskim odpowiednikiem Rocka Hudsona, wyspecjalizował się w postaciach dwuznacznych. Kat i ofiara, twardziel i słabeusz, łobuz i dżentelmen w jednym pakiecie. Taki był w „Zmierzchu bogów", „Śmierci w Wenecji" czy osławionym „Nocnym portierze". Najlepsze kreacje stworzył pod batutą Josepha Loseya. Z ich pięciu wspólnych filmów aktor najmilej wspominał pacyfistyczny dramat „Za króla i ojczyznę". Rzecz dzieje się w roku 1917, jednak prawdziwym tematem jawi się moralny kac, który dopadł Brytyjczyków kilka dekad później, po serii militarnych sukcesów godnych Pyrrusa i rozpadzie imperium, nad którym słońce nigdy nie zachodziło. Konserwatywny system wartości stanął pod znakiem zapytania, zaczęła się era rozliczeń i przewartościowań.

★★★★☆☆

REŻ. JOSEPH LOSEY
„ZA KRÓLA I OJCZYZNĘ" („KING & COUNTRY")
WIELKA BRYTANIA 1964

wyst. Dirk Bogarde, Tom Courtenay, James Hunter

Szeregowiec Hamp i kpt. Hargreaves byli zrazu postaciami literackimi, a potem bohaterami teatralnego spektaklu. Ten sceniczny rodowód widać na ekranie: wojacy czekający w okopach na rozkaz przeprowadzenia kolejnego samobójczego ataku są niczym chór grecki. Hamp, z zawodu szewc, zgłosił się na ochotnika, sprowokowany przez żonę i teściową. Po trzech latach spędzonych na zachodnim froncie wyczerpał limit szczęścia. Samowolnie wybrał się na spacer, nie zdając sobie sprawy z możliwych konsekwencji. Stan psychiczny żołnierza weterana to ostatnia rzecz, która interesuje dowództwo. Hamp trafia przed sąd polowy, a Hargreaves, obrońca z urzędu, wydaje się zobojętniałym służbistą. Bogarde grywał już oficerów, lecz tym razem jego mundur jest (dosłownie i w przenośni) uwalany błotem. Adwersarz, Tom Courtenay, to również aktor znakomity. Nie daje się zepchnąć w cień starszemu koledze. Mimo nagród i entuzjastycznych recenzji film szybko spadł z afisza. Krzepiące historie zawsze sprzedają się lepiej, ale te dołujące pamięta się dłużej. ©℗

Wiesław Chełminiak

NAJTAŃSZY POKÓJ

Jeśli ktoś chce zamienić rajską plażę w Ceará na betonową dżunglę São Paulo, to musi być bardzo młody albo mało rozgarnięty. Heraldo spełnia oba warunki. Wpada w kłopoty zawsze, gdy zainteresuje się nim jakaś kobieta, lecz żadnych wniosków z tego nie wyciągnie. Pomysł szukania azylu w przydrożnej noclegowni, nastawionej na klientów seksoholików („Klucz do najtańszego pokoju, proszę!"), zaowocuje sytuacjami zaskakującymi dla widza, który obejrzał tysiąc komedii romantycznych i ani jednego erotycznego dreszczowca. Problem z filmem Aïnouza jest taki, że wyrafinowanej formie towarzyszy treść zbudowana z pustaków, czyli stereotypów. Niech już będzie: Brazylijczycy są z natury nierozsądni, mają słabość do jaskrawych kolorów i używek, grzeszą myślą, mową i uczynkiem. Ale gdzie się podziała ich miłość do futbolu? Co za wtopa! ©℗

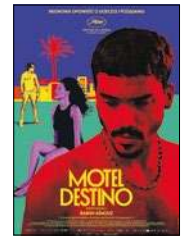

KINO

★★★☆☆☆

REŻ. KARIM AÏNOUZ
„MOTEL DESTINO"
BRAZYLIA 2024

wyst. Iago Xavier, Nataly Rocha, Fábio Assunção

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Co babie do pędzla?

Opracowania poświęcone historii sztuki, a także większość galerii muzealnych prezentuje ustalony od dawna kanon »wielkich artystów«. Wśród polskich twórców XIX i pierwszej połowy XX wieku kobiety reprezentuje, poza Olgą Boznańską, zaledwie kilka malarek" – zauważają autorzy wystawy „Co babie do pędzla?! Artystki polskie 1850–1950". A przecież było ich – wykształconych artystek: malarek, grafików, rzeźbiarek, architektów itd. – dużo więcej. Przełom wieków XIX i XX to czas dynamicznych przemian obecności kobiet w sztuce.

FOT. MUZEUM NARODOWE W LUBLINIE/FACEBOOK

Ich spuściznę przypomina wystawa na Zamku Lubelskim, na której zgromadzono kilkaset dzieł stworzonych przez 133 artystki, m.in.: Olgę Boznańską, Zofię Stryjeńską, Melę Muter, Alicję Halicką, Annę Bilińską, Magdalenę Gross, Annę Rajecką, Katarzynę Kobro, Anielę Pająkównę, Ewę Łunkiewicz-Rogoyską, Małgorzatę Ładę-Maciągową, Wandę Chełmońską. ©℗

GDZIE? Muzeum Narodowe w Lublinie
KIEDY? do 5 października

eprasa.pl cd69d1a612

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Italiam! Italiam!

Czytelnicy trzech tomów „Dzienników włoskich" Grzegorza Musiała mogą potraktować najnowszą książkę tego autora jako dopełnienie tamtych tytułów. Tak jednak nie jest, niezależnie od faktu, że znajdziemy tu eseje o Wenecji i Florencji, Rzymie i Neapolu, Sienie i Palermo, a w drugiej części książki szkice odnoszące się do podróży w inne rejony świata, m.in. do Libanu, Meksyku czy Szkocji. Ale dla mnie jest to nade wszystko rozpisany na poszczególne opowieści hymn o urodzie świata i obecności w nim Boga.

A Włochy? One są czystym pięknem. Grzegorz Musiał wielbi je i dlatego, jak pisze, np. Wenecja jest dla niego „kobietą, kochanką, do której wędrować należy nieśpiesznie i pokornie, jak do zaklętego źródła". Ale w tej samej Wenecji, nasyciwszy się jej barwami, przywołuje autor swą rozmowę z pochowanym tu Josipem Brodskim o tym, co jest w życiu ważniejsze: „»Po prostu« – uwierzyć w Boga, zdobyć się na ten heroizm? Czy raczej pozwolić go sobie odebrać, a potem gonić za Nim i opowiadać w dziesiątkach rozchwytywanych przez świat wierszy, jaki to ból utraty. A może perwersyjna radość z uzyskania czegoś, co nazywać nam każą wolnością".

Do Manoppello, małego miasteczka w Abruzji, gdzie przechowywane jest Boskie Oblicze „nie-ludzką ręką" stworzone na całunie, przybywa coraz więcej pielgrzymek diecezjalnych z Polski. Oczywiście po to, by w tamtejszym kościele Kapucynów zobaczyć wizerunek Chrystusa żywego. I, bywa, usłyszeć taki komentarz – z ust polskiego kapłana: „– Oto widzimy namalowany na płótnie

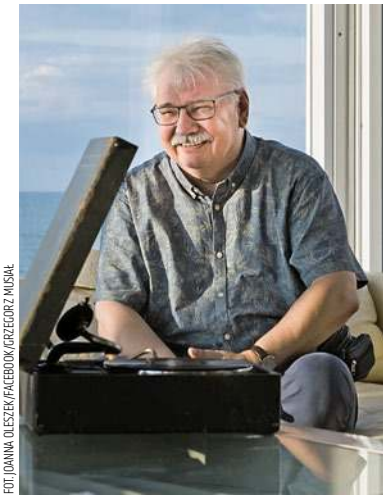

FOT. JOANNA OLESZEK/FACEBOOK/GRZEGORZ MUSIAŁ

portret mężczyzny w średnim wieku, z brodą… – przemądrzałym tonem sadzi owieczkom, przybyłym, sądząc po rejestracji autobusu, z Krakowskiego. – Czy jest on cudowny? Nie wiadomo. Można w to wierzyć lub nie… – tokuje, jakby postradał rozum. Bo jeśli nie wierzy w cudowność tego wizerunku, to po co tłuc się tutaj przez dwa dni autokarem z Polski?".

A po co jeździć do Rzymu? Aby potem opowiadać, że kuchnia tam niezgorsza, lody świetne, obejrzany mecz Romy taki sobie, pomników cała masa i brudno ponad miarę. A może po to, by samemu przekonać się, że dziś, gdy po Babilonie nie ma śladu, Ateny zamieniły się w „uroczy zgalwanizowany trupek", a z piasków Egiptu „wiatr wywiewa dawne prochy legend i wspaniałości" – Roma, to żywe dzieło kultury łacińskiej i chrześcijaństwa, trwa. Olśniewając niewierzących swoim artystycznym pięknem, a wierzących – „również, czy przede wszystkim, nieśmiertelnością Wiary, którą ucieleśnia starzec odziany w biel i wydający się bezbronnym, gdy w niedzielne przedpołudnie ze swego podniebnego okienka czyni nad kolumnadami placu św. Piotra i dalej, nad Kwirynałem, Awentynem, Lateranem, nad całą Italią i nad resztą świata, tak dzisiaj niechciany, wzgardzony znak Krzyża".

Grzegorz Musiał zachwyca się Italią, nie znaczy to jednak, że nie dostrzega toczących ją schorzeń czy wręcz plag. Dość przejść się najelegantszą promenadą Palermo, via Roma, na której zaczynają dominować uchodźcy przybyli do tego „małego Neapolu" z Lampedusy. To oni sprawiają, że miasto staje się przeludnione, „zatracając coraz głębiej swój wdzięk w topieli afrykańskiej nędzy, chorób, przestępczości". I pomyśleć, że Afryka, z której uciekli, to najbogatszy kontynent świata, „którego bogactw od wieków nie mogą się nakraść światowe korporacje".

Oburza hipokryzja tych wszystkich, którzy wygłaszają slogany o Europie witającej swych afrykańskich braci, „nie widząc lub nie chcąc widzieć ich twarzy zawiedzionych, oszukanych, zdychających z nędzy i chorób po bramach europejskich miast. No właśnie, tu też… na tej cudownej ukwieconej wyspie, co krok rozgrywa się ponury dramat wyciągniętej z kłębka łachmanów ręki i oczu gorączkowo płonących w cieniu wychudłego oblicza".

Opowiada Grzegorz Musiał o mieście irysów, którym jest Florencja, o mieście ognia – Neapolu – czy o sercu Umbrii – Asyżu. Z czułością, ze znawstwem architektury, malarstwa, poezji. Z modlitwą na ustach. Zatem, proszę państwa: Do Włoch! Do Włoch! – że przywołam tu sławny wiersz Norwida. Nie zapomnijmy jednak wcześniej przeczytać książkę Grzegorza Musiała. Lub zabrać ją ze sobą. ©℗

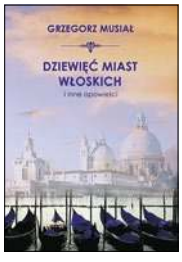

★★★★★☆

GRZEGORZ MUSIAŁ „DZIEWIĘĆ MIAST WŁOSKICH I INNE OPOWIEŚCI" ZYSK I S-KA, POZNAŃ 2025

eprasa.pl cd69d1a612

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Wojna i miłość

James Kestrel podpatruje najlepszych. Początek powieści „5 grudniów" to echa „Stąd do wieczności" Jamesa Jonesa – jest rok 1941, trafiamy na Hawaje kilka dni przed japońskim atakiem na Pearl Harbor. Jak Pacyfik długi i szeroki bazy roją się od jankesów; nadlatują samoloty, porty nie są w stanie pomieścić okrętów wojennych. Nadchodzi wielka burza.

Joe McGrady, były wojskowy, a obecnie policjant, prowadzi dochodzenie w sprawie podwójnego morderstwa. Jedną z ofiar jest siostrzeniec amerykańskiego generała. Ale kim była towarzysząca mu Japonka? Główny podejrzany uciekł do Hongkongu. McGrady podąża jego tropem. Tam zastanie go wybuch wojny, który oznaczał będzie japońską okupację i niewolę lub kulę w łeb dla wszystkich białych. Kto pamięta „Króla szczurów" Jamesa Clavella, ten wie, o czym mówię – oto kolejna inspiracja Kestrela. No i przede wszystkim nie byłoby tej książki bez Raymonda Chandlera, „5 grudniów" to kryminał noir, choć fakt, że z dodatkiem powieści wojennej, a właściwie szpiegowskiej.

Czyta się to niemal jak powieść z epoki. Niemal, bo wiemy, że to doskonała imitacja, nie oryginał. Ale nawet imitacje zamieniają się w wartościowe dzieła osobne, wspomnijmy choćby powieści Dennisa Lehane'a czy Jamesa Ellroya. Kestrel pisze dobrze, ma oko do szczegółów i porusza się w świecie, który zna jak własną kieszeń (sporo podróżował po Azji, mieszkał kiedyś na Tajwanie, a dziś jest lokatorem Hawajów). Ustawiłbym go jednak o półkę niżej niż obu wspomnianych mistrzów, różni go od nich głęboka naiwność. O sprawach sprzed lat pisze anachronicznie, bo z punktu widzenia współczesnego liberała pacyfisty, winiąc za wojenne (i nie tylko) tragedie ludzi, którzy nie rozumieją, że „jeśli pragniemy lepszego świata, to powinniśmy zacząć od siebie". Cóż, imperialna machina Japonii i totalitarny walec III Rzeszy były jednak wyrazem chorób dużo poważniejszych niż chwilowy brak odpowiedniej liczby ludzi dobrej woli.

Paradoksalnie więc Kestrel najsłabszy jest tam, gdzie stara się być najbardziej szlachetny, a najlepszy, gdy opisuje świat brutalny i cyniczny – może dlatego, że takie właśnie powinny być i kryminał noir, i szpiegowski melodramat. Tak czy inaczej, dawno nie czytałem książki, której kartki przewracałbym z tak wielką niecierpliwością, zaciekawiony, co będzie dalej. ©℗

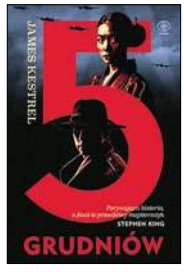

★★★★☆☆
JAMES KESTREL
„5 GRUDNIÓW"
REBIS 2025

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Jak chrześcijański przewrót zmienił oblicze świata" – brytyjski historyk o tym, jak rzeczy uznawane dziś za oczywiste (choćby wolność i godność osoby ludzkiej) pojawiły się w świecie Zachodu dopiero dzięki nowej religii.

TOM HOLLAND
„BOŻE WŁADZTWO"
PIW

Rok 1025, koronacja księcia Polan, Bolesława. Jak wyglądała wtedy Europa, a jak życie na ziemiach polskich? Jak przebiegały wojny Chrobrego z Niemcami? Ze swadą opowiada o tym prof. Polak w swojej najnowszej pracy.

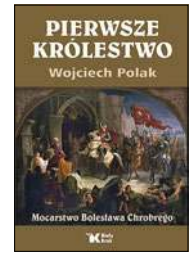

WOJCIECH POLAK
„PIERWSZE KRÓLESTWO"
BIAŁY KRUK

Tom autobiograficznych opowiadań oryginalnie wydany w 1971 r., gdy znany przyrodnik był już sławny dzięki książce „Moja rodzina i inne zwierzęta". Bardziej o ludziach niż o zwierzakach, ale wciąż zabawnie.

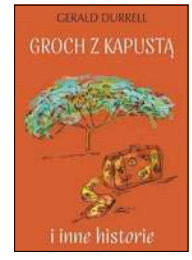

GERALD DURRELL
„GROCH Z KAPUSTĄ"
NOIR SUR BLANC

Zakochany w Wenecji, we Florencji, w Sienie – długo by wymieniać – autor m.in. bestsellerowej powieści „Ja, Tamara" prowadzi nas nie tylko poprzez historię. W drugiej części książki zapiski z podróży m.in. do Szkocji i Meksyku.

recenzuje Piotr Gociek

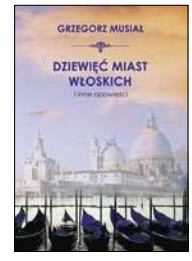

GRZEGORZ MUSIAŁ
„DZIEWIĘĆ MIAST WŁOSKICH I INNE OPOWIEŚCI"
ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA:
CYGANKA TAŃCZY

Francuski rysownik Georges Bess znany jest polskiemu czytelnikowi jako współpracownik komiksowy, partner Alejandra Jodorowskiego, ale przede wszystkim z serii świetnych adaptacji klasyki literatury. Po albumach „Dracula" i „Frankenstein" przyszła kolej na „Dzwonnika z Notre Dame" wedle powieści Wiktora Hugo.

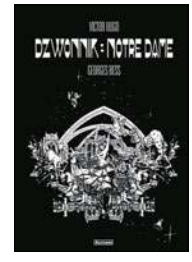

GEORGES BESS
„DZWONNIK Z NOTRE DAME"
SCREAM COMICS 2025

Powieść graficzna dokłada do oryginału nie tylko oryginalne spojrzenie rysownika, lecz także anarchiczny humor. *Piotr Gociek*

eprasa.pl cd69d1a612

Ostpolitik dla Polski

Marek Jurek

Naszymi ideami powinno być utrwalenie i umocnienie niepodległości Polski oraz wartości naszej kultury, a nie szerzenie... coraz mniej demokratycznej demokracji

FOT. ADOBE STOCK

Wstępna uwaga o języku politycznym

Osiem lat temu, w dniu pierwszej inauguracji Donalda Trumpa, ogłosiliśmy z Kazimierzem Michałem Ujazdowskim artykuł w „Rzeczpospolitej" postulujący cele polityki polskiej w wypadku odprężenia w relacjach amerykańsko-rosyjskich. Piszę „odprężenie", a nie „reset", gdyż słynny obamowski „reset" był jedynie kolejnym odprężeniem w relacjach Waszyngton – Moskwa. „Eventowy" język współczesnej polityki każe przedstawiać każde, najbardziej rutynowe działanie jako „nowość". Jednak ten medialno-wyborczy język, obliczony na ustawiczną promocję i zabiegi o popularność, zaciemnia istotę polityki, jej tendencje, powtarzalność, stałe motywy. Co więcej, ustawiczna „nowość" sprawia, że opinia publiczna łatwo może przeoczyć rzeczywiste przełomy, kiedy naprawdę potrzebny jest nowy początek.

1. ODPRĘŻENIE, CZYLI STAN NATURALNY RELACJI WASZYNGTON – MOSKWA

Uporczywe przeplatanie się bezpośrednich napięć czy pośrednich konfrontacji w relacjach Waszyngton – Moskwa z „pokojowymi współistnieniami" i „odprężeniami" to po prostu wyraz dwóch aspektów amerykańskiej, a także każdej polityki zagranicznej: celów i wynikających z okoliczności środków. Celem dla Stanów Zjednoczonych był zawsze korzystny pokój, Pax Americana; okolicznościami – konieczność powstrzymywania Sowietów, a potem czasami i postsowieckiej Rosji, przed naruszeniem pokoju czy zmuszeniem Amerykanów do reakcji, których nie chcą.

Zasadniczym elementem odprężeń w relacjach amerykańsko-rosyjskich było zawsze rozbrojenie, czyli wzajemne zmniejszenie prawdopodobieństwa wojny. To perspektywa, którą i Polska powinna przyjąć. Ale wymaga to również dania pola aktywnej dyplomacji, nie tylko biernego oczekiwania na załamanie pokoju.

Najważniejsze jest odsunięcie – w przestrzeni, więc i w czasie – groźby bezpośredniego ataku ze strony Rosji. Paradoksalnie na czynnik ten powinni zwracać szczególną uwagę zwolennicy oparcia obrony głównie na pomocy zewnętrznej. Bo przecież uruchomienie pomocy sojuszników wymaga właśnie czasu. Tu każdy tydzień, każda kolejna – naturalna i polityczna – przeszkoda mają dla naszego bezpieczeństwa istotne znaczenie.

2. TRUMP, CZYLI TRUDNA KONIUNKTURA

Dlatego właśnie osiem lat temu pisaliśmy z Ujazdowskim, że pierwszym, zarazem konkretnym, jak i długofalowym, celem polityki wschodniej jest demilitaryzacja Królewca. Drugim, który pojawił się w międzyczasie, jest wycofanie wojsk rosyjskich z Białorusi. Amerykanie muszą wiedzieć, że oczekujemy wsparcia w tych właśnie sprawach, Rosjanie, że te pragmatyczne postulaty są stale przez Polskę podnoszone. W istocie rzeczy najważniejszym sensem apelu prezydenta Andrzeja Dudy o rozmieszczenie w Polsce amerykańskiej broni nuklearnej, który zaskoczył część opinii zachodniej, może być użycie tego postulatu jako karty przetargowej w negocjacjach na temat wycofania wojsk rosyjskich z granic Polski.

Dyplomacja wymaga cierpliwości, ciągłości i wyobraźni. Przede wszystkim wymaga jednak jasnej świadomości interesów, czego chcemy od sojuszników i przeciwników. Jak wyobrażamy sobie ład, który chcemy osiągnąć. Gdy piszę o powyższych postulatach, mam świadomość ich „horyzontalnego" charakteru i wszystkich przeszkód dla ich realizacji, szczególnie w obecnych warunkach. Trudno wiarygodnie zmienić politykę po latach politycznej egzaltacji. A jednak prezydentura Donalda Trumpa w Stanach Zjednoczonych oraz wybory w Polsce i zmiana pokoleniowa,

eprasa.pl cd69d1a612

którą niosą, otwierają tu pewne możliwości. Stawiają nas wobec konieczności zmierzenia się z rzeczywistością i jasnego zdefiniowania – w sposób spójny na polu narodowym i międzynarodowym – założeń polskiej racji stanu.

Pierwszą więc rzeczą powinno być przyjęcie i ogłoszenie zasady, że główne cele naszej polityki wschodniej mają charakter narodowy i regionalny, że na relacje Zachodu i Rosji patrzeć będziemy z tej właśnie perspektywy. Nasze cele to pokój i bezpieczeństwo granic, podstawa ich realizacji, tych właśnie celów – pokoju i bezpieczeństwa granic – to wzmocnienie potencjału obronnego Rzeczypospolitej. Systematyczne dozbrajanie Polski połączone z umiarem w polityce międzynarodowej, szczególnie w momentach kryzysów, to sposób na zagwarantowanie tej polityce wiarygodności. Im będziemy silniejsi, tym mniej nasz umiar będzie postrzegany jako słabość.

Polska, pozostając solidnym uczestnikiem Przymierza Atlantyckiego, powinna zrezygnować z roli herolda globalnej konfrontacji z Rosją. Nie mieliśmy żadnego interesu w nawet deklaratywnym angażowaniu się w konfrontację z Rosją np. na Bliskim Wschodzie. Ani w cenzurowaniu swojej solidarności z Armenią tylko dlatego, że ta przez lata musiała korzystać z rosyjskiej protekcji. Owszem, tam, gdzie to jest kwestia wyraźnie formułowanych oczekiwań sojuszniczych, możemy zajmować stanowisko dyktowane ich potrzebami, ale warunkowo, powściągliwie, oczekując szacunku dla naszych wartości i wzajemności wobec jasnej agendy naszych interesów regionalnych.

Niedawno pisałem o postawie Niemiec w okresie zimnej wojny. Przez cały okres powojenny, dzielący upadek Berlina od zburzenia muru berlińskiego, Niemcy uważały, że kolejna wojna będzie dla nich tragedią. Budowały więc solidną pozycję w NATO, wykorzystywały swe kluczowe położenie geopolityczne i jednocześnie przeciwdziałały niebezpieczeństwu wojny. Łączyły niezawodną pozycję w sojuszu z daleko idącą autonomią dyplomacji.

Mamy zarówno dane, jak i interes, by prowadzić podobną politykę.

3. „ANI PUTIN, ANI SOROS"

Nie chodzi tu o spłaszczenie naszej polityki, pozbawienie jej szerszego wymiaru ideowego. Przeciwnie – naszymi ideami powinno być utrwalenie i umocnienie niepodległości Polski oraz wartości naszej kultury, a nie szerzenie… coraz mniej demokratycznej demokracji.

Wielu naszych polityków łudziło się, że wojna przyniesie wzrost znaczenia międzynarodowego Polski

Wielu naszych polityków łudziło się, że wojna przyniesie wzrost znaczenia międzynarodowego Polski. Zainteresowanie Polską okazało się bardzo przejściowe, a Unia Europejska w niczym nie zmieniła stosunku do działającego w awangardzie Zachodu rządu Mateusza Morawieckiego. Tym bardziej jednak trzeba zdać sobie sprawę, że konflikt z Rosją przynajmniej pozwalał zauważać Polskę. Konsolidacja systemu liberalnego, bezproblemowo prounijne rządy na Wschodzie, wiernie wdrażające „standardy europejskie", mogłyby jedynie zwiększyć naszą moralną izolację, presję na każdy polski rząd, ograniczając nasze możliwości nie tylko w polityce zewnętrznej, lecz także wykonywaniu suwerennej władzy we własnym państwie.

Ukraina czy w przyszłości Białoruś mogą być dla nas oparciem w Europie, ale tylko w tym stopniu, w jakim będą miały świadomość własnej duchowej tożsamości i porzucania tej tożsamości przez współczesny Zachód. Owszem, potrzebujemy ich woli niepodległości, ale podpartej ambiwalencją wobec współczesnego Zachodu, nie ślepą, konsumpcyjną fascynacją.

Zasadą naszej polityki na Wschodzie powinno było być od lat proste hasło „ani Putin, ani Soros", najprostszy wykładnik umacniania niepodległości i narodowego charakteru tych państw oraz odbudowy chrześcijańskiej opinii publicznej. Skoro nie mamy szans na konkurowanie z Brukselą i Berlinem – to budujmy wpływ na część opinii publicznej narodów wschodnioeuropejskich. Również nasza krytyka Rosji powinna w wiarygodny sposób konfrontować pseudokonserwatywne hasła postsowieckich władz z rosyjską rzeczywistością społeczną, utrudniając w ten sposób manipulowanie przez Moskwę konserwatywnymi niepokojami na Wschodzie.

Zupełnie niezrozumiałą kwestią – na tle egzaltacyjnego charakteru naszej polityki – była niechęć do podejmowania kwestii sowieckiego charakteru współczesnej Rosji. To powinien być jeden z elementów naszej polityki adresowanej do inteligencji krajów wschodnioeuropejskich. Można doskonale zrozumieć, dlaczego współczesny Zachód na putinowskie perory o „denazyfikacji" Ukrainy nie odpowiadał, że kluczowym dla niego problemem w relacjach z Rosją jest nieprzezwyciężone brzemię komunizmu, symbolizowane przez Mauzoleum Lenina na placu Czerwonym. Trudno, żeby mówiła o tym Komisja Europejska, której przewodniczący prowadził obchody 200-lecia urodzin Karola Marksa. Ale dlaczego takiego orędzia nie formułowała Polska?

Konfrontacja na polu kultury jest przecież o wiele bezpieczniejsza i bardziej płodna od wzywania innych do militarnego zaangażowania, w którym na koniec my sami nie chcemy brać udziału.

4. NOWE POKOLENIE, NOWY POCZĄTEK

Podjęcie nowej polityki nie jest rzeczą prostą. Trzeba przekonać opinię publiczną do jej celów, otoczenie międzynarodowe – do jej wiarygodności i trzeba wytrwać przy wybranej strategii w momencie kryzysów, mimo pokus emocjonalnego czy międzynarodowego konformizmu. Ale żeby podjąć te wszystkie wyzwania – trzeba zrobić pierwszy krok. Oglądamy dziś załamanie wielu założeń dotychczasowej polskiej polityki. Jeśli wybierzemy prezydenta kierującego się racją stanu, wiernego naszej kulturze, mającego rzeczywiste poczucie odpowiedzialności społecznej, więc odpowiedzialności za ludzi, osobistej odpowiedzialności przede wszystkim – to będzie on miał wszelkie dane do tego, by sformułować narodową strategię na nowe czasy. To nie stanie się jednak siłą bezwładu, w ten sposób można jedynie powtarzać stare błędy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd69d1a612

Sztuka wojny dla początkujących

FOT. ADOBE STOCK

Agnieszka Couderq

O tym, jak brak właściwego rozeznania może skutkować klęską, przekonują się dziś Amerykanie i Europejczycy, którzy w końcu lat 70. ocieplali stosunki z komunistycznymi Chinami. Przybywający do tego państwa z Zachodu decydenci zbyt łatwo dali się zmylić identycznym w ich oczach twarzom Chińczyków i zdezelowanym rowerkom, na których ci przemieszczali się masami po ulicach Pekinu. Widok ten uśpił czujność przybyszów. Donald Trump próbuje naprawić błędy swoich poprzedników

Ostatnio świat żyje wprowadzanymi bezkompromisowo przez prezydenta Donalda Trumpa cłami na produkty importowane do USA. Nie rozumiem zaskoczenia. Od dawna z jego wypowiedzi wynika, że deficyty handlowe z partnerami takimi jak Chiny (czy Unia Europejska) leżą mu na sercu i to w nich upatruje, zresztą słusznie, główną przyczynę słabnięcia potęgi Stanów Zjednoczonych oraz postępującego ubożenia klas średnich w Ameryce. Kontrrewolucja Trumpa to powrót do zdrowego rozsądku, a przecież sama Biblia mówi, że z próżnego i Salomon nie naleje. Jak długo można budować na próżni? A czy czymś innym jest życie na kredyt lub, w przypadku państwa, z deficytu budżetowego? Według badań Banku Światowego przedłużający się dług publiczny powyżej 77 proc. stanowi istotne zagrożenie dla gospodarki kraju, ponieważ jego spłata, wysysając środki z obiegu, odbija się negatywnie na jej możliwościach inwestycyjnych. Dziś amerykański dług publiczny to 124 proc. PKB.

W połowie marca 2025 r., gdy akcje na nowojorskich giełdach odnotowywały paniczne spadki, zapytany o to, czy nie martwi go perspektywa recesji, Trump odwołał się do chińskiego sposobu myślenia. Powiedział: „Moim zamiarem jest zbudować silne państwo. Nie można przejmować się tym, co się dzieje na giełdzie. Jeśli spojrzycie na Chiny, to oni myślą w kategoriach następnych 100 lat. My zaś myślimy kwartałami. Tak dalej być nie może. Trzeba robić to, co jest słuszne".

BEZ ROZLEWU KRWI

Trump ma rację. I chyba jest pierwszym zachodnim politykiem, który w tak rozumny sposób publicznie nawiązał do tego, co stanowi integralną część chińskiej sztuki wojennej. Pewnie jest

eprasa.pl cd69d1a612

mu znajoma, bo nieraz robił z Chińczykami interesy. A zarządzanie państwem to interes, czyli biznes. Biznes to inna forma prowadzenia wojny, a Trump jest biznesmenem. Państwa, tak samo jak przedsiębiorstwa, mają swoje potrzeby i cele, które stoją w konkurencji do potrzeb i celów innych suwerenów. Podobnie jak firmy gospodarki krajowe też muszą zarobić na siebie i na swoich „udziałowców", którymi są obywatele. Nadmierne zadłużenie zagraża ich przetrwaniu i może doprowadzić je do upadłości, jak miało to miejsce już kilkakrotnie. Upadłość zaś łączy się z utratą suwerenności, a więc zaiste jest się o co martwić.

A zatem przetrwanie. Na świecie nie ma chyba przykładu trwania państwowości lepszego niż Chiny. Pierwsza półlegendarna dynastia Xia zaczęła tam swe panowanie w XXI w., ale… przed naszą erą. Od III w. p.n.e. i panowania pierwszego cesarza Qin Shi Huanga do dziś znajduje się w obrębie niemalże tych samych granic administracyjnych. W przeciwieństwie do innych starych cywilizacji, jak Indie, Persja czy Egipt, których obecna kultura zaledwie w małym stopniu przypomina starożytne poprzedniczki, w Chinach pozostała taka sama, nieprzerwanie rozwijając się z antycznego korzenia. Jako sinolog mogę odczytać znaki oznaczające np. „słońce", „księżyc", „deszcz" czy „władca" wyryte na łopatkach zwierzęcych ponad 3 tys. lat temu. Musi być więc coś w kulturze Chin, co powoduje aż tak niezwykłą jej wytrzymałość…

Jedno ze źródeł tego fenomenu leży właśnie w „Bin fa" – „Sztuce wojny". Jest to najstarszy, pochodzący z VI w. p.n.e. podręcznik strategii militarnej autorstwa Sun Zi, jednego z największych i najwcześniejszych ekspertów wojskowych i pierwszego przedstawiciela nurtu realizmu w stosunkach międzynarodowych. Nazwa ta jednak jest myląca. Równie dobrze można byłoby zatytułować owe dzieło „Sztuka pokoju". Albowiem – mimo że faktycznie mowa tu o sposobach i warunkach prowadzenia działań wojskowych – z ducha tej księgi jasno wynika, iż najlepszym sposobem prowadzenia wojny jest utrzymywanie pokoju bez rozlewu krwi. Sun Zi mówi wprost: „Najwyższym osiągnięciem jest pokonać wroga bez walki". Dalej powiada: „Dlatego najwyższą sztuką jest zwyciężyć armię wroga bez wydania bitwy. Zająć miasta wroga bez oblegania i zająć tereny jego państwa bez inwazji". I dalej konkluduje: „Zwyciężaj strategię strategią".

Umiejętność prowadzenia wojen bez rozlewu krwi to obca ludziom Zachodu dziedzina. A nam, Polakom, wspominając naszą historię i obserwując wypowiedzi naszych przedstawicieli politycznych, tym bardziej. A szkoda. Oszczędzilibyśmy sobie wiele kłopotu. Nigdy jednak nie jest za późno, by ją posiąść, gdy się jest wyborcą, a tym bardziej kandydatem na odpowiedzialne dla narodu stanowisko. Warto więc, byśmy my, głosujący, podejmowali decyzje w przekonaniu, że nasi wybrańcy spełniali warunki przywódcze, o których mowa w dziele Chińczyka. Albowiem podążając za Sun Zi, przywódca, „który rozumie strategię wojny, jest ministrem ludzkiego losu oraz sędzią przeznaczenia narodu".

Oczywistą sprawą w prowadzeniu wojny – a do tego sprowadza się rządzenie krajem – jest dobre rozpoznanie okoliczności w świecie, w których przychodzi nam rządzić. Rozpoznanie nie może ograniczać się do obecnego stanu rzeczy. Tak jak na zachowanie człowieka wpływają jego charakter i wydarzenia z jego przeszłości, tak samo na działania podejmowane przez kraje mają wpływ ich kultura i historia. Rolą dobrego przywódcy jest je rozeznać. „Poznaj dobrze wroga i poznaj dobrze siebie, a w stu bitwach nie doznasz klęski" – mówi Sun Zi.

KARYGODNY BRAK WIEDZY

W czasie studiów natknęłam się na anegdotę, która ilustruje znakomicie różnicę między głupim a mądrym przywództwem. W III w. p.n.e. pod koniec Okresu Wiosen i Jesieni, o hegemonię nad Chinami walczyło siedem królestw. Najbardziej waleczne z nich, Qin, położone było w miejscu narażonym na susze. Susza oznaczała nieurodzaj, a ten – brak prowiantu dla armii. Niedostateczna armia zaś dla ambitnego młodego króla Qin, Ying Zhenga, była hamulcem w podboju sąsiadów. Skutecznym remedium na susze była irygacja. Niestety, Qin było technologicznie zacofane w tej dziedzinie. Tymczasem w sąsiednim królestwie Han mieszkał niejaki Zhengguo, najznamienitszy wówczas hydrotechnik na obszarze Chin. Król Han, obawiając się rosnącego w siłę Qin, postanowił podstępem osłabić przeciwnika. Pod pretekstem dobrosąsiedzkich stosunków wysłał pana Zhengguo na dwór Qin, proponując, by ów zbudował dla króla Qin kanał irygacyjny, który znacznie poprawiłby produkcję rolną w tym państwie. Oczywiście było to kłamstwo. Prawdziwym celem było wyczerpanie sił i kapitału Qin na budowę projektu niewypału. Król Qin przyjął propozycję sąsiada za dobrą monetę i przekazał inżynierowi Zhengguo niezbędne środki i siłę roboczą. Jednakże intryga szybko się wydała. Rozwścieczony król Qin kazał aresztować zdrajcę i przywieść go przed swoje oblicze. Widząc, że jego koniec jest bliski, Zhengguo padł na kolana i rzekł do króla: „Panie, prawdą jest, że przysłał mnie tu król Han, któremu służyłem przez kilka lat. Lecz teraz przysięgam służyć tylko tobie i jeśli dasz mi szansę, to kanał, który wybuduję, służyć będzie Qin przez wieki". Mądry Ying Zheng zgodził się, ułaskawił Zhengguo, który wybudował tym razem naprawdę nowoczesny system irygacyjny. Inwestycja potroiła zbiory rolne państwa Qin. Król Qin powiększył armię i ruszył na wojnę. Pierwszym państwem podbitym przez niego było Han. Po nim podbił kolejne i przeszedł do historii jako Qin Shi Huang. Jaki morał z tego? Miej rozeznanie, z kim masz do czynienia, i nie wypuszczaj z rąk, jak zrobił to król Han, swojej przewagi, bo inaczej stracisz nad nią kontrolę. Dlaczego przytoczyłam tę historię? Bo znajomość jej winna być podstawą kształcenia każdego, kto chce rządzić albo zarządzać.

Tymczasem o tym, jak brak właściwego rozeznania może skutkować klęską, przekonują się dziś Amerykanie i Europejczycy, którym go zabrakło, gdy pod koniec lat 70. ocieplali stosunki z komunistycznymi Chinami. Nie sam fakt ocieplenia był błędem. Karygodnym i mającym strategiczne konsekwencje przewinieniem był ich kompletny brak wiedzy o chińskim partnerze. Przybywający do Chin decydenci, nieznający tego kraju i jego kultury, jak do dziś większość ludzi Zachodu, zbyt łatwo dali się zmylić identycznym w ich oczach twarzom Chińczyków i zdezelowanym rowerkom, na których ci przemieszczali się masami po ulicach Pekinu. Widok ten

eprasa.pl cd69d1a612

uśpił czujność przybyszów. Zobaczyli przed sobą nie naród z pięciotysięczną historią własnej cywilizacji, który wymyślił proch, druk i papier, a armię robotów gotowych za centa produkować owoce rozwiniętej technologii Zachodu. Nie przeczuwając niebezpieczeństwa, aroganccy w swym poczuciu kolonialnej wyższości przyjechali z blue printami swych technologii i dobrowolnie je przekazali. Tymczasem Chińczycy zastosowali jeden ze swych Trzydziestu Sześciu Forteli Wojennych. „Jeśli jesteś do czegoś zdolny, to udawaj niezręcznego" – radzi Sun Zi. A inny tekst „Sześć tajemnych nauk" z V w. p.n.e. powiada: „Kiedy Mędrzec chce podjąć działanie, czyni to, sprawiając wrażenie głupka".

Dziś Ameryka budzi się z letargu, a prezydent Trump sięga po mądrość chińską. Wielki dowódca pierwszy wyznacza pole i czas bitwy. Trump właśnie to uczynił. Polem jest handel międzynarodowy, a starcie się rozpoczęło. Jednym z celów jest zlikwidowanie deficytu handlowego, który dziś wynosi ok. 4 proc. amerykańskiego PKB. Lecz nie to jest najważniejsze. Trumpowi chodzi przede wszystkim o ponowne uprzemysłowienie Stanów, które ma stać u podstaw bezpieczeństwa narodowego, tak by uczynić kraj w zasadzie samowystarczalnym. Obecne uzależnienie gospodarki amerykańskiej od dostaw z zagranicy, i to w dziedzinach tak kluczowych jak farmaceutyki, czyni USA de facto bezbronnymi. Trump odrobił lekcję: zna siebie, ale poznał też słabości swoich przeciwników. Nie odrobili jej natomiast przywódcy europejscy i – niestety, tu trzeba powiedzieć – przywódcy chińscy, których pycha uczyniła zbyt oczywistymi w ich planach.

Jared Diamond w książce „Collapse" traktującej o przyczynach upadku kultur i cywilizacji wśród pięciu najważniejszych wymienia nagły krach w relacjach z głównym partnerem handlowym. Jaką taki krach wywołuje panikę, możemy obserwować teraz na żywo. Jeszcze do niedawna wyśmiewający Trumpa przywódcy europejscy rozpierzchli się jak kury w kurniku, do którego wpadł szczwany lis. Powoli świta im w głowie, iż kontratak taryfowy nie zadziała – w tej walce traci więcej ten, kto ma więcej do stracenia. A tymi są Unia Europejska i Chiny. Tymczasem Trump już odniósł skutek – ponad 70 krajów zadeklarowało gotowość ustępstw i poprosiło go o negocjacje. Dla nich taryfy zawieszono, ponieważ – jak mówi Sun Zi – mądry przywódca wie, kiedy iść do przodu, a kiedy się wycofać. Musi być elastyczny.

Donaldowi Trumpowi chodzi przede wszystkim o ponowne uprzemysłowienie Stanów Zjednoczonych, aby były one w zasadzie samowystarczalne

LEKCJA DLA POLAKÓW

Spójrzmy teraz na Polskę i naszych dzielnych wojaków. Gdzie nie spojrzeć – głupcy. Nie mędrcy udający głupich, ale autentycznie niemądrzy ludzie. Polscy politycy, w swej przeważającej większości, geopolitycznie utkwili w Polsce rozbiorowej. Wówczas rządziły Anglia i inne mocarstwa kolonialne. Chiny były quasi-kolonią, a Ameryka daleko. Dziś jest dokładnie na odwrót.

Niczym innym aniżeli głupotą było klienckie podążanie za Amerykanami Ukraińców i im wiernych za friko Polaków w wojnie proxy z Władimirem Putinem, i to nie licząc się z siłą wroga, a zarazem nie posiadając realistycznej wiedzy na temat własnych możliwości. Sun Zi powiada: „Tacy ignoranci zwani są »Szalonymi Rozbójnikami«. Jak mogą w ogóle oczekiwać powodzenia?".

Świadomi globalnej geopolityki przywódcy wiedzieliby, że upieranie się przy wejściu Ukrainy do NATO skończy się źle dla Europy i NATO. Rozumieliby, że taka propozycja to ekwiwalent rakiet sowieckich na Kubie. Że tak jak doktryna Monroego z XIX w. nie dopuszcza pod groźbą amerykańskiego uderzenia obecności sił obcego mocarstwa na zachodniej półkuli ziemskiej, tak Rosja nie wpuści amerykańskich rakiet na ziemie strategiczne dla jej bezpieczeństwa.

Byłoby też dla nich jasne, że Amerykanie pod rządami Baracka Obamy i Joe Bidena popełniają kardynalny błąd, wpychając Rosję w ramiona Chin. Bowiem najgorszym z możliwych wariantów dla USA w ich konkurencji z Chińczykami jest doprowadzenie do zjednoczenia sił dwóch największych przeciwników i połączenia rosyjskich surowców z chińskimi technologiami. Nie oszukujmy się, te ostatnie dorównują amerykańskim odpowiednikom, a wręcz niekiedy, jak DeepSeek AI, je przewyższają. Komunizm upadł m.in. dlatego, że Richard Nixon, za radą Henry'ego Kissingera, włożył klin między tymi dwoma krajami, przeciągając Chińczyków na swoją stronę. Dla myślących było więc do przewidzenia, że gringo się z tej fatalnej kalkulacji wycofają. A wycofując się, niczym słoń w składzie porcelany, zostawią za sobą połamane skorupy. Na szczęście dla Polski – na wschód od naszej granicy.

Rozumni politycy łączący kropki jak w angielskim powiedzeniu „connect the dots" rozważaliby, jak spożytkować dla dobra naszego kraju to, że sojusz rosyjsko-chiński działa tylko pod przymusem. Że Rosja nadal okupuje ziemie chińskie za Amurem, do których prawa wymusiła na Państwie Środka w 1858 r. Że Chiny i Rosja to małżeństwo z rozsądku, a nie z miłości. I że Chiny już raz uratowały Polskę przed wkroczeniem Sowietów w 1956 r.

Polscy politycy powinni szybko powrócić z przeszłości do teraźniejszości. W sporach między mocarstwami zachowywać się oportunistycznie, a nie idealistycznie. Myśleć niezależnie, a nie kliencko, globalnie, a nie lokalnie, i przede wszystkim być tym trzecim z powiedzenia: „Gdzie dwóch się kłóci, tam trzeci korzysta". Jest to możliwe, jednak wymaga intuicji, zdolności dyplomatycznych, wiedzy i ponadprzeciętnej umiejętności kojarzenia faktów.

„Sztuka Wojny" Sun Zi zaczyna się słowami: „Wojna jest dla państwa sprawą najwyższej wagi, sprawą życia lub śmierci, drogą wiodącą do przetrwania lub upadku. Dlatego należy jej poświęcić poważne studia". I dalej: „Ktoś, kto się w nią wplątał bez uprzedniego przygotowania, może być poczytywany za głupca". Pamiętajmy o tym, gdy będziemy decydować przy urnie wyborczej.

Skoro o wyborach mowa, to konkluduję swe wywody jeszcze jedną mądrą maksymą chińską, sformułowaną przez Xunziego, uczonego konfucjańskiego żyjącego w III w. p.n.e.: „Władca jest łodzią, a lud wodą; woda łódź unosi, ale też woda łódź zatapia". To zdanie winno zawisnąć na ścianie na wprost biurka każdego sprawującego władzę. Chyba się ze mną zgodzicie?

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd69d1a612

Filantropia to poważny interes

Mariusz Jagóra

Bill Gates szykuje nam, mniej zamożnym, świat, w którym nie będzie wolno budować domów jednorodzinnych, jeździć samochodami czy latać samolotami na wakacje. To nie są czcze groźby – to się już dzieje. Pozornym paradoksem jest fakt, że im więcej pieniędzy Fundacja Gatesów „rozdaje", tym bogatszy staje się Bill Gates

FOT. BLONDET ELIOT/ABACA PRESS/FORUM

Wiele osób wierzy, że Bill Gates znakomitą część swojego majątku przeznacza na cele charytatywne. Jednak darowizny Gatesa to nie altruistyczne gesty: „Filantropia może być i jest celowo wykorzystywana do odwrócenia uwagi od różnych form wyzysku ekonomicznego, które leżą u podstaw dzisiejszych globalnych nierówności" – twierdzi Linsey McGoey, profesor socjologii na Uniwersytecie Essex w Wielkiej Brytanii i autorka książki „Nie ma nic za darmo: Fundacja Gatesów i koszt filantropii". Autorka dowodzi, że „nowy filantrokapitalizm zagraża demokracji poprzez zwiększenie władzy sektora korporacyjnego kosztem organizacji sektora publicznego, który coraz częściej boryka się z ograniczeniami budżetowymi". Dzieje się to poprzez wynagradzanie organizacji pozornie non-profit za dostarczanie usług publicznych, które mogłyby być dostarczane taniej bez udziału sektora prywatnego.

Kto jest beneficjentem darowizn Billa Gatesa? „Filantropia" Gatesa to inwestycje w te branże, które z różnych względów Gatesa interesują. Na przykład, jak podaje magazyn „The Nation", Fundacja Billa i Melindy Gatesów przekazała 80 mln dol. dla Lakeside School, prywatnej placówki, która pobiera od uczniów 35 tys. dol. czesnego rocznie. Gatesowie wykorzystali swoją fundację do wzbogacenia prywatnej szkoły, do której uczęszczały ich dzieci. Ale w dużej części „filantropia" Gatesa to przede wszystkim inwestycje (w postaci darowizn) w media, korporacje oraz globalne agencje i organizacje pozarządowe. „Filantropia medialna" łączy się ściśle z „filantropią biznesową", a ostatnim z puzzli jest „filantropia instytucjonalna". Wszystko to tworzy synergiczne połączenie – dotacje dla regulatorów otwierają rynki zbytu dla produktów Gatesa, od szczepionek do „zielonej" energii, a wsparcie mediów pomaga budować pozytywny wizerunek i społeczną akceptację.

FILANTROPIA MEDIALNA

Przychylna prasa i przyjazny fact-checking potrzebne są Gatesowi do tworzenia coraz bardziej przyjaznego środowiska medialnego dla Bill and Melinda Gates Foundation – najbardziej widocznej organizacji charytatywnej na świecie. Mechanizm jest prosty. NPR (National Public Radio), które reklamuje się jako niezależna, niedochodowa organizacja medialna, otrzymało od Fundacji Gatesów 17,5 mln dol. w postaci 10 grantów charytatywnych – wszystkie z nich przeznaczone były na relacje o globalnym zdrowiu i edukacji, czyli kwestiach, którymi fundacja się zajmuje. Do końca 2019 r. NPR wspomniało w swoich raportach o Fundacji Billa i Melindy ponad 560 razy. Pokazuje to trend, a także problem etyczny związany z miliarderami filantropami, którzy finansują dostawców wiadomości oraz organizacje fact-checkingowe. Z prawie 20 tys. dotacji charytatywnych, które Fundacja Gatesów przekazała do końca czerwca 2020 r., ponad 250 mln dol. przeznaczonych zostało na dziennikarstwo. Wśród beneficjentów znalazły się duże organizacje informacyjne (w tym BBC czy „Financial Times").

Do czego potrzebna jest ta przychylność? W 2001 r. „The Wall Street Journal" pisał, że „największa w kraju fundacja, z funduszem wieczystym o wartości 24,2 mld dol., już teraz jest główną siłą w międzynarodowych kwestiach zdrowotnych, przeznaczając 555 mln dol. w samym tylko 2000 r. na globalne programy zdrowotne. Teraz, jako inwestor w Merck & Co., Pfizer Inc., Johnson & Johnson i innych, Fundacja Gatesów ma wspólne interesy finansowe z producentami leków na AIDS, narzędzi diagnostycznych i szczepionek".

FILANTROPIA BIZNESOWA

Filantropia to działalność osób bądź instytucji polegająca na „bezinteresownym udzielaniu pomocy finansowej lub materialnej potrzebującym". Jednak wsparcie finansowe dla korporacji, których zyski są rekordowo wysokie, to nie filantropia – to „filantrokapitalizm" i inwestycje czynione w oczekiwaniu na wysoki zwrot.

W 2014 r. Fundacja Gatesów przeznaczyła 19 mln dol. darowizny dla Mastercard w celu „zwiększenia wykorzystania cyfrowych produktów finansowych przez ubogich dorosłych w Kenii". Gigant kart kredytowych już wcześniej wyrażał żywotne zainteresowanie biznesowe pozyskiwaniem nowych klientów wśród 2,5 mld ludzi w krajach rozwijających się. Warto zauważyć, że Bill i Melinda Gates dostali ulgę podatkową za tę darowiznę.

Śledztwo przeprowadzone przez magazyn „The Nation", obejmujące ponad 19 tys. dotacji charytatywnych przyznanych

eprasa.pl cd69d1a612

przez Fundację Gatesów, w ciągu ostatnich dwóch dekad ujawniło, że niemal 2 mld dol. z tych środków, odliczanych od podatku, trafiło na cele charytatywne do prywatnych firm. Wśród beneficjentów znalazły się największe światowe korporacje, takie jak GlaxoSmithKline, Unilever, IBM i NBC Universal Media. Magazyn „The Nation" odkrył też, że prawie 250 mln dol., które Fundacja Gatesów przeznaczyła w dotacjach „charytatywnych" dla biznesu, wpłynęło do firm, w których posiada ona akcje i obligacje korporacyjne, takich jak Merck, Pfizer, Novartis, GlaxoSmithKline, Vodafone, Sanofi oraz liczne start-upy. Dotacje te zostały przeznaczone na takie projekty jak opracowywanie nowych leków i systemów monitorowania zdrowia oraz tworzenie mobilnych usług bankowych. W 2000 r. Fundacja Billa i Melindy Gatesów odegrała kluczową rolę w utworzeniu sojuszu szczepionkowego GAVI, przez lata była też jednym z największych darczyńców GAVI, inwestując w niego miliardy dolarów; podczas Global Vaccine Summit w 2020 r. fundacja przeznaczyła 1,6 mld dol. na okres od 2021 do 2025 r. GAVI otrzymywało także pomoc rządową ze środków USAID w kwocie prawie 5 mld dol. Dotacja „charytatywna" przyznana przez fundację firmie, której jest częściowo właścicielem i na której może skorzystać finansowo, nie mieści się w definicji filantropii – to oczywisty konflikt interesów. Pozornym paradoksem jest fakt, że im więcej pieniędzy fundacja „rozdaje", tym bogatszy staje się Bill Gates.

Tim Schwab, niezależny dziennikarz, twierdzi, że poprzez „charytatywne" rozdawanie pieniędzy prywatnym firmom Gates unika płacenia podatków liczonych w miliardach dolarów. Fundacja Gatesa dokonała darowizn na rzecz grup, które naciskają na przyjazną dla przemysłu politykę rządową i regulacje. W przypadku wpływu Gatesa na przemysł farmaceutyczny fundacja jest znana z forsowania programu propatentowego, co sprawia, że tanie leki ratujące życie są niedostępne w krajach o niskich zasobach, a to stoi w sprzeczności z publicznie deklarowanymi wysiłkami na rzecz walki z ubóstwem.

FILANTROPIA INSTYTUCJONALNA

Traumatyczne doświadczenia Billa Gatesa z 1998 r., kiedy to Departament Stanu USA oskarżył Microsoft o monopolistyczne praktyki, podczas gdy on sam postrzegał firmę jako ofiarę rygorystycznych przepisów antymonopolowych, nauczyły go, że warto inwestować w rządowe agencje i instytucje w celu promowania regulacji bardziej przyjaznych dla biznesu. Jego fundacja zaczęła przekazywać pieniądze grupom, które forsują przyjazną dla przemysłu politykę rządową, takim jak Drug Information Association (lobby Big Pharmy) czy International Life Sciences Institute (finansowane przez „Big Ag" – międzynarodowe korporacje działające w sektorze rolnym).

Ale dopiero inwestycje w międzynarodowe agencje pozarządowe, głównie WHO, okazały się strzałem w dziesiątkę. Budżet Światowej Organizacji Zdrowia w 84 proc. pochodzi od wpłat prywatnych darczyńców (firm i fundacji). Według danych z Euronews Fundacja Gatesów jest odpowiedzialna za ponad 88 proc. całkowitej kwoty darowizn od fundacji filantropijnych dla WHO. We wrześniu 2022 r. ukazuje się obszerna analiza Politico zatytułowana „Jak Bill Gates i jego partnerzy przejęli kontrolę nad globalną odpowiedzią na pandemię COVID-19", która opisuje rolę Fundacji Billa i Melindy Gatesów w zarządzaniu globalną odpowiedzią na zagrożenie. Politico twierdzi, że ich fundacja odegrała kluczową rolę w doborze producentów szczepionek, rozwijaniu testów i terapii oraz tworzeniu planów dystrybucji, zastępując w decyzyjności pogubione rządy. Miała również znaczący wpływ na Światową Organizację Zdrowia. Bill Gates i trzy inne organizacje łącznie wydały prawie 10 mld dol. na reakcję związaną z COVID-19 i miały bezprecedensowy dostęp do wysokich urzędników rządowych, wpływając na tworzenie polityki zdrowotnej i reakcji na pandemię. Ich podejście wywołało kontrowersje dotyczące równości i skuteczności odpowiedzi na zagrożenie, zwłaszcza w krajach o niskich dochodach, szczególnie z powodu niewywiązania się z obietnicy dostarczenia obiecanych dawek szczepionek krajom o niskich i średnich dochodach. Charytatywne datki Gatesa dla instytucji, które mają wpływ na tworzenie polityki zdrowotnej, to nie jest bezinteresowna szczodrość – to inwestycja we wpływy polityczne, która szybko się zwraca. W wywiadzie udzielonym CNBC podczas szczytu w Davos w 2019 r. Gates przyznał, że inwestycja w szczepionki była jego najlepszą decyzją biznesową, oferującą zwrot w skali 20 do 1 za każdy zainwestowany miliard. Korporacyjna filantropia miliardera doskonale wyczuwa, które granty przyniosą zwrot zainwestowanych pieniędzy. Teraz nadszedł czas na zmiany klimatyczne.

FILANTROPIA KLIMATYCZNA

Od dziesięcioleci ONZ i inne światowe organizacje pozarządowe, a także rządy biją na alarm w sprawie zmian klimatu oraz konieczności przejścia na „czystą energię". Międzyrządowy Zespół do spraw Zmian Klimatu nazwał obecną sytuację klimatyczną „kodem czerwonym dla ludzkości" i zachęcił do podjęcia natychmiastowych i drastycznych działań na całym świecie. Dotacje na rzecz zmian klimatycznych przestały być niszową dziedziną filantropii, a stały się rosnącym obszarem grantów wśród dotychczasowych i nowych fundatorów. Zagrożenie zmianami klimatycznymi ma olbrzymi potencjał zwrotu, bo kwoty, które planują zainwestować w „filantropię" klimatyczną Bill Gates i inni miliarderzy, są olbrzymie: Breakthrough Energy Catalyst – publiczno-prywatny fundusz, część założonej przez Gatesa grupy Breakthrough Energy – ogłosił we wrześniu 2022 r., że zapewnił sobie inwestycje od Microsoft, BlackRock, General Motors, American Airlines, Boston Consulting Group, Bank of America i ArcelorMittal w kwocie 15 mld dol. Otrzymał również wsparcie od Departamentu Energii USA i ramienia wykonawczego UE – Komisji Europejskiej.

Portal Inside Philanthropy utrzymuje, że dotacje na rzecz zmian klimatycznych przestały być niszową dziedziną filantropii, a stały się rosnącym obszarem grantów wśród dotychczasowych i nowych fundatorów. Wśród kluczowych „filantropów" znajdują się Bill & Melinda Gates Foundation, Bloomberg Philanthropies, Rockefeller Foundation czy The Chan Zuckerberg Initiative. Na 54. szczycie WEF w Davos szefowa Europejskiego Banku Centralnego Christine Lagarde powiedziała, że zielona transformacja to koszt nawet 620 mld euro rocznie!

HIPOKRYZJA FILANTROPIJNA

Bill Gates uważa, że latanie prywatnym odrzutowcem i aktywizm klimatyczny są

eprasa.pl cd69d1a612

kompatybilne. Główna rezydencja Billa Gatesa w Seattle posiada siedem sypialni, 60-metrowy basen, siłownie o powierzchni 250 mkw., bibliotekę, dziesiątki łazienek, domowe kino i wiele innych luksusów. W zależności od źródeł jej wartość szacuje się na 128–170 mln dol. Gates posiada również nadmorski dom w Del Mar (wart 43 mln dol.) i w Indian Wells (12,5 mln dol.) – oba w Kalifornii; dom w Wellington na Florydzie (8,7 mln dol.) oraz ranczo w Wyoming (8,9 mln dol.). Gates jest także właścicielem luksusowego jachtu „Aqua", kupionego za 650 mln dol., posiada cztery prywatne odrzutowce, a także hydroplan Cessna 208 i helikopter Eurocopter EC135.

W wywiadzie udzielonym w lutym 2023 r. dla BBC Bill Gates obruszył się na zarzut, jakoby był hipokrytą prowadzącym kampanię klimatyczną z pokładu prywatnego odrzutowca. Gates uważa, że nie jest częścią problemu, ale jego rozwiązaniem, bo kompensuje ślad węglowy produkowany przez całą swoją rodzinę, czym przyczynia się do rozwiązania problemu zmian klimatycznych. Miliarder wykupił tzw. złoty standard finansowania w Climeworks – firmie, która specjalizuje się w bezpośrednim wychwytywaniu CO_2 z powietrza. Dodatkowo – jak twierdzi – wydaje miliardy dolarów na innowacje klimatyczne poprzez Breakthrough Energy Group. Zapytany, dlaczego nie korzysta z Microsoft Teams, zamiast latać do odległych miejsc, w których działa jego fundacja, Gates odpowiada: „Nie wszystko da się zrozumieć na odległość".

Liczenie pieniędzy miliarderów jest ulubionym tematem prasy bulwarowej i portali plotkarskich. Wiele osób uważa, że skoro ktoś zarobił te pieniądze dzięki własnym talentom, to ma prawo je wydać w dowolny sposób i nic nam do tego. I właściwie byłaby to racja, gdyby nie publiczna działalność miliardera, której jednym z głównych celów jest promowanie zrównoważonego rozwoju i osiągnięcie zeroemisyjności CO_2: „Jeśli chcemy uniknąć katastrofy klimatycznej, to musimy znaleźć sposoby, by robić prawie wszystko w lepszy sposób. Niemal każdy element współczesnego życia – od żywności, którą spożywamy, do budynków, w których mieszkamy – uwalnia gazy cieplarniane, które zatrzymują ciepło w atmosferze. Musimy wyeliminować te emisje, aby uniknąć najgorszych skutków zmian klimatu".

Gates mówi „musimy", ale myśli „musicie" – on przecież nie jest częścią problemu, lecz jego rozwiązaniem. Dotując „zrównoważony rozwój" czy ustanawiając nagrody dla Strażników Agendy 2030, której jedną z laureatek jest komisarz Ursula von der Leyen. Poprzez nakazy i zakazy szykuje nam, mniej zamożnym, świat, w którym nie będzie wolno budować domów jednorodzinnych, jeździć samochodami czy latać samolotami na wakacje. To nie są czcze groźby – to się już dzieje. W Wiesbaden została podjęta decyzja o wprowadzeniu minimalnej gęstości zabudowy na 1 ha ziemi. Władze miasta Münster opracowały „Przewodnik po budownictwie przyjaznym dla klimatu", zgodnie z którym na nowych obszarach zabudowy powinny w zasadzie znajdować się wyłącznie budynki wielorodzinne, a decyzja ta jest podejmowana przede wszystkim w kontekście ochrony klimatu i środowiska, ponieważ domy jednorodzinne zajmują stosunkowo dużo przestrzeni".

POCZĄTEK KOŃCA?

W świetle amerykańskich przepisów podatkowych Fundacja Gatesów jest zwolniona z podatku, ponieważ została sklasyfikowana jako publiczna organizacja charytatywna [tzw. 501(c)(3)]. W 2023 r. fundacja zadeklarowała ponad 6,8 mld dol. dochodu zwolnionego z podatku. Status organizacji charytatywnej oznacza, że zyski fundacji nie mogą przynieść korzyści żadnemu prywatnemu udziałowcowi lub osobie fizycznej. Jak się okazuje, istnieją poważne wątpliwości, czy w rzeczywistości tak jest w przypadku Fundacji Gatesów. Przed sądem apelacyjnym na Florydzie toczy się postępowanie przeciwko amerykańskiemu urzędowi skarbowemu wymierzone w Fundację Billa i Melindy, które zarzuca, że angażowała się ona w działalność nastawioną na zysk pod pozorem działalności charytatywnej, w szczególności poprzez promocję, produkcję i sprzedaż szczepionek (w tym przeciwko COVID-19), co dyskwalifikuje fundację ze statusu zwolnionej z podatku. Finansowanie rozwoju szczepionek, szczególnie w firmach, w które fundacja inwestuje lub z którymi współpracuje, pozwala Gatesom czerpać korzyści z ich sukcesu, a zwolnienie z podatku daje im przewagę w stosunku do konkurencji, co jest przykładem wykorzystania publicznych ulg podatkowych dla prywatnych korzyści.

Cofnięcie statusu organizacji zwolnionej z podatku będzie miało głębokie konsekwencje dla Fundacji Gatesów i może oznaczać olbrzymie straty finansowe wynikające z obowiązku odprowadzenia rocznego podatku federalnego (w wysokości 1,44 mld dol. za 2023 r., bez uwzględnienia podatków stanowych ani kar za poprzednie lata), utratę możliwości dokonywania odliczeń podatkowych, spadek zaufania publicznego oraz groźbę kontroli prawnej.

Ostatnie wybory prezydenckie, wygrane przez Donalda Trumpa, są kolejnym powodem zmartwienia dla „filantrokapitalisty". Bill Gates, który do tej pory unikał otwartego angażowania się w politykę, przekazał 50 mln dol. na kampanię Kamali Harris w 2024 r. Po zwycięstwie Trumpa Gates, podobnie jak inni miliarderzy (Bezos, Zuckerberg), szukał możliwości dialogu z nową administracją, by chronić interesy swojej fundacji, zwłaszcza w obliczu cięć w USAID i wycofania się USA z WHO. W grudniu 2024 r. Trump gościł Gatesa w Mar-a-Lago na kolacji, po której Gates wyrażał się pozytywnie o Trumpie, mówiąc, że był „szczerze pod wrażeniem" jego zainteresowania kwestiami zdrowia globalnego. Rozmowa dotyczyła m.in. innowacji w szczepionkach i programów zdrowotnych fundacji. Gates twierdził, że Trump wydawał się „podekscytowany" możliwością wsparcia tych inicjatyw.

Jednak w marcu 2025 r. administracja Trumpa ogłosiła plany zakończenia finansowania Gavi przez USAID. Do tej pory rząd federalny był trzecim co do wielkości darczyńcą Gavi, pokrywając 13 proc. jej budżetu. Fundacja Gatesów się nie poddaje i aktywnie lobbuje zarówno administrację Trumpa, jak i kongresmenów. Bill Gates spotkał się z Radą Bezpieczeństwa Narodowego oraz przedstawicielami obu partii, aby podkreślić znaczenie utrzymania finansowania programów zdrowotnych, twierdząc, że decyzje Trumpa mogą mieć dalekosiężne konsekwencje dla globalnego zdrowia, szczególnie dla inicjatyw wspieranych przez Fundację Billa i Melindy Gatesów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd69d1a612

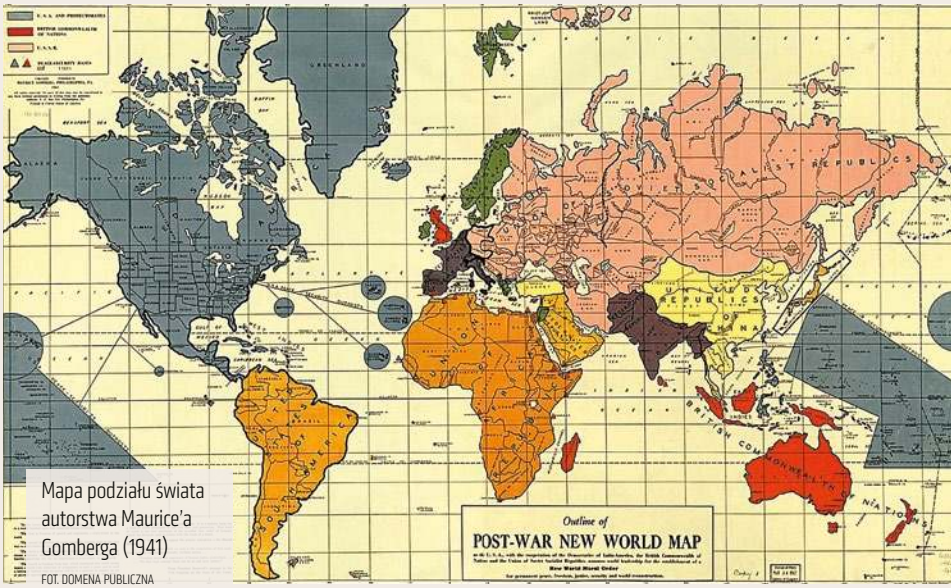

Mapa podziału świata autorstwa Maurice'a Gomberga (1941)
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Twarda lekcja realizmu

Andrzej Solecki

W przypadku utrwalenia współpracy amerykańsko-rosyjskiej kosztem Chin ten ostatni kraj może zintensyfikować swoją ofertę pod adresem Europy, w tym także dla zostawionych na lodzie Ukrainy i Polski, co stwarza alternatywę dla partnerstwa rosyjsko-europejsko--amerykańskiego

Część naszych komentatorów politycznych, zarówno z prawej, jak i lewej strony, kiwa z politowaniem głową nad postępowaniem Donalda Trumpa. Ich głębokie przekonanie o własnej intelektualnej wyższości w stosunku do tego prezydenta, którego uważają za co najmniej ekscentrycznego dziwaka, pozwala im przeżyć zaskoczenie spowodowane zmianą kursu Stanów Zjednoczonych. Tymczasem dla osób orientujących się nieco w historii i geopolitycznych pryncypiach polityki USA nie jest to nic nowego. Jak śpiewała Maryla Rodowicz: „Ale to już było i nie wróci więcej", tylko że wbrew zakończeniu frazy tej piosenki może wrócić.

Był już taki prezydent USA, który zaaranżował dla Rosji w roku 1905 traktat pokojowy w Portsmouth kończący wojnę rosyjsko-japońską w sposób, który oburzył Japończyków i Koreańczyków. Tenże prezydent złożył Kolumbii propozycję wybudowania kanału transoceanicznego na jej terytorium, oferując 10 mln dol. rocznej opłaty. Kiedy rząd Kolumbii zaczął się targować i zażądał 25 mln, na kluczowym terenie wybuchło powstanie. Na skrawku terytorium Kolumbii powstała niepodległa Panama, która zgodziła się na propozycję amerykańską. Prezydentem tym był Theodore Roosevelt, który swoją pierwszą prezydenturę (awans ze stanowiska wiceprezydenta) „zawdzięczał" amerykańskiemu anarchiście polskiego pochodzenia, Leonowi Czołgoszowi, który zamordował prezydenta Williama McKinleya.

ROMANTYCZNY NACJONALIZM

Uzasadnieniem dla ekspansji USA był tzw. amerykański romantyczny nacjonalizm kojarzony z terminem „Objawione Przeznaczenie", którego użył już w roku 1845 dziennikarz John O'Sullivan w eseju „Aneksja". Wzywał w nim Stany Zjednoczone do tytułowej aneksji, powstałej w roku 1836 na terytorium Meksyku, Republiki Teksasu. Jak pisał O'Sullivan, „naszym oczywistym przeznaczeniem jest, aby rozprzestrzenić się na cały kontynent, przydzielony przez Opatrzność, w celu swobodnego rozwoju naszych corocznie mnożących się milionów".

W przeciwieństwie do twardo stąpających po ziemi amerykańskich romantyków nasi romantyczni politycy wyobrażają sobie, że prezydent Trump z racji osobistej przyjaźni, którą darzy Andrzeja Dudę, przestanie się kierować interesem USA i będzie wspierał antyrosyjskie fobie w sytuacji, kiedy potrzebuje współpracy z Rosją. Niestety, tylko w Polsce politycy mogą bezkarnie deklarować, że są sługami jakiegoś sąsiedniego narodu. W USA zostaliby w najlepszym razie wytarzani w smole i pierzu, a w najgorszym – zlinczowani.

Współpraca USA i Rosji ma długą historyczną tradycję. Już w trakcie amerykańskiej rewolucji Rosja, chociaż formalnie neutralna, sprzyjała USA. Kiedy umilkły działa w amerykańskiej wojnie o niepodległość, ojciec amerykańskiej marynarki wojennej, John Paul Jones, rozpoczął nowy etap tej współpracy. Ten urodzony w Szkocji zuchwały żeglarz, który w imię republikańskich ideałów najechał w roku 1778 Whitehaven, położone blisko jego rodzinnych stron, i zatapiał brytyjskie statki na Morzu Północnym, nie miał oporów, aby 23 kwietnia 1787 r. przyjąć od

eprasa.pl cd69d1a612

Katarzyny Wielkiej stanowisko kontradmirała na flagowym okręcie rosyjskim „Władimir" i walczyć w wojnie z Turcją. Było to niespełna dwa tygodnie przed tym, jak Stanisław August Poniatowski przybył do Kaniowa, aby zaproponować carycy Katarzynie, swej byłej kochance i późniejszej protektorce, udział Rzeczypospolitej w tej wojnie.

Po odniesionych sukcesach w walce z flotą turecką Jones, skonfliktowany z częścią oficerów floty rosyjskiej, zwłaszcza tych zwerbowanych w Anglii, oraz dyskryminowany przez księcia Grigorija Potiomkina, odznaczony został Orderem Świętej Anny. Gdy Amerykanina oskarżono o gwałt na nieletniej, Katarzyna wysłała go na zagraniczny urlop, a właściwie wygnanie, co było łagodną alternatywą dla przewidzianych w takim wypadku dekapitacji lub dożywotnich ciężkich robót. Łagodność Katarzyny mogła wynikać z linii obrony Jonesa, który uzyskał od ojca nieletniej oświadczenie, że jej matka była osobą rozwiązłą i mieszkała w domu publicznym.

Oficjalne stosunki dyplomatyczne USA z państwem carów zostały nawiązane w roku 1809, ale apogeum współpracy nastąpiło w roku 1863, w trakcie wojny secesyjnej, gdy Rosja wspierała Północ, widząc w Stanach Zjednoczonych sojusznika w rywalizacji z Wielką Brytanią. W roku 1863, w trakcie naszego powstania styczniowego, rosyjska flota bałtycka zimowała w Nowym Jorku, a flota pacyficzna w San Francisco. Zwłaszcza w przypadku Wschodniego Wybrzeża było to istotne wsparcie ułatwiające blokadę portów Konfederacji. Obecność floty rosyjskiej na wodach amerykańskich stwarzała możliwość ataku na brytyjski handel, gdyby Wielka Brytania zaangażowała się w pomoc dla naszego powstania.

Kolejny etap współpracy amerykańsko-rosyjskiej (sowieckiej) nastąpił w trakcie prezydentury Franklina Delano Roosevelta, dalekiego kuzyna prezydenta Theodore'a Roosevelta. Współpraca ta spowodowana była atakiem Adolfa Hitlera na Związek Sowiecki i Japonii na USA. Wydarzenia te ułatwiły prezydentowi USA przełamanie nastrojów izolacjonistycznych i wciągnięcie USA do wojny. Odbiciem amerykańskich wyobrażeń o świecie powojennym stała się mapa opracowana przez mieszkającego w USA polskiego Żyda Maurice'a Gomberga jeszcze przed przystąpieniem Ameryki do wojny. Mapa przechowywana do dziś w Bibliotece Kongresu (https://www.loc.gov/item/gm70005331/) przyznaje USA nie tylko Kanadę i Grenlandię, lecz także protektorat nad Islandią. Przewiduje utworzenie Unii obejmującej zachodnią, kontynentalną Europę i wciela Polskę do Związku Sowieckiego, pozostawiając jej Kresy i przyznając nabytki na zachodzie kosztem III Rzeszy.

PODZIELIĆ MIĘDZY USA A ZWIĄZEK SOWIECKI

Powojenny ład związany z detronizacją Wielkiej Brytanii z pozycji hegemona światowego miał opierać się na podziale globalnych wpływów między USA i Związek Sowiecki. Trzeba jednak pamiętać, że było to przed uzyskaniem przez Chiny pozycji mocarstwa gospodarczego. Obecna sytuacja jest znacznie trudniejsza dla obu sojuszników z okresu drugiej wojny światowej. Już Milton Friedman uzasadniał amerykańskie profity, wynikające z drukowania dolarów, pisząc w 1970 r.: „To dla nas świetna zabawa. Czy możesz sobie wyobrazić lepszą ofertę niż otrzymanie przez nas eleganckich tekstyliów, błyszczących samochodów i wyrafinowanych telewizorów za belę zielonego zadrukowanego papieru? Albo za kilka wpisów w księgach banków? Gdyby Japończycy chcieli to robić dalej, moglibyśmy dostarczyć im tyle zielonego papieru, ile tylko wezmą".

Współpraca USA i Rosji ma długą historyczną tradycję. Sięga czasów wojny o niepodległość Ameryki

Od tego czasu rzeczywiście głównym gwarantem stabilności gospodarki USA stało się zaufanie do dolara jako waluty światowej. Natomiast Rosja w oczach amerykańskich polityków pozostała krajem eksportującym tylko surowce, czego wyrazem jest głośne sformułowanie senatora Johna McCaina, który w roku 2014 nazwał Rosję „stacją benzynową udającą kraj". Sytuacja Rosji jest jednak o tyle lepsza, że nie tylko sprzedaje własne węglowodory i inne surowce mineralne, lecz także dysponuje nienaruszonymi zasobami niezbędnych dla światowej gospodarki surowców, w tym niklu i pierwiastków ziem rzadkich. Po przemianach ustrojowych Rosja stała się także jednym z czołowych eksporterów zboża, mimo że w okresie komunizmu konieczność zakupu zboża w USA stwarzała możliwość politycznych nacisków na nią. Tak więc, reasumując, sojusz „drukarni zielonych papierków" i „stacji benzynowej" staje się z amerykańskiej perspektywy koniecznością w świetle wzrostu potęgi gospodarczej Chin, które są obecnie „fabryką świata". Ewentualny rozpad Rosji jest dla USA koszmarem stwarzającym perspektywę przejęcia syberyjskich zasobów tego kraju przez Chiny, stopniowo deklasujące USA gospodarczo.

Unia Europejska, pozbawiona surowców i podlegająca rozpadowi moralnemu wynikającemu z wysokiego poziomu świadczeń socjalnych, staje się peryferiami świata. Jej w miarę stabilna przyszłość może wiązać się z włączeniem w układ rosyjsko-amerykański w roli młodszego partnera. W przypadku zaakceptowania przez Putina scenariusza „odwróconego Nixona" i utrwalenia współpracy amerykańsko-rosyjskiej kosztem Chin ten ostatni kraj może zintensyfikować swoją ofertę pod adresem Europy, w tym także dla zostawionych na lodzie Ukrainy i Polski, co stwarza alternatywę dla partnerstwa rosyjsko-europejsko-amerykańskiego.

Chiny już w 1956 r. ułatwiły Polsce przetrwanie, naciskając na powstrzymanie sowieckiej interwencji. Podobnie w ostatniej wojnie rosyjsko-ukraińskiej ich głos prawdopodobnie miał decydujący wpływ na powstrzymanie się Rosji przed użyciem taktycznej broni jądrowej. Gospodarcza ekspansja Chin obejmuje projekty górnicze w Afryce, Ameryce Południowej, a nawet w tak pożądanej przez Trumpa Grenlandii. Inicjatywa Pasa i Szlaku może przywrócić Polsce pozycję wynikającą z istnienia jedwabnego szlaku, utraconą w okresie ekspansji morskiej krajów zachodnioeuropejskich. Wydaje się, że obecnie karty będzie rozdawać Rosja Putina, która może zaakceptować propozycję amerykańską. Byłoby to potężne intelektualne wyzwanie dla naszych elit, wymagające twardego realizmu Romana Dmowskiego, a nie piłsudczykowskiej fanfaronady.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd69d1a612

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Fałszerze historii

Żyjemy w strasznych czasach. Ale kiedy one takie nie były? W dziedzinie nauk humanistycznych prawda brzmi: „jak my to rozumiemy". Zanikają wszelkie reguły, a dyskusję zastępują inwektywy. Wygrywa ten, kto ma ich więcej i im są mocniejsze. To historiozoficzna konstatacja prof. Feliksa Konecznego: „niższość górą". Historia stała się dziedziną skrajnej ideologii, gdzie prawda nie ma już żadnego znaczenia.

Przypomnijmy zatem, jak to było. Według ojca nowożytnej historiografii, Leopolda von Rankego vel Runga, historia powinna być opowiadaniem, „jak to właściwie było". Ale przecież już tak nie jest i tracimy nad tym jakąkolwiek kontrolę. To zjawisko znane jak w księgowości mafijnej, gdzie odpowiedź na pytanie, ile to jest dwa razy dwa, brzmi: „A ile ma być?". Pałka ideologiczna grozi tym, że prawie wszystko w historii zostanie przewrócone do góry nogami, część ustaleń zniknie bezpowrotnie, pojawiają się natomiast rzeczy, które w ogóle nie miały miejsca. Przedsmak tego mamy od dawna. Oto noblistka Olga Tokarczuk, gdy zakwestionowano jej skrajne osądy dotyczące naszej historii, odpowiedziała: „Nawet gdyby to była nieprawda, to ja mam prawo mówić… Mam prawo wygłaszać swoje poglądy". Coś, co wydawało się absurdalne, staje się regułą. W takim razie, powtarzając za Piłatem, pytamy: „A co to jest prawda?".

Historia była fałszowana zawsze i wszędzie, odkąd ludzkość nauczyła się pisać i czytać. Zostały nam bardzo liczne tego dowody. Wiedza historyczna mogła być przydatna, ale też mogła być przeszkodą i należało ją ujmować w ryzy ideologii. To zjawisko stawało się tak bardzo groźne, że nawet jeden z najwybitniejszych humanistów europejskich, Miguel de Cervantes Saavedra (1547–1616), zabrał w tej sprawie głos, zamieszczając swą opinię w „Don Kichocie". Uznał mianowicie, że „historycy, którzy pozwalają sobie pisać kłamstwa, powinni być karani jak fałszerze monet". Kara za taki proceder była wyjątkowo straszna: fałszerzom pieniędzy wlewano rozpalony ołów do gardła, aby ich ukarać, a innych powstrzymać od tego niecnego procederu.

Szczególnie XX w. stał się areną zawziętej walki ideologicznej, w której historia („taka, jak my ją rozumiemy") stała się pałką do bicia przeciwników. Rozwinęli ten proceder do monstrualnych rozmiarów szczególnie socjaliści – w Związku Sowieckim (i następnie w strefie przez nich podbitej, w tym w Polsce Ludowej) oraz w imperium stworzonym w III Rzeszy niemieckiej. Z tragicznymi dla edukacji skutkami borykamy się do dziś. Czy to się da zatrzymać i naprawić? ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Zespoły filmowe i kolaudacje

Rok 1955 zapisał się w dziejach sztuki filmowej PRL nie tylko premierą sztandarowego dzieła tzw. szkoły polskiej, czyli „Pokolenia" Andrzeja Wajdy. 1 maja powołano do życia zespoły filmowe, które zrewolucjonizowały krajową kinematografię.

Było to nowe podejście do kręcenia filmów. Z dużego przedsiębiorstwa, którym była Wytwórnia Filmów Fabularnych, wydzielono pracowników koniecznych do powstania filmu. I to nie tylko „reżyserów, scenografów czy scenarzystów, ale też elektryków i pracowników budowlanych". Zespół miał być rodzajem kolegialnego producenta, który zaspokoi wszystkie potrzeby filmowców. Było to zbawienne posunięcie dla polskiej kinematografii. Dawało twórcom taki margines swobody, jaki był tylko możliwy w warunkach ustrojowych Polski Ludowej. „Zespół gromadził się wokół mistrza, a jednocześnie przyciągał młodych ludzi – opowiadał Kazimierz Kutz. – Zespół był bowiem naturalnym miejscem debiutu filmowego. Zaś między zespołami i ich artystycznymi opiekunami panował zdrowy duch konkurencji".

Problemem stała się jednak rywalizacja wewnątrz zespołów, gdyż erupcja młodych talentów zagrażała pozycji uznanych twórców. Nie wszyscy potrafili to zaakceptować, ale na szczęście niektórzy starsi stażem reżyserzy (Wanda Jakubowska, Stanisław Wohl) uznali, że liczy się tylko efekt artystyczny, i ustąpili miejsca młodszym.

Zespoły filmowe dały impuls do rozwoju kinematografii, liczba produkowanych filmów zwiększyła się trzykrotnie. W obowiązujących warunkach politycznych wszystko jednak zależało od decyzji władz, dlatego podstawowe znaczenie miały kontakty osobiste szefów zespołów. Po zatwierdzeniu scenariusza przez odpowiednie czynniki zaczynało się poszukiwanie pieniędzy na produkcję i „chodzono do KC, do Wydziału Kultury, do władz kinematografii".

O skierowaniu filmu do dystrybucji decydowała kolaudacja – komisyjny odbiór przez specjalnie dobrane grono decydentów. Uznawano to za sprawdzian dla filmu i jego twórców, kolaudacja miała wyjaśnić, czy produkcja spełnia wymogi ideologiczne. Podczas kolaudacji „Polowania na muchy" Andrzeja Wajdy przedstawicielka Ligi Polskich Kobiet zaprotestowała przeciw filmowi, który miał obrażać polskie kobiety, które dobrze zdały egzamin podczas okupacji niemieckiej.

Czasami kolaudacja przypominała sąd kapturowy, niekiedy bowiem bywało „dwunastu dyrektorów czy urzędników", a tylko „czterech czy pięciu twórców". Stąd też niektóre produkcje czekał los „półkowników", czyli w ogóle nie kierowano ich do dystrybucji, natomiast inne w bardzo ograniczonym zakresie. ©℗

eprasa.pl cd69d1a612

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

POLSKA W GUŁAGU

80. rocznica „wyzwolenia" przez ZSRS – Idąc na Berlin, Sowieci plądrowali Polskę, gwałcili, mordowali ludność cywilną, a po wszystkim oczekiwali wdzięczności

Zagadka Göbekli Tepe – Odkrycie w Turcji pradawnej struktury dosłownie wywraca do góry nogami naszą wiedzę na temat dziejów ludzkości

Żelazny sąd – „Ostatni pojedynek" Ridleya Scotta przypomniał widzom o średniowiecznym, przedziwnym sposobie rozstrzygania spraw kryminalnych

Cud nad Dźwiną – Łotewska państwowość rodziła się w wielkich bólach. Przeciwnikami miejscowych niepodległościowców byli nie tylko Rosjanie

Brudna wojna Izraela – Inwazja na Liban miała być spacerkiem, a okazała się bagnem. Najbardziej hańbiącym wydarzeniem wojny była masakra w obozach Sabra i Szatila

Ambasador w sidłach Stalina – Wacław Grzybowski 17 września 1939 r. odmówił przyjęcia sowieckiej noty. A potem walczył o bezpieczeństwo polskich dyplomatów z moskiewskiej placówki

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl cd69d1a612

Kissinger może leżeć spokojnie

Robert Bogdański

Po tym, jak Zachód zareagował zdecydowanie i wrogo wobec Rosji w obronie Ukrainy, kremlowscy ideolodzy ogłosili, że nastał kres zapoczątkowanego przez Piotra I 300-letniego zwrotu ich kraju ku Europie. Kurs prozachodni określili jako akceptację poddaństwa. Natomiast wybierając kierunek wschodni, Rosja ma stać się znowu wielka

Henry Kissinger wznosi toast na cześć premiera Chin Zhou Enlaia, Pekin, 21 lutego 1972 r. FOT. AP/EAST NEWS

Odwracanie" Henry'ego Kissingera zrobiło ostatnio pewną karierę w kręgach zbliżonych do politologów i geostrategów. Przybrało ono na sile zwłaszcza po rozpoczęciu prezydentury Donalda Trumpa. którego działania budzą gwałtowną potrzebę racjonalizacji. Dlaczego daje się wodzić za nos Władimirowi Putinowi w sprawie zawieszenia broni na Ukrainie? Dlaczego atakuje cłami wszystkich, ale potem zwraca ostrze swojej polityki tylko przeciwko Chinom? Zwolennicy MAGA bardzo by chcieli, aby kryły się za tym racjonalne powody, jakiś plan, który wykaże wielkość i przenikliwość ich przywódcy. Najbardziej do tego nadaje się „odwrócony Kissinger".

Jak wiadomo, z nazwiskiem tego architekta polityki amerykańskiej jest wiązane zbliżenie USA z Chinami na początku lat 70. Potocznie uznaje się, że Kissingerowi udało się wówczas rozbić układ sowiecko-chiński i umożliwić Amerykanom wprowadzenie Chin do społeczności międzynarodowej, co zaowocowało normalizacją i stopniowym poluzowaniem reżimu komunistycznego w tym kraju. Nie jest to do końca ścisłe, bo w czasie, gdy Kissinger „rozbijał" ten układ, oba komunistyczne kraje od kilku lat znajdowały się w stanie mniej lub bardziej intensywnego konfliktu, który przybierał nawet formy zbrojne. Można powiedzieć, że Chiny spokojnie czekały, aby dać się „wyrwać" z sojuszu z Moskwą i wejść na salony. Bo w długiej perspektywie to właśnie Chiny najwięcej zyskały i nic dziwnego, że do końca swojego stuletniego życia Henry Kissinger cieszył w tym kraju estymą. Także dlatego, że prezentowany przezeń rodzaj politycznego realizmu, który nie brał pod uwagę interesów mniejszych państw, a kazał im się dostosowywać do tego, co ustalą wielcy tego świata, bardzo Chińczykom odpowiadał. Nawet bowiem w czasach największego upadku czuli oni, że przynależą do wielkich.

KLĘSKA PROJEKTU AMEURUS

Skoro jednak mamy do czynienia z legendą o „rozbiciu" układu dwóch komunistycznych kolosów, to nic nie stoi na przeszkodzie, aby teraz oddać się podobnym fantazjom. Tylko że krajem, który obecnie trzeba „wyimpasować" z tego układu, jest Rosja. Tak więc ci, którzy usiłują wyciągnąć jakiś sens z tego, co mówi specjalny wysłannik Trumpa, Steve Witkoff, o ustabilizowaniu regionu dzięki oddaniu części Ukrainy Rosji i nawiązaniu z Rosją przez Amerykę korzystnych stosunków gospodarczych, wyobrażają sobie, że wszystko to jest częścią wielkiego planu mającego na celu oderwanie Rosji od Chin. Daje to krzepiące poczucie, że co prawda interesy mniejszych krajów zagrożonych przez Rosję ucierpią, ale jednak ucierpią „w słusznej sprawie".

Oczywiście współpraca z Rosją nie jest dla Europejczyków niczym nowym i nie warto przypominać trwającego wiele dekad zaangażowania niemieckiego, francuskiego czy włoskiego, nie

eprasa.pl cd69d1a612

wspominając o greckim. Mniej więcej dwie dekady temu, na fali współpracy przeciwko terroryzmowi po zamachach 11 września, zrodziła się nawet idea nazwana AMEURUS, czyli czegoś w rodzaju sojuszu amerykańsko-europejsko-rosyjskiego. Była ona rozwijana w środowisku brytyjsko-francusko-niemieckim stworzonym przez brytyjskiego biznesmena żydowskiego pochodzenia George'a Weidenfelda, który uciekł z Austrii po Anschlussie i następnie zrobił karierę na Wyspach. Idea ta zmarła w tym środowisku śmiercią naturalną, gdy Putin czynił kolejne kroki na drodze do odzyskania ziem utraconych przez Związek Sowiecki. Obecnie stojący na czele założonej przez Weidenfelda inicjatywy politycznej Klub Trzech Norbert Röttgen byłby zapewne przerażony, gdyby mu tę ideę przypomnieć. Jej przebłyskiem ostatnim, za to bardzo efektownym, był słynny artykuł szefa i współwłaściciela koncernu Axel Springer Matthiasa Döpfnera, opublikowany w czerwcu 2022 r. w „Die Welt", potem zaś w Politico, a zatytułowany: „Po wojnie: AMEURUS". Warto się nad nim chwilę zatrzymać, bo pokazuje, w jaki sposób w najgorętszym okresie wojny (kilka tygodni wcześniej miała miejsce masakra w Buczy) próbowano utorować drogę do współpracy z Rosją.

Po pierwsze, Döpfner uznawał, że wojna z Ukrainą jest raczej wojną Putina, a nie wojną Rosjan. Jego pomysły na współpracę odnosiły się do przyszłych czasów, gdy władzę na Kremlu przejmą inni ludzie, np. ktoś w rodzaju Aleksieja Nawalnego czy Garriego Kasparowa. Ten pierwszy wtedy jeszcze żył. Podstawami do współpracy miały być rosyjska kultura i „wspólnota wartości" oraz dostęp do rosyjskich surowców. Obu kwestii autor nie rozwijał, ale wolno sądzić, że ewentualne problemy z „wartościami" dałyby się łatwo przezwyciężyć przy pomocy zwiększenia podaży surowców. Wszystko po to, aby przeciwstawić zjednoczony w ten sposób blok zachodniorosyjski chińskiemu totalitaryzmowi. Döpfner układał w ten sposób przyszły świat, tak aby dać Unii Europejskiej (i Niemcom) rolę rozgrywających, którzy przy pomocy swoich przybocznych, Ameryki i Rosji przywołają do porządku rosnące w siłę Chiny. Była to wizja wiele mówiąca o kwalifikacjach intelektualnych ludzi pretendujących do sprawowania „rządu dusz" w liberalnej Europie. Dobrze skądinąd o tych duszach świadczy to, że idei szefa Axela Springera jakoś nikt nie podchwycił. Pytanie brzmi, czy po utracie władzy przez Władimira Władimirowicza (w sposób naturalny lub nie) pomysły zbliżenia „wartościowo-surowcowego" nie powrócą.

BUDOWA IMPERIUM EURAZJATYCKIEGO

Tymczasem zbliżenie rosyjsko-chińskie nie da się tak łatwo rozerwać, jak by tego chcieli autor tekstu sprzed trzech lat albo ci, którzy obecnie chcieliby się zabierać do „odwracania" Kissingera. Faktyczny sojusz tych dwóch krajów (bo formalnie nic między nimi nie ma) krzepnie, a wojna z Ukrainą służy za katalizator. Miesiąc przed uderzeniem w lutym 2022 r. Putin i Xi Jinping spotkali się i oznajmili, że ich partnerstwo „nie ma granic". Wielu sądziło wówczas, że atak został uzgodniony i może dojść do światowego przesilenia, jednak Chiny wybrały podejście ambiwalentne. De facto wspierały Rosję, ale dawały nadzieję drugiej stronie, że mogą zostać przyciągnięte i przez nią. Zdecydowały się na konfrontację rozciągniętą w czasie i taką, w której stracą jak najmniej. Nie rezygnowały jednak z nadawania sygnałów pokazujących ich realną postawę. Rok później, zaledwie dwa tygodnie po tym, jak Xi Jinping został wybrany na trzecią kadencję jako przewodniczący Chińskiej Republiki Ludowej i prawdopodobnie zapewnił sobie tę funkcje dożywotnio, wybrał się do Moskwy w swoją pierwszą po tym wydarzeniu podróż zagraniczną i tam znowu wysłał światu sygnał, że konfrontacja trwa, a Chiny i Rosja znajdują się w niej po tej samej stronie. Na bankiecie, który Putin wydał na cześć Xi na Kremlu, odbył się dialog, który został skwapliwie przekazany światowym mediom. „Świat doznaje obecnie zmian niewidzianych od stulecia, a my w tych zmianach uczestniczymy" – powiedział Xi Jinping. „Zgadzam się" – odrzekł Władimir Władimirowicz, zapewne z satysfakcją.

Te zmiany to oczywiście świat wielobiegunowy, choć pod tym pojęciem Chiny i Rosja widzą nieco co innego. Putin chciałby wrócić do porządku, w którym znaczenie Rosji jest takie samo, jak kiedyś znaczenie Związku Sowieckiego, w którym jest ona równorzędnym partnerem przede wszystkim dla Ameryki. Nie – jak teraz – „mocarstwem drugiej kategorii", tylko mocarstwem w pełni. Z własną strefą wpływów, którą respektują pozostali gracze. Z całkowicie podporządkowanymi sobie Ukrainą, Białorusią, Gruzją i Armenią. Z czymś w rodzaju „strefy buforowej" oddzielającej ją od właściwej Europy, składającej się z należących do Unii Europejskiej krajów byłego Układu Warszawskiego. Rosją szachującą zneutralizowane NATO i Unię bronią migracyjną oraz możliwością zadania uderzenia zbrojnego i wymuszającą w ten sposób współpracę gospodarczą. Z kolei Xi Jinping chce po prostu świata jednobiegunowego. W nim to Chiny będą prawdziwym Państwem Środka i hegemonem, który nie będzie musiał używać siły, ale każdy będzie jego siłę uznawał. O tym, że częścią tego państwa będzie Tajwan, nie ma nawet co wspominać. A wszystko ma się dokonać do roku 2049, czyli do obchodów stulecia powstania Komunistycznej Partii Chin. Ponieważ Xi będzie miał wówczas 96 lat, nie jest wykluczone, że planuje coś wcześniej.

Rosja jest więc dla Chin towarzyszem drogi, zapleczem surowcowym, sojusznikiem dyplomatycznym – co istotne – w starciu o wpływy w świecie i faktycznym sojusznikiem militarnym. Użyteczne politycznie jest to, że wiąże Zachód i stwarza pole manewru dla własnej dyplomacji i gospodarki. Chiny natomiast są dla Rosji absolutnie niezbędne do przetrwania: bez nich nie byłoby możliwe tak długie prowadzenie wyczerpującej zapasy wojny, wytwarzanie nowoczesnych rakiet i wojskowej elektroniki, a także zapewnienie rynkowi cywilnemu wielu dóbr konsumpcyjnych, jak samochody czy sprzęt AGD. Asymetria w tych stosunkach jest uderzająca, co może po trosze tłumaczyć rosyjski zwrot w kierunku ideologii. Kremlowscy ideolodzy ogłosili bowiem po tym, jak Zachód zareagował zdecydowanie i wrogo w obronie Ukrainy, że nastał kres 300-letniego zwrotu Rosji ku Europie, zapoczątkowanego przez Piotra I. Kurs prozachodni został przez nich określony jako akceptacja poddaństwa. Natomiast wybierając kierunek wschodni, Rosja ma stać się znowu wielka.

eprasa.pl cd69d1a612

Słynny politolog Siergiej Karaganow, który półtora roku temu wzywał do przeprowadzenia prewencyjnych uderzeń jądrowych na Europę, aby zmusić ją do posłuszeństwa, od jakiegoś czasu zaangażował się w rozwijanie teorii o wspólnocie ideowej oraz kulturowej Chin i Rosji i o tym, że kierowana przez te dwa kraje Eurazja będzie w istocie w przyszłości decydować o losach świata. W jednym ze swoich tekstów z dumą wspominał, że Aleksander Newski otrzymał potwierdzenie swojej władzy, tzw. jarłyk, z rąk Batu-chana, a potem specjalnie wyprawił się do Karakorum po jego utwierdzenie. „Historia relacji Rosji i Chin jest głębsza, niż to się powszechnie uważa" – napisał Karaganow, a w innym miejscu dodał, że oba państwa są tak naprawdę dziedzicami imperium Czyngis-chana. W opublikowanym pod koniec marca artykule zatytułowanym „Do Eurazji w intelektualnej wolności" Karaganow pisze o Rosjanach jako o narodzie wybranym (sic!), narodzie wojowników i zwycięzców, powołanym do tego, aby zjednoczyć cywilizacje Wielkiej Eurazji i następnie całego świata. Nie wspomina co prawda, że dzieło to Rosja podejmie razem z Chinami, ale budowa eurazjatyckiego imperium bez Chin nie miałaby przecież sensu i – moim zdaniem – jego ostatnie teksty należy raczej czytać łącznie. Karaganow ze swoimi koncepcjami zachowuje się, jakby doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że w tym tandemie utrzymać się na powierzchni można, jedynie wysoko licytując i oferując partnerowi to, co nic nie kosztuje, ale może być skuteczne: ideologię. Trzeba przyznać, że w dobie konfrontacji gospodarczej może to mieć pewien sens.

PERMANENTNA KAMPANIA WYBORCZA

Na razie jednak Chiny mogą być mniej zainteresowane oferowaną przez Rosjan ideologią, a bardziej tym, jak przetrwać konfrontację gospodarczą, którą zaczął Donald Trump. Pekin bowiem do tej pory starał się pokazać światu jako pewny i nastawiony wyłącznie biznesowo partner, który ciężką pracą swoich obywateli i skalą produkcji uzyskuje obniżenie cen, na czym mogą zyskać wszyscy. Tak zresztą wygląda główny przekaz chińskiej propagandy skierowanej na zewnątrz:

Amerykanie odkryli w ubiegłym roku, że ok. 80 proc. dźwigów portowych w ich kraju jest produkcji chińskiej

Chiny jako oaza stabilności i pokoju wobec rozchwianego Zachodu, zwłaszcza Stanów Zjednoczonych. Wszelkie przekazy zakłócające ten obraz są ignorowane lub silnie kontrowane. Trochę tak, jakby Chiny prowadziły wobec świata permanentną kampanię wyborczą. Tymczasem owych zakłóceń jest naprawdę wiele i są bardzo niepokojące.

Choćby sprawa fentanylu, czyli zalewania Ameryki narkotykiem produkowanym z chińskich komponentów w Meksyku przy pomocy tamtejszych karteli i następnie szmuglowanym na północ. To działanie czysto przestępcze i Chiny się oficjalnie tego wypierają, ale są i działania biznesowe, które mogą znaleźć podwójne zastosowanie, by użyć określenia odnoszącego się do komponentów cywilnych z potencjalnym zastosowaniem militarnym. Amerykanie odkryli w ubiegłym roku, że ok. 80 proc. dźwigów portowych w ich kraju jest produkcji chińskiej, a w dodatku posiadają one bezpośrednią łączność internetową z Chinami. Czy to oznacza, że w razie konfliktu amerykańskie porty by stanęły? Nie wiadomo, ale pewności, że nie, nie ma. Podobnie sprawa się ma ze stacjami do ładowania samochodów elektrycznych i ich oprogramowaniem. Czy chiński producent mógłby je zdalnie unieruchomić albo zawirusować samochody? Patrz wyżej. Chińskie firmy zainwestowały też w amerykańskie start-upy zajmujące się badaniami genetycznymi, w ten sposób uzyskując dostęp do ogromnej bazy profili genetycznych Amerykanów, a także milionów klientów z całego świata. Pytanie, na co może się to przydać, jest równie zasadne jak pytanie o to, jakie znaczenie miały dla śledczych Służby Bezpieczeństwa pozornie niewinne informacje o zwyczajach ludzi, którymi się interesowali. Nawet wiadomość o kolorze bielizny mogła prowadzić do konkluzji, że „wiedzą wszystko".

Jest też poważna działalność morska. W ostatnim dziesięcioleciu Chiny rozwinęły poważną akcję zakupu udziałów w portach na całym świecie. Amerykański think tank CSIS oceniał ostatnio liczbę takich portów na ponad 100. Najważniejszym elementem infrastruktury morskiej przejętym przez Chińczyków był Kanał Panamski, o który teraz toczy się walka, bo choć prywatna firma z Hongkongu zgodziła się na sprzedaż, to rząd w Pekinie robi wszystko, aby tak się nie stało. Całkiem niedawno zwodowano w Chinach statek, który jest zdolny do przecinania podwodnych kabli na zawrotnej głębokości czterech kilometrów. Na Bałtyku nie jest to potrzebne, tu chińskie statki są w stanie zerwać kable przy pomocy kotwicy, ale już wokół Tajwanu wody są zdecydowanie głębsze.

Wiele wskazuje więc na to, że rozpętana przez Trumpa wojna gospodarcza wcale nie ma na celu bezwzględnego poprawienia sytuacji amerykańskiej gospodarki, ale relatywne jej poprawienie w stosunku do Chin poprzez osłabienie chińskiej gospodarki, a jednocześnie zmuszenie ich do rezygnacji z wielu działań, które do tej pory pozostawały w cieniu. Stąd położenie nacisku na Panamę, a także na Grenlandię. Panamę już prawie udało się uwolnić spod chińskiej kontroli, natomiast Grenlandia wcale nie musi wpaść w ręce Ameryki, bo po trwającej od dwóch miesięcy awanturze wszyscy będą z pewnością dobrze zwracali uwagę na to, czy aby nie zagnieżdżają się tam Chińczycy. Co do ceł, to po pierwszym chaotycznym ataku nadszedł czas ich dokładniejszej kalibracji w taki sposób, aby wywołać jak największe problemy u przeciwnika.

Dla rodzącego się imperium eurazjatyckiego nie jest to więc czas na bawienie się w eksperymenty, tylko na zwieranie szeregów. Chiny i Rosja pokazują to choćby przy okazji negocjacji z Iranem w sprawie programu jądrowego, uzgadniając z Teheranem wspólną linię postępowania. Putin wie, że gdyby próbował teraz wyrwać się spod kontroli chińskiej, to po pierwsze Xi ma dość narzędzi gospodarczych, aby go przywołać do porządku, a po drugie taka wolta byłaby ideologicznie nie do przeprowadzenia w Rosji. Kissinger może więc leżeć w grobie spokojnie – nikt go nie „odwróci".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd69d1a612

Maciej Pieczyński

Kreml pochwala multi-kulti. Rosja, jak na imperium przystało, szczyci się swoim wielonarodowym charakterem

Nierosyjska Rosja

My w Rosji bardzo dobrze wiemy, jakim bogactwem jest różnorodność" – te słowa nie padły z ust opozycyjnego działacza lewicowo-liberalnego, który sprzeciwia się „nacjonalistycznej polityce Kremla". To cytat z Władimira Putina. Wielonarodowy charakter państwa rosyjskiego jest faktem, a władze w Moskwie nie tylko się tego faktu nie wstydzą, lecz także demonstrują dumę z tego powodu. Multi-kulti to niemal oficjalna ideologia Kremla. Oczywiście nielegalni imigranci z Azji Środkowej (z dawnych kolonii rosyjskich i sowieckich) również napływają w ogromnej liczbie. I to oni, jeśli już, budzą niepokój i niechęć środowisk nacjonalistycznych, które często na zalew obcych narzekają.

190 GRUP ETNICZNYCH

Generalnie jednak wielokulturowość Rosji nie jest efektem napływu imigrantów z innych szerokości geograficznych. Jest natomiast stanem naturalnym. Nierosyjscy Rosjanie od pokoleń zamieszkują na swojej ziemi, która w pewnym momencie znalazła się pod panowaniem Moskwy. Są u siebie. Wielu przedstawicieli kremlowskiej elity ma nierosyjskie korzenie. Siergiej Szojgu pochodzi z Tuwy. Niesłowiańskie rysy odziedziczył po ojcu Tuwińczyku. Deklaruje się jako prawosławny, który szanuje tradycje buddyjskie. Z kolei wieloletni szef rosyjskiej dyplomacji Siergiej Ławrow urodził się w rodzinie o ormiańsko-gruzińskim pochodzeniu, którego nie ukrywa. Szefowa rosyjskiego Banku Centralnego, uważana za najbardziej wpływową kobietę w Rosji, Elwira Nabiullina, jest Tatarką urodzoną w Baszkirii. Jej nazwisko pochodzi z języka arabskiego i oznacza „proroka Allaha". Etniczną Ormianką jest redaktor naczelna telewizji RT Margarita Simonian. Inny znany propagandysta Władimir Sołowjow szczyci się swoim żydowskim pochodzeniem, a swoich krytyków oskarża o antysemityzm.

Rosję zamieszkuje ok. 190 grup etnicznych. Zgodnie z wynikami spisu powszechnego z 2021 r. Rosjanie stanowią prawie 72 proc. populacji. Drugą co do liczebności grupą są Tatarzy. Jest ich 3,2 proc., co daje prawie 5 mln ludzi. 1,14 proc. to Czeczeni (prawie 1,7 mln). Baszkirów jest 1,5 mln (1,07 proc.), Czuwasze (0,73 proc.) i Awarowie (0,69 proc.) stanowią niewiele ponadmilionowe grupy. Po kilkaset tysięcy jest w Rosji Ormian, Ukraińców, Kazachów, Gruzinów, Jakutów, Buriatów, Maryjczyków, Czerkiesów, Karaczajów, Kumyków, Lezginów, Inguszów i innych. Zgodnie z konstytucją w Rosji władzę sprawuje jej „wielonarodowy lud" (mnogonacjonalnyj narod). Oczywiście rządzi despotyczna władza, ale akurat różnorodność etniczna jest faktem.

Swój wielonarodowy charakter Rosja zawdzięcza podbojom. W XVI w. ówczesne państwo moskiewskie, dotychczas skupione na „zbieraniu ziem ruskich", rozpoczęło ekspansję w kierunku terenów zamieszkanych przed ludność niesłowiańską. Car Iwan IV Groźny ruszył na wschód i południe. Podbił chanaty Kazański i Astrachański, powstałe w wyniku rozpadu Złotej Ordy – imperium tatarskiego, które wcześniej przez ponad dwa stulecia niewoliło Ruś. Teraz role się odwróciły. Do końca XVII w. Rosjanie zajęli całą Syberię. Wschodniosłowiańska Rosja stała się państwem eurazjatyckim. Tatarskie elity stawały się rosyjskimi, zasilając szeregi bojarów. Czapka Monomacha, korona carów rosyjskich, według legendy przekazana niegdyś w darze od imperatora bizantyjskiego, w rzeczywistości (zdaniem większości badaczy) jest nakryciem głowy tatarskiego murzy (czyli arystokraty). Prawdopodobnie moskiewski książę Iwan Kalita otrzymał ją od chana Uzbeka jeszcze w czasach, gdy Moskwa była pod butem Złotej Ordy.

Tatarzy z historycznego punktu widzenia są też grupą najbardziej wpływową. Rosyjskie samodzierżawie, czyli nieograniczona władza cara, w dużej mierze ukształtowało się pod wpływem tatarskiego despotyzmu, który w ostatnich latach coraz częściej jest w Rosji rehabilitowany. W podręcznikach okres niewoli mongolsko-tatarskiej od niedawna określany jest eufemistycznym mianem „zależności ruskich książąt od chanów ordyńskich". Skąd taka tendencja? Po pierwsze, naturalną konsekwencją pogorszenia relacji z Zachodem jest zbliżenie z Azją, które potrzebuje również głębokiego, ideologicznego uzasadnienia. Po drugie, chodzi też o poprawność polityczną – o to, żeby współcześnie żyjący potomkowie mongolskich najeźdźców nie czuli się urażeni. Kazań, dawna stolica chanatu, jest dziś stolicą republiki Tatarstan, w której prawie 54 proc. mieszkańców stanowią Tatarzy (a zarazem muzułmanie).

TATARSKIE PRZEBOJE

Uproszczeniem byłoby stwierdzenie, że cała europejska część Rosji jest etnicznie rosyjska czy też wschodniosłowiańska. Nie jest tak, że Kazań i Astrachań były ruskie, a potem zostały podbite przez Tatarów, a carowie tylko przywrócili te ziemie macierzy. Przeciwnie

eprasa.pl cd69d1a612

– w czasach, gdy powstawała Ruś, była to część Wielkiego Stepu, zamieszkanego przez ludność turecką, która później wymieszała się z tatarskimi najeźdźcami. Początkowo dominował tam szamanizm, z czasem Tatarzy przyjęli islam. Dziś od 20 do 25 mln mieszkańców Rosji (z ok. 147 mln) to muzułmanie.

Odsetek Tatarów w Tatarstanie pokrywa się mniej więcej z odsetkiem wyznawców Allaha. Natomiast w Baszkirii (Baszkortostanie) położonej na europejsko-azjatyckim pograniczu, między kazachskim stepem a syberyjską tajgą, muzułmanie stanowią prawie 70 proc. Rosjan jest tam najwięcej, ale nie są większością (37,5 proc.). Baszkirzy i Tatarzy to kolejno 31,5 i 24,2 proc. mieszkańców. Posługują się podobnymi językami, należącymi do grupy języków tureckich. Ich kultury (korzeniami sięgające czasów Wielkiego Stepu, wyrastające zarówno z imperium Czyngis-chana, jak i wpływów irańskich czy arabskich) nie tylko nie są przez Moskwę systemowo prześladowane, lecz także stanowią istotne elementy rosyjskiej mozaiki kulturowej.

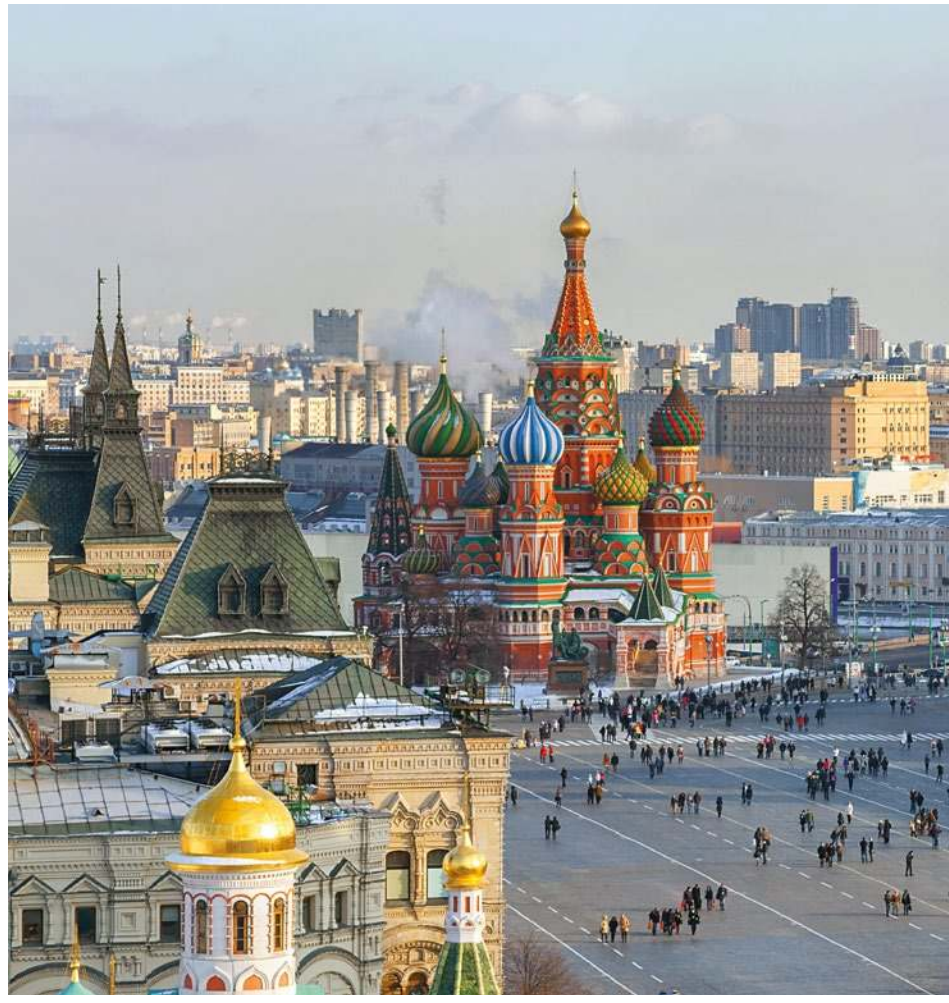

Muzyka z tych regionów podbija Rosję (i nie tylko), niczym przodkowie tych stepowych ludów wiele setek lat temu. Wystarczy wspomnieć kilka przebojów. Z Tatarstanu pochodzi zespół Aigel (obecnie na emigracji, ale wciąż bardzo popularny w ojczyźnie). Kilka lat temu zyskał popularność hiphopowym kawałkiem „Tatarin" (ros. Tatar). W tekście słyszymy zarówno język rosyjski, jak i tatarski. Wokalistka Ajgel Gajsina półżartem rapuje o tym, że nie zdradziła swojego siedzącego w więzieniu chłopaka. Historia jest oparta na faktach z życia samej autorki. Partner Gajsiny został aresztowany za wszczęcie bójki z jej byłym mężem. Hitem stał się również – śpiewany w całości po tatarsku – utwór „Pyjala", znany głównie ze ścieżki dźwiękowej do najpopularniejszego w historii serialu rosyjskiego „Słowo pacana", którego akcja zresztą rozgrywa się w Kazaniu, a wśród bohaterów są Tatarzy.

W marcu tego roku Internet zawojowała grupa Ay Yola z Ufy. Podobnie jak w przypadku Aigel jest to połączenie nowoczesnych, transowych brzmień i rodzimej kultury. Utwór „Homay" w ciągu tygodnia zebrał ponad milion wyświetleń. Muzycy grają na tradycyjnych instrumentach z dodatkiem elektroniki, w teledyskach występują w ludowych strojach, na tle baszkirskiej przyrody, śpiewają po baszkirsku, łącząc nowoczesny wokal ze śpiewem gardłowym, charakterystycznym dla folkloru ludów Wielkiego Stepu. To dopiero drugi opublikowany przez zespół z Ufy kawałek, a już podbił nie tylko Rosję, lecz także całą Azję Środkową, w tym m.in. Kazachstan, również dzięki bliskości kulturowej z narodami tureckojęzycznymi. Tytułowa „Homay" to dziewczyna łabędź, bohaterka ludowego eposu baszkirskiego „Ural-Batyr". Symbolizuje światło, mądrość i wierność. W tekście do Homay porównywane są współczesne Baszkirki, z których każda może pójść jej śladem, kultywując rodzime tradycje. Co ciekawe, piosenka jest również jednym z najczęściej słuchanych utworów na Ukrainie. W tekście nie ma ani słowa o wojnie. A jednak nad Dnieprem pojawiły się opinie, wedle których słuchanie „Homay" jest równoznaczne ze wspieraniem armii Putina, bo to przecież piosenka wykonywana przez obywateli Rosji.

A w roku inwazji na Ukrainę najczęściej słuchanym na rosyjskim YouTube wykonawcą był również obywatel Rosji nierosyjskiego pochodzenia – Islam Itlaszew, muzułmanin z Kaukazu (konkretnie: z Karaczajo-Czerkiesji), który śpiewa po rosyjsku, ale czerpie z kaukaskiego folkloru. Odrębność tego regionu jest oczywista i dobrze znana. W Dagestanie i Czeczenii kolejno 94 i 96 proc. stanowią wyznawcy Allaha, którzy jednak bardziej niż w wielu etnicznie rosyjskich podmiotach federacji popierają Putina. Ramzan Kadyrow, najwierniejszy żołnierz Kremla, stosuje w swoim udzielnym księstwie prawo szariatu bardziej niż prawo Rosji. Miedzy 1989 a 2010 r. odsetek etnicznych Rosjan w Czeczenii spadł z 23 do niecałych 2 proc. Na razie nie idą za tym silne nastroje separatystyczne.

eprasa.pl cd69d1a612

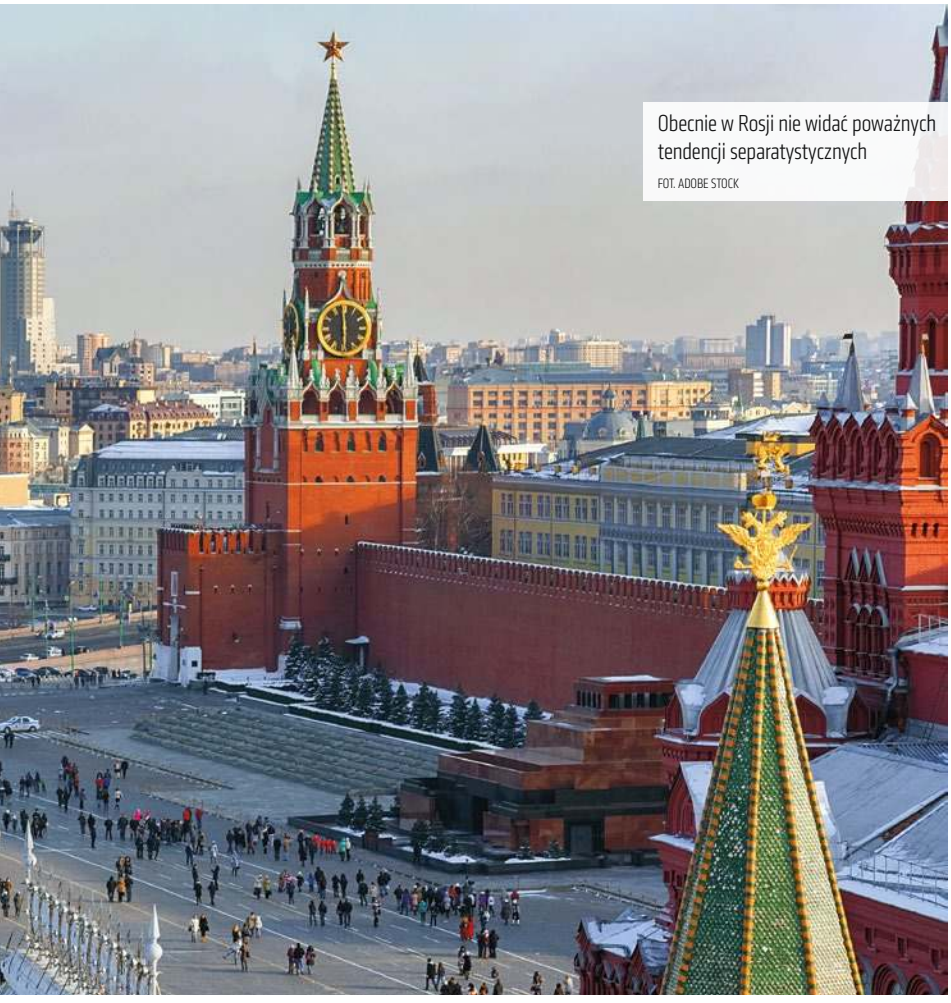

Obecnie w Rosji nie widać poważnych tendencji separatystycznych
FOT. ADOBE STOCK

Mieszkańcy republiki cieszą się szeroką autonomią, a Kadyrow trzyma swoich ludzi krótko, żelazną ręką despoty gorszego od Putina.

Obok prawosławia i islamu tradycyjną religią Rosji jest buddyzm. W szczególności lamaizm, czyli tybetańska odmiana buddyzmu, mocno nasączona wpływami szamańskimi. Tę religię wyznaje 26 proc. Buriatów, 70 proc. mieszkańców Kałmucji i 60 proc. mieszkańców Tuwy. Kałmucja położona jest na północny wschód od Kaukazu. Ojczyzna Siergieja Szojgu oraz Buriacja – przy granicy z Mongolią. Buriacja to perła turystyki – obejmuje południowy i wschodni brzeg Bajkału. Największą wyspą na najgłębszym jeziorze świata jest Olchon – święta wyspa szamanizmu. Na Olchonie odbywają się zjazdy syberyjskich szamanów, a jedną z największych atrakcji wyspy jest Skała Szamanka.

Tuwa ma dość bogatą historię. Jako jedna z krain Wielkiego Stepu wchodziła w skład zarówno imperium Czyngis-chana, jak i Chin, a potem Mongolii. Stała się oddzielnym księstwem, które w 1912 r. ogłosiło niepodległość. Potem przez kilka dekad była państwem związanym luźno z Moskwą. Wypowiedziała nawet wojnę Niemcom po ich agresji na ZSRS w 1941 r., ale trzy lata później to Sowieci ją zaanektowali. Od tamtej pory jest autonomicznym bytem w granicach Rosji (najpierw sowieckiej, potem postsowieckiej). Po rozpadzie ZSRS wybuchały tutaj antyrosyjskie pogromy, które zmusiły jedną czwartą ludności do ucieczki z terytorium republiki.

Na przełomie lat 80. i 90. nastał czas próby. Istniało niewielkie – ale jednak – ryzyko, że rozpad ZSRS pociągnie za sobą również rozpad samej Rosji. Borys Jelcyn namawiał mieszkańców Tatarstanu i Baszkirii, aby brali tyle suwerenności, ile tylko są w stanie połknąć. Po pierwsze, ten apel nie padł na zbyt podatny grunt. Po drugie, kilka lat później Jelcyn zmienił zdanie i zaczął pacyfikować niepokorną Czeczenię, którą ostatecznie podbił Putin, jednocześnie centralizując państwo i sprawiając, że federacyjny ustrój Rosji, jej podział na autonomiczne podmioty, stał się tylko teoretyczny.

PRZEWAGA JĘZYKA CENTRUM

Obecnie nie widać poważnych tendencji separatystycznych. Od czasu do czasu w nierosyjskiej Rosji wybuchają protesty, których organizatorzy i uczestnicy domagają się co najwyżej poszanowania autonomii, a na pewno nie niepodległości. Co prawda, o nierosyjskich Rosjanach w ostatnich latach wspominano głównie w kontekście mięsa armatniego na ukraińskim froncie. Tyle że np. Buriaci idą masowo na wojnę nie dlatego, że są zaciągani siłą. Zmuszają ich do tego okoliczności. Chętnie podpisują kontrakt z armią, bo to możliwość dobrego zarobku, o który trudno w ich zubożałym regionie. Nie buntują się więc przeciwko Moskwie, która ich wykorzystuje, tylko korzystają z atrakcyjnej finansowo oferty. A jednak to właśnie na nierosyjskiej prowincji wybuchały najpoważniejsze protesty przeciwko – chociaż nie miały podłoża antywojennego czy antyrosyjskiego. Często na ulice wychodziły kobiety w obronie swoich mężów i synów.

Oficjalnie nierosyjskie republiki mają dwa języki urzędowe: rosyjski i miejscowy (wyjątkiem jest okupowany Krym, gdzie ukraiński nie ma takiego statusu). Młodzi mieszkańcy mogą wybierać, w jakim języku chcą się edukować. Ale już egzamin dojrzałości jest zdawany po rosyjsku. Przewaga języka centrum jest oczywista. Przewaga nie oznacza jednak całkowitej dominacji. Moskwa wyznaje prostą zasadę, którą można streścić następująco: „kultura tak, polityka nie". Odmienność etniczna republik jest wręcz powodem do dumy z różnorodności imperium. Najlepiej jednak, by kultura ograniczała się do skansenu, ciekawostki estetycznej, nie rodząc ambicji niepodległościowych. Ludy azjatyckie Rosji mogą podbijać świat pięknem gardłowego śpiewu, nie mogą jednak pretendować do politycznej niezależności. Ale też najwyraźniej nie chcą. Rozpad Rosji po szwach narodowych wciąż jest mrzonką.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd69d1a612

FOT. BLUE SKY RESCUE TEAM/XINHUA NEWS AGENCY/FORUM

KARA ZA PRZEPOWIEDNIĘ

Pod koniec marca Mjanmę (Birmę) nawiedziło trzęsienie ziemi. Dwa tygodnie po tym tragicznym wydarzeniu pewien Mjanmańczyk zajmujący się astrologią opublikował na TikToku wideo z przepowiednią kolejnego takiego kataklizmu – datowanego na 21 kwietnia bieżącego roku. W efekcie wywołał wśród swoich rodaków panikę, za co trafił do aresztu. Przepowiednia się zaś nie sprawdziła.

NIEŚWIADOME UPRZEDZENIA

Amerykańskie media dotarły do raportu, z którego wynika, że prokuratorzy w stanie Minnesota będą musieli uwzględniać rasę i wiek oskarżonych w trakcie negocjowania ugód sądowych. Biuro prokuratora okręgowego argumentuje, że chodzi o to, aby dać odpór nieświadomym uprzedzeniom. Tymczasem krytycy tego rozwiązania wskazują, że koliduje ono z konstytucyjną zasadą równego i bezstronnego traktowania obywateli.

ATAKI NA DRZEWA

W Los Angeles policja schwytała 40-latka, który piłą łańcuchową ścinał drzewa w różnych dzielnicach miasta. Mężczyznę oskarżono o poważne akty wandalizmu. Nieznane są przyczyny, dla których się ich dopuszczał. Wiadomo tylko, że generalnie ział agresją. Lilian Carranza, szefowa departamentu policji w LA, zwróciła uwagę na to, że drzewa zostały zaatakowane w okolicach 22 kwietnia, czyli Dnia Ziemi.

AWANTURA W SAMOLOCIE

Kobieta i mężczyzna wywołali awanturę w samolocie, który miał wystartować z lotniska w Puerto Vallarta w Meksyku. Najpierw z opóźnieniem weszli na pokład maszyny, a następnie zaczęli usuwać rzeczy innych pasażerów z szafek, żeby zmieścić się ze swoimi bagażami. Gdy stewardesy podjęły interwencję, wywiązała się kłótnia. Ostatecznie niesforna para została zmuszona opuścić samolot.

NOS W SŁOIKU

O internautce Toxii zrobiło się głośno z powodu ekstremalnych modyfikacji, którym poddała swoje ciało. Trzydziestojednoletnia Belgijka narzeka, że wywołują one u ludzi negatywne reakcje, w tym po prostu strach. Niedawno przyznała się do tego, że... odcięła sobie nos i trzyma go w słoiku. Jest pierwszą kobietą na świecie, która zdecydowała się na ten zabieg z powodów kosmetycznych. Poza tym Toxii ma czarne gałki oczne i rozdwojony język, a jej uszy pozbawione są płatków i górnej części. ©℗

Filip Memches

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Rekord w zbrojeniach

Takiego wzrostu globalnych wydatków wojskowych jak w ostatnim roku świat nie widział nigdy od zakończenia zimnej wojny. Globalne wydatki wojskowe wzrosły w ubiegłym roku o 9,4 proc. w porównaniu z rokiem 2023, osiągając poziom 2,718 bln (!) dol. Najszybciej zbroją się kraje na Bliskim Wschodzie oraz w Europie – wynika z najnowszego raportu SIPRI.

Wojna na Ukrainie oraz rosnące wątpliwości dotyczące amerykańskiej lojalności sojuszniczej sprawiły, że na Starym Kontynencie wydatki na zbrojenia wzrosły aż o 17 proc. (wliczając do tych statystyk zarówno wydatki rosyjskie, jak i krajów, które się zbroją ze względu na Rosję właśnie). Władze na Kremlu wciąż wydają jednak na zbrojenia więcej niż pozostałe kraje Europy razem wzięte, a rosyjskie wydatki w roku ubiegłym wzrosły aż o 38 proc. w porównaniu z rokiem 2023 (do 149 mld dol.). Jednocześnie to już dwukrotnie więcej, niż Rosja wydawała na ten cel w roku 2015.

Tym bardziej cieszy więc, że tym razem polscy przywódcy okazali się mądrzy przed (ewentualną) szkodą i konsekwentnie – niezależnie od tego, która partia jest akurat przy władzy – od lat modernizują siły zbrojne Polski. W 2024 r. wydatki na obronność w Polsce wzrosły o 31 proc. do 38 mld dol. Pewnie czułbym się jeszcze bezpieczniejszy, gdyby szef MON nie miał spakowanego plecaka ewakuacyjnego. Mimo to nasi politycy okazali się bardziej przewidujący niż członkowie władz w wielu stolicach zachodnich (choć Niemcy też w ubiegłym roku zwiększyli wydatki na obronność o 28 proc. do 88,5 mld dol.). Byle tylko kolejne kampanie nagle nie odebrały im rozumu... ©℗

eprasa.pl cd69d1a612

KSIĘGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY

KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl cd69d1a612

Gołębi zwrot

FOT. ADOBE STOCK

Jacek Przybylski

Obniżka stóp procentowych wydaje się przesądzona. Już w maju stopy procentowe NBP mogą spaść o 0,25 lub 0,5 p.p., a łącznie do końca roku o ok. 1 p.p. Sporo zyskają na tym kredytobiorcy, a stracą drobni ciułacze oszczędzający w bankach

Najbliższe posiedzenie 10-osobowej Rady Polityki Pieniężnej (RPP) odbędzie się już w tym tygodniu (6–7 maja). Wyczekują jej nie tylko profesjonalni inwestorzy, lecz także tysiące kredytobiorców. Pierwszej od 5 października 2023 r. obniżki stóp procentowych NBP oczekują nie tylko inwestorzy i analitycy finansowi. Jak zauważył podczas Europejskiego Kongresu Gospodarczego w Katowicach członek RPP Przemysław Litwiniuk, dane spływające z gospodarki skłaniają do rozważenia obniżki stóp procentowych o 25 lub 50 punktów bazowych na posiedzeniu RPP już w maju. Kolejne cięcia byłyby jego zdaniem możliwe jeszcze tegorocznej jesieni, a w całym 2025 r. stopy mają się skurczyć łącznie o 100–125 punktów bazowych. W kwietniowym wywiadzie dla Polskiego Radia obniżenia stóp procentowych już w maju nie wykluczał także inny członek RPP, Ludwik Kotecki (przewidywał także, że do końca obecnego roku stopy procentowe zostaną obniżone o 1 p.p.). Obniżek stóp nie wykluczał również w kwietniu sam prezes Narodowego Banku Polskiego prof. Adam Glapiński, tym samym zmieniając się z typowego „jastrzębia" w „gołębia". Co zresztą dosłownie podkreślił na konferencji prasowej, mówiąc wprost: „Przychodzę jako gołąb na czele gołębi".

DUŻO NIŻSZE RATY KREDYTÓW

Wprawdzie choć inflacja w Polsce jest wciąż wyższa od tzw. celu inflacyjnego wyznaczonego przez Narodowy Bank Polski (od 2003 r. obowiązuje cel na poziomie 2,5 proc. z dopuszczalną różnicą 1 p.p. w dół lub w górę), to obniżek głównych

eprasa.pl cd69d1a612

stóp procentowych w najbliższych miesiącach oczekuje również rynek. Eksperci finansowi prognozują dwa tego typu ruchy, czyli dwa cięcia każdorazowo po 50 punktów bazowych. Takim decyzjom sprzyja osłabienie ożywienia gospodarczego spowodowane m.in. cłami nałożonymi na produkty z Unii Europejskiej przez prezydenta USA Donalda Trumpa.

Co gołębie decyzje Rady Polityki Pieniężnej oznaczałyby dla zwykłego Kowalskiego? Obecnie stopa referencyjna wynosi 5,75 proc. w skali rocznej. Na jej wysokość narzekają szczególnie osoby spłacające kredyty hipoteczne, które zaciągnęły je podczas pandemii – wówczas stopy procentowe były rekordowo niskie, a ich skok do obecnego poziomu dla wielu osób oznaczał, że miesięczna rata kredytu nagle wzrosła nawet dwukrotnie. Ile zyskają na obniżkach? Stawki podawane przez RPP znajdują szybko odzwierciedlenie w stawkach WIBOR. Te ostatnie w oczekiwaniu na formalną decyzję RPP spadają już zresztą od kilku tygodni. W momencie oddawania tego tekstu do druku (28 kwietnia) kluczowy dla wielu kredytobiorców wskaźnik WIBOR 3M wynosił już 5,42 proc. (jeszcze na początku kwietnia miał on wartość 5,85 proc.), a WIBOR 6M zmalał z 5,75 proc. do 5,14 proc.

Skoro punkt bazowy to jedna setna punktu procentowego, to obniżka o 50 punktów bazowych dla Kowalskiego, który wziął kredyt na okrągły 1 mln zł, oznaczałaby spadek miesięcznej raty kredytu z 7,3 tys. zł do niecałych 6,9 tys. zł. Jeśli łącznie do jesieni obniżka wyniosłaby 125 punktów bazowych, to nasz przykładowy Kowalski miesięcznie odprowadzałby już do banku „tylko" 6,5 tys. zł. Na decyzjach członków Rady Polityki Pieniężnej oszczędzałby więc miesięcznie ok. 800 zł. To tylko przykładowa kalkulacja, która różnić się będzie zarówno w zależności od kwoty zobowiązania, jak i wysokości marży banku.

Warto jednak zajrzeć do zapisów umowy, aby sprawdzić, kiedy rata naszego kredytu spadnie. Jest ona bowiem aktualizowana najczęściej co trzy miesiące lub nawet co pół roku.

Zysków z obniżek stóp nie zobaczą zaś w ogóle ci klienci, którzy zaciągnęli kredyt hipoteczny na stałą stopę procentową (spali oni jednak spokojnie, gdy inni kredytobiorcy nerwowo przeliczali wysokość swoich rat, podczas gdy RPP była bardziej jastrzębia). I oni mogą jednak płacić niższe raty, jeśli zdecydują się np. na refinansowanie kredytu na korzystniejszych warunkach (czyli jeśli spłacą przed terminem kredyt wyżej oprocentowany kredytem o oprocentowaniu niższym).

5,42 proc.

DO TAKIEGO POZIOMU Z 5,85 PROC. SPADŁ JUŻ KLUCZOWY DLA KREDYTOBIORCÓW WIBOR 3M

WYŻSZA ZDOLNOŚĆ KREDYTOWA

Osoby, które dopiero chcą się zadłużyć, ucieszy wiadomość, że obniżka stóp procentowych powinna podwyższyć ich zdolność kredytową. W uproszczeniu oznacza to, że w przypadku osób, które w kwietniu mogły pożyczyć 200 tys. zł, spadek stóp o 1 p.p. może oznaczać, że pod koniec roku będą mogły starać się o kredyt w wysokości ok. 220 tys. Jeśli ktoś marzy zaś o czterech kątach w stolicy, to zamiast kredytu na 900 tys. zł będzie w stanie wziąć kredyt na niemal okrągły milion.

Może to dodatkowo rozruszać akcję kredytową. W pierwszym kwartale 2025 r. banki udzieliły 49,2 tys. kredytów mieszkaniowych o wartości 20,89 mld zł (w porównaniu z pierwszymi trzema miesiącami roku 2024 liczba udzielonych kredytów hipotecznych zmalała więc o 24,8 proc., a ich wartość o 23,2 proc.). Chociaż biorąc pod uwagę fakt, że oprocentowanie nowo udzielanych kredytów hipotecznych w polskich bankach należy do najwyższych w całej Europie, to nawet takie wyniki sprzedaży należy uznać za znakomite.

Większa zdolność kredytowa może też zachęcić do zakupu nieruchomości i sprawić, że znów będą rosły ceny nieruchomości. Decyzje o zakupie kolejnych mieszkań należy jednak podejmować ostrożnie. Wbrew pozorom ceny mieszkań nie muszą wyłącznie rosnąć, o czym boleśnie przekonali się w ostatnim czasie np. właściciele nieruchomości w centrach niemieckich miast, w których ceny spadały wyraźnie szybciej niż w dzielnicach peryferyjnych (np. ceny mieszkań w centrum Hamburga spadły od 2022 r. o 17,8 proc., a w Düsseldorfie o 17,5 proc.). Nie jest więc wcale wykluczone, że widoczna od kilku miesięcy korekta na polskim rynku mieszkaniowym jeszcze potrwa. Może się też okazać głębsza niż dotychczas (choć oczywiście wcale nie musi i mieszkania mogą znów zyskiwać na wartości).

CIUŁACZE JUŻ TRACĄ

Pewne jest jedno. Chociaż spadek stóp procentowych to dobra wiadomość dla kredytobiorców, to jest to jednocześnie

REKLAMA

Radio nr 1 w Polsce

RMF NAJLEPSZA MUZYKA

eprasa.pl cd69d1a612

bardzo zła informacja dla drobnych ciułaczy, próbujących chronić wartość swojego kapitału za pomocą lokat lub rachunków oszczędnościowych. Bankierzy nie czekali na majowe posiedzenie Rady Polityki Pieniężnej i jeszcze w kwietniu zaczęli masowo obniżać oprocentowanie depozytów i kont oszczędnościowych.

Ministerstwo Finansów, wyprzedzając spodziewany ruch Rady Polityki Pieniężnej, już od 1 maja obniżyło oprocentowanie obligacji skarbowych, które w ostatnich latach stały się jednym z ulubionych produktów oszczędnościowych Polaków. I tak majowe trzyletnie obligacje o stałym oprocentowaniu (TOS0528) pozwolą zarobić już tylko 5,75 proc. w skali roku (te sprzedawane jeszcze w kwietniu, czyli TOS0428, miały oprocentowanie na poziomie 5,95 proc. w skali roku przez cały trzyletni okres oszczędzania). Jeśli więc ktoś chciał ulokować w tego typu papierach skarbowych 100 tys. zł, to kupując obligacje, mógł liczyć na 4819,5 zł rocznego zysku netto (po odjęciu podatku Belki). Po obniżce oprocentowania roczny zysk zmaleje do 4657,5 zł. Przez trzy lata osoby, które za 100 tys. zł kupią obligacje dopiero w maju zamiast jeszcze w kwietniu, stracą na tej zwłoce niecałe 500 zł. Oczywiście ci, którzy zamiast 100 tys. zł kupią papiery skarbowe za 10 tys. zł, na obniżce oprocentowania stracą zaś przez trzy lata niecałe 50 zł.

Jeśli jednak przyjmiemy za ekspertami, że stopy procentowe w Polsce będą nadal spadać, to i tak warto rozważyć tego typu inwestycję. Pod koniec obecnego roku może się bowiem okazać, że znalezienie długoterminowej lokaty bankowej z oprocentowaniem na poziomie 5,75 proc. będzie już praktycznie niemożliwe, a w przyszłym roku – jeśli cykl obniżek będzie kontynuowany – może się okazać, że ze świecą szukać będzie można nawet promocyjnych depozytów oprocentowanych powyżej 5 proc. w skali roku. W przypadku trzyletnich obligacji oprocentowanie 5,75 proc. w skali roku jest zaś gwarantowane na cały czas inwestycji.

Jeszcze w kwietniu opłacalne wydawały się też obligacje czteroletnie (COI) i 10-letnie indeksowane inflacją (EDO). Czterolatki w pierwszym rocznym okresie odsetkowym były bowiem jeszcze w kwietniu oprocentowane na 6,3 proc. – od maja oprocentowanie to spadło do 6,1 proc. I tak warto więc rozważyć tę formę oszczędzania, ponieważ na szczęście nie zmieniła się marża w kolejnych okresach odsetkowych. Nadal wynosi ona 1,5 proc. Zmienne oprocentowanie w kolejnych latach będzie zaś wyznaczane na podstawie wskaźnika inflacji i wspomnianej marży. Jeszcze wyższą marżę mają obligacje 10-letnie. Wspomniane EDO jeszcze w kwietniu oferowane były przez ministra finansów z oprocentowaniem na poziomie 6,55 proc. w pierwszym rocznym okresie odsetkowym. I chociaż od maja oprocentowanie to spadło do 6,35 proc., to podobnie jak w przypadku czterolatek zakup takich papierów skarbowych może się okazać opłacalny. Jest bowiem całkiem prawdopodobne, że w pewnym momencie 2025 r. lub 2026 r. stopy procentowe zostaną obniżone do poziomu niższego niż inflacja.

Ministerstwo Finansów, wyprzedzając ruch RPP, już od 1 maja obniżyło oprocentowanie obligacji skarbowych

Według założeń NBP w tym roku inflacja obniży się w III kwartale obecnego roku, ale pod koniec roku ponownie wzrośnie i pozostanie na podwyższonym poziomie co najmniej do II kwartału roku 2026. Jeśli jednocześnie sprawdzą się założenia dotyczące obniżek stóp, to oznaczać to będzie, że w takiej sytuacji drobni ciułacze oszczędzający w bankach dostaną bardzo mocno po kieszeni – na rynku z obniżonym oprocentowaniem lokat i rachunków oszczędnościowych większość oszczędzających nie będzie zapewne w stanie nawet utrzymać wartości nabywczej posiadanych pieniędzy, o choćby mikroskopijnym zysku już nie wspominając. Tymczasem posiadacze obligacji indeksowanych inflacją powinni móc liczyć na niewielki, ale jednak zarobek. Bardzo atrakcyjnie wygląda nadal również oferta tzw. obligacji rodzinnych, czyli tzw. ROS i ROD. W tym wypadku promocyjna marża dodawana do inflacji w maju wynosi bowiem nadal 2 proc. w przypadku obligacji sześcioletnich i aż 2,5 proc. w przypadku obligacji 12-letnich. I chociaż żadna forma oszczędzania czy inwestowania nie daje gwarancji ochrony wartości nabywczej, to w przypadku bezpiecznych produktów obligacje rodzinne nie mają zbyt dużej konkurencji.

FUNDUSZE? AKCJE? SUROWCE?

Rozsądnym wyborem, gdy stopy procentowe spadają, może być też zakup jednostek funduszy dłużnych – zwłaszcza tych, które inwestują w obligacje o stałym oprocentowaniu, bo one historycznie w takich okresach generowały wyższe stopy zwrotu. W okresie obniżek stóp procentowych teoretycznie atrakcyjne mogą się też okazać fundusze akcji, ponieważ malejące stopy sprzyjają zazwyczaj wzrostom na rynkach akcji. W tym przypadku zarówno krajowi, jak i zagraniczni inwestorzy również nie czekali na majowe posiedzenie Rady Polityki Pieniężnej. Tegoroczna hossa na warszawskim parkiecie rozkręciła się tak bardzo, że już pod koniec kwietnia Warszawski Indeks Giełdowy (WIG) pierwszy raz w historii przebił poziom 100 tys. punktów, a swoje dotychczasowe rekordy pobiły także mWIG40 oraz sWIG80. Od początku roku WIG wzrósł o ok. 24 proc., WIG20 o ponad 25 proc., mWIG40 o 22 proc., a sWIG80 o ok. 15 proc. Zawsze warto jednak pamiętać, że inwestycje w fundusze oraz w akcje są obarczone ryzykiem utraty kapitału.

Podobnie zresztą jak inwestycje w surowce, choć akurat posiadacze złota nie mają żadnych powodów do narzekań. Cena złota w drugiej połowie kwietnia ustanowiła nowy rekord, przekraczając poziom 3,5 tys. dol. za uncję. Co istotne, nowy poziom cen królewskiego kruszcu jest rekordowy nie tylko w ujęciu nominalnym, lecz także w ujęciu realnym (nawet biorąc pod uwagę inflację, złoto pobiło już rekord ze stycznia 1980 r.). Warto i tu być ostrożnym – spekulacyjny popyt rozgrzewa bowiem hossę do poziomów, w których ewentualne korekty mogą być bardzo bolesne dla portfela. Ponadto w niepewnych czasach ludzie zawsze chętnie kupowali te rzeczy, których nie da się nagle po prostu „dodrukować"...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Tekst ani w całości, ani w części nie stanowi porady, nie jest też rekomendacją inwestycyjną.

eprasa.pl cd69d1a612

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Duńczycy, co z wami nie tak?

Co jest z tymi Duńczykami nie tak? No bo jak można zgodzić się na podniesienie wieku emerytalnego – zwłaszcza tak wielkie – bez wysłuchania, co miałby im do zaproponowania w tej sprawie PiS, w tym były premier Mateusz Morawiecki? A przecież miałby – totalne obniżenie! Do 60 lat dla Dunek i 65 lat dla Duńczyków – to na początek.

A zatem: jak Duńczycy mogli przystać – zwłaszcza w sytuacji, gdy kobiety i mężczyźni już teraz przechodzą tam na emeryturę po ukończeniu dopiero 67. roku życia – na zainstalowanie w swym państwie mechanizmu, który doprowadzi stopniowo do horrendalnego wywindowania wieku przechodzenia na emeryturę – na koniec tego stulecia do aż 74 lat?

Tym bardziej że Duńczycy już teraz zaharowują się na śmierć. I na co im to? Przeciętny obywatel Danii pracuje bowiem aż 41,3 roku, co stawia go na trzecim miejscu wśród narodów UE, gdy przeciętny Polak – zaledwie 35,2 roku. A to przecież i tak dużo za dużo i dlatego niezłomny PiS – który już raz koncertowo rozwalił reformę Platformy i PSL i przywrócił wiek emerytalny z „duńskich" 67 lat dla kobiet i mężczyzn do „polskich" na powrót 60 lat dla kobiet i 65 lat dla mężczyzn – chce Polakom tę mordęgę skrócić jeszcze bardziej, tym razem za pomocą emerytur stażowych.

No więc ci przedziwni Duńczycy umówili się ze sobą, że wszyscy będą pozostawać na emeryturze państwowej (bo oprócz niej mają jeszcze, podobnie jak my, dwa inne filary) średnio nie dłużej niż przez 14,5 roku swego życia, i to właśnie z tego powodu wraz ze wzrostem w Danii oczekiwanej długości życia, odpowiednio podwyższany jest tam także wiek przechodzenia na emeryturę. Może być on podwyższany co pięć lat o pół roku lub rok, a wejście w życie takiej zmiany musi zostać zatwierdzone przez parlament z 15-letnim wyprzedzeniem.

Ostatnia decyzja w tej sprawie – podjęta przez parlament Danii w 2020 r. – podniosła wiek emerytalny od 2035 r. z obecnych 67 lat do 69 lat, a następna ma zapaść w tym roku, wskutek czego wiek emerytalny miałby zostać podwyższony od 2040 r. z 69 do 70 lat. I tak dalej, i tak dalej – oczywiście, jeśli nadal będzie rosła oczekiwana długość życia Duńczyków, a wspomniany mechanizm nie zostanie zakwestionowany.

A do tego – czyli do jego zakwestionowania – jak się wydaje, niezbędna byłaby Duńczykom pomoc PiS. No bo jakże to? Czy Duńczycy nie zasługują na to, by pójść drogą, którą w 2017 r. Polakom wskazał PiS, przywracając niższy wiek emerytalny? Bo chyba nie są od nas, Polaków, głupsi? Chociaż jeśli nie są od nas głupsi, a upierają się przy swoim, to może są jednak od nas mądrzejsi? Ale to przecież niemożliwe! ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Rola statysty z prowincji

Oceniając wystąpienie ministra Radosława Sikorskiego o polityce zagranicznej, prezydent Andrzej Duda stwierdził, że żałuje, iż było w nim tak wiele przytyków do poprzednio rządzących. Tyle że to jest jazda obowiązkowa już od lat – i podobnie wyglądało to w przypadku poprzedniej władzy. Nie to było w tym wystąpieniu najsłabsze. Dziwne, że prezydent swoją krytykę skupił akurat na tym aspekcie.

Sikorski jasno oznajmia, że Polska nie ma żadnego pomysłu na swoje miejsce w nowym porządku świata

Znacznie gorsze bowiem jest, że było to wystąpienie w najgorszym tego słowa znaczeniu zachowawcze. Minister wymienił cztery trendy, które jego zdaniem są dla Polski niekorzystne: podział świata na strefy wpływów zamiast na strefy sojuszy; odejście od „globalnych norm" na rzecz powrotu do prawa silniejszego; osłabienie organizacji międzynarodowych na rzecz relacji dwustronnych opartych na myśleniu transakcyjnym; wreszcie – dezinformacja zrównująca w debacie publicznej prawdę i fałsz.

Ostatni punkt można sobie darować – to mantra liberalnych elit, która ma służyć usprawiedliwianiu uderzenia w wolność słowa. Trzy pierwsze trendy zostały natomiast zdiagnozowane całkiem trafnie, ale całe wystąpienie świadczy o tym, że Polska pod obecnymi rządami jest wobec nich bezradna.

Po pierwsze – wcale nie jest oczywiste, że te trendy muszą być dla nas niekorzystne. Takie stwierdzenie od razu ustawia nas w sytuacji z góry zdeterminowanej, podczas gdy tylko od nas zależy, jak zmiany na świecie wykorzystamy. Tyle że – po drugie – Sikorski już zapowiada, że nie będziemy się starali ich wykorzystywać, ale będziemy im stawiać opór. Jedynym zaś sposobem stawiania oporu, który widzi i proponuje, jest podporządkowanie się centralistycznym tendencjom UE, czyli tak naprawdę duetowi francusko-niemieckiemu. Jednym słowem: minister jasno oznajmia, że Polska nie ma żadnego pomysłu na swoje miejsce w nowym porządku świata. Nawet tam, gdzie wydaje się dostrzegać nowy wymiar sytuacji, jak to jest w wątku poświęconym globalnemu południu, szef MSZ nie wychodzi poza skrajny banał.

Jak na sytuację, w której się znajdujemy, było to wystąpienie bardzo słabe. Sikorski ustawił nas – twierdząc, że robi coś wręcz odwrotnego – w roli prowincjonalnego statysty. ©℗

eprasa.pl cd69d1a612

Bezalkoholowa rewolucja

Piwa bezalkoholowe stają się powszechne i coraz częściej zastępują napoje z procentami, co wspiera trend ograniczania spożycia alkoholu – wynika z najnowszego raportu „Zerówki zmieniają rynek piwa. Rewolucja 0,0 proc. trwa”, wydanego przez Związek Pracodawców Przemysłu Piwowarskiego Browary Polskie

Raport wskazuje, że jesteśmy świadkami prawdziwej rewolucji, jeśli chodzi o spożycie piwa w Polsce. Polacy masowo przestawiają się na piwa bezalkoholowe, których sprzedaż rośnie w tempie dwucyfrowym rocznie, na znaczeniu zaś traci piwo z procentami.

– W 2018 r. nastąpił wystrzał sprzedaży piw bezalkoholowych. Obecnie na rynku piwa obserwujemy dwa przeciwstawne trendy. Z jednej strony spada spożycie piwa w ujęciu per capita. Jednocześnie mamy trend wzrostu piw bezalkoholowych. W 2024 r. sprzedaż osiągnęła blisko 2 mln hektolitrów, a wartość tego segmentu zbliża się do 2 mld zł. Mamy rosnącą grupę dorosłych, świadomych konsumentów, którzy chcą pić piwo, lubią jego smak, ale nie chcą pić alkoholu, więc sięgają po piwa 0 proc. – mówił podczas prezentacji raportu Bartłomiej Morzycki, dyrektor generalny Związku Pracodawców Przemysłu Piwowarskiego Browary Polskie.

REWOLUCJA NAD WISŁĄ

Okazuje się, że słowa o rewolucji nie są przesadą i ma to odzwierciedlenie w liczbach. Aż 97 proc. Polaków spróbowało piwa bezalkoholowego, a 62 proc. konsumentów sięga po nie regularnie. Co więcej, Polska jest dziś trzecim największym producentem piw 0,0 proc. w Europie, a nasz kraj, razem z Niemcami i Hiszpanią, odpowiada za 68 proc. europejskiej produkcji „zerówek”.

Od 2018 r. wielkość sprzedaży piw „zero” wzrosła aż o 250 proc., do blisko 2 mln hektolitrów w 2024 r. W ubiegłym roku Polacy kupowali codziennie 1,06 mln butelek i puszek piwa z zerową zawartością alkoholu i jednocześnie 441 tys. mniej sztuk piwa z alkoholem. – 1,94 mln hektolitrów zerówek wypitych w 2024 r. to 9,7 mln litrów czystego alkoholu mniej. Z naszych badań wynika, że dla 52 proc. badanych piwa 0 proc. są dobrą alternatywą dla napojów alkoholowych – tłumaczył Morzycki.

TREND „NOLO”. ZERÓWKI SUBSTYTUTEM?

Jedną z przyczyn rosnącej sprzedaży piw bezalkoholowych jest bez wątpienia trend „NoLo”, czyli całkowita rezygnacja z alkoholu lub jego bardzo mocne ograniczenie. „To obserwowana od kilku lat zmiana w podejściu konsumentów do wyboru produktów żywnościowych i poszukiwanie opcji »no« (zero) lub »low« (o obniżonej zawartości): cukru, kalorii, glutenu czy alkoholu. Dlatego »zerówki« to nie są piwa dla nowicjuszy, nie są aperitifem poprzedzającym konsumpcję napojów alkoholowych i nie są wprowadzeniem do świata piwa. »Zerówki« wybierają osoby, dla których ważne są smak i orzeźwienie, znane im z tradycyjnego piwa, ale które z różnych przyczyn

eprasa.pl cd69d1a612

FOT. ADOBE STOCK

nie chcą lub nie mogą pić alkoholu” – czytamy w raporcie.

Trend „NoLo” odzwierciedlają również liczby. Ogólne spożycie alkoholu w Polsce systematycznie spada. W latach 2019–2023 ten spadek wyniósł łącznie 8,7 proc., a w przypadku piwa – 9,9 proc. Rezygnacja lub ograniczenie alkoholu nie jest więc czasową modą, lecz długotrwałym trendem, za którym podąża branża piwowarska. Jako pierwsza zaczęła ona promować bezalkoholowe odpowiedniki swoich produktów.

Bardzo mocno zwracał na to uwagę Bartłomiej Morzycki, wskazując, że branża piwowarska jest de facto prekursorem tego trendu, a dopiero za nią poszli producenci win i napojów spirytusowych. – „Zerówki” są istotnym narzędziem ograniczania konsumpcji alkoholu i tak też powinny być traktowane przez ustawodawcę. Branża potrzebuje stabilizacji oraz możliwości reklamowania piwa zero. W momencie, kiedy pojawiła się alternatywa bezalkoholowa, zaczął się odwrót od alkoholu […]. Trend NoLo jest kluczowy i jego siła będzie de facto jednym z głównych czynników decydujących o przyszłości rynku browarniczego w Polsce. Pytanie brzmi, czy to będzie jedynie wysiłek browarów czy też państwo będzie je wspierać. Jakie są alternatywy? Kurczenie się branży, zamykanie browarów, cięcia zatrudnienia etc. – wskazywał dyrektor generalny Związku Pracodawców Przemysłu Piwowarskiego Browary Polskie.

Z kolei Radosław Soszka, research team manager w IQS, zauważył, że postrzeganie „zerówek” zmienia się cały czas. – Obserwujemy, że konsumenci znajdują coraz to nowe okazje do wyboru piw bezalkoholowych. W dużej mierze są to okazje tradycyjnie związane z piwem. Na przykład coraz częściej piwo przy grillu jest piwem bezalkoholowym. Obserwujemy, że piwa bezalkoholowe są świadomym wyborem – wybieram piwo bezalkoholowe, bo mi smakuje – mówił.

Z raportu wynika także, że piwa bezalkoholowe wspierają pozytywną zmianę w strukturze i kulturze konsumpcji, przyczyniając się do spadku spożycia alkoholu. – Wejście w obszar piw bezalkoholowych otworzyło browarom nową furtkę. Można teraz błysnąć wartościami odżywczymi i pokazać swoją odmienność. Obecnie mamy bardzo szerokie pole do popisu dla innowacji i kreatywności. Jest wiele rzeczy, które były wcześniej zarezerwowane dla napojów niealkoholowych, a teraz wszystkie dodatki można testować w piwie zero – tłumaczył dr hab. inż. Aleksander Poreda, profesor Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie.

„ZERÓWKI” RATUNKIEM DLA BRANŻY PIWNEJ

Nie ma co ukrywać, że tak dynamiczny rozwój rynku „zerówek” sprawił, iż branża piwowarska mogła odetchnąć z ulgą. – Od ponad 10 lat prowadzimy szczegółowe badania. Widać, jak bliskie zależności są między małymi sklepami, piwem, napojami a pogodą. Z punktu widzenia handlu te zmiany są wyraźne i odczuwalne. Dostrzegamy rosnący udział kategorii piw bezalkoholowych.

Następuje wręcz pewna wymiana. Wzrostowi sprzedaży piw zero towarzyszy zmniejszająca się sprzedaż piw klasycznych z alkoholem – wskazywał Maciej Ptaszyński, prezes zarządu Polskiej Izby Handlu.

Z kolei Michał Koleśnikow, ekonomista banku PKO BP oraz kierownik Zespołu Analiz Sektorowych, wprost wskazał, że rozwój „zerówek” ratuje obecnie branżę piwowarską. – Jest to sektor mały, ale dynamiczny. W ostatnich latach produkcja piwa w Polsce szybko malała, ale bezalkoholowego rosła, co ratuje branżę i łańcuch dostaw. Dla przykładu: produkcja piwa alkoholowego malała o 3,7 proc. rocznie, ale produkcja piwa bezalkoholowego wzrastała o 2,7 proc. rocznie, i to w ostatnich trzech latach trudnych dla konsumentów. Przychody branży piwowarskiej wzrosły minimalnie, choć gdyby nie zerówki, toby spadły. Produkcja piwa bezalkoholowego wspiera cały łańcuch, przede wszystkim rolników – mówił.

Aż 97 proc. Polaków spróbowało piwa bezalkoholowego, a 62 proc. konsumentów sięga po nie regularnie

Biorąc pod uwagę aktualne trendy oraz powyższe dane, wydaje się, że to właśnie rynek piwa bezalkoholowego może być istotną szansą dla branży piwowarskiej, która od lat boryka się ze spadkiem sprzedaży. – Branża inwestuje w rozwój kategorii piw bezalkoholowych z myślą o długotrwałych korzyściach – zarówno dla społeczeństwa, jak i dla samych browarów oraz ich łańcucha dostaw. Piwa 0,0 proc. są alternatywą dla piw tradycyjnych, dają konsumentom większy wybór i są szansą na powstrzymanie spadków sprzedaży – wskazuje Bartłomiej Morzycki. *(KG)*

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd69d1a612

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Księżniczki i damy za kratami

JACEK KOMUDA

Historia polskich oraz przygranicznych zamków pełna jest opowieści o uwięzionych damach i dziewicach przetrzymywanych w celu zawładnięcia ich majątkami. Niektóre są już legendarne, przypomnijmy jednak te historie, które są najlepiej udokumentowane źródłami.

Jednym z najsławniejszych miejsc, w którym więziono niewiastę, był zamek w Kieżmarku, dziś na Słowacji. Przez prawie 11 lat, poczynając od roku 1565, Olbracht Łaski, znany awanturnik i alchemik, trzymał tutaj żonę – Beatę z Kościeleckich – którą zmusił wcześniej do przepisania na siebie ogromnego majątku. Nieszczęsna dama przebywała w nędzy, podczas gdy młodszy o 21 lat małżonek zajmował się trwonieniem jej fortuny na awanturnicze wyprawy do Mołdawii, chadzki na Tatarów i próbę przejęcia majątku po Janie Krzysztofie Tarnowskim. Beata odwoływała się do cesarza, króla Zygmunta Augusta, i jego siostry Anny Jagiellonki – ale bez skutku. Dopiero w 1573 r., kiedy Łaski ożenił się po raz kolejny, mając za nic małżeństwo z Łaską, cesarz zlecił staroście Janowi Reueberowi przeprowadzić dochodzenie w tej sprawie. Nie uczynił jednak nic, aby wyzwolić nieszczęsną niewiastę, gdyż w Polsce zmarł w tym czasie król Zygmunt August, a Łaski był na elekcji wiernym stronnikiem Habsburgów. Ostatecznie utracił majątek Beaty, jednak nie uwolnił żony; wysłannicy cesarza uzyskali tylko tyle, że w 1576 r. wymusili przeniesienie jej do Koszyc, gdzie przebywała w lepszych warunkach, jednak już wkrótce, w lipcu tego roku, zmarła.

Jeszcze wcześniej przetrzymywana w podobny sposób była przez wiele lat córka Beaty z pierwszego

Zamek w Szamotułach

FOT. DOMENA PUBLICZNA

małżeństwa z Eliaszem Ostrogskim, zwana Halszką z Ostroga. Została ona po śmierci ojca spadkobierczynią ogromnego majątku. Ponieważ matka nie śpieszyła się z wydaniem córki za mąż, jeden z jej opiekunów, Konstanty Wasyl Ostrogski, postanowił sprawę przyśpieszyć i wydać ją za Dymitra Sanguszkę. Wspólnie z nim, w 1553 r., zajechali zamek w Ostrogu, gdzie przebywała Halszka i uwięzili ją w jej komnatach. Następnie stryj zmusił dziewczynę do ślubu z Dymitrem, co wywołało gniew króla Zygmunta Augusta. Ostatecznie na sądzie Konstanty Ostrogski utracił prawo do opieki, a Sanguszko skazany został na śmierć za niestawiennictwo na rozprawie, bezprawny zajazd i rapt – tzn. porwanie panny. Dymitr uciekł zatem z Halszką do Czech, ścigał go jednak Marcin Zborowski, który miał własne plany wobec księżniczki – zamierzał wydać ją za któregoś z własnych synów. Za uciekinierami podążały także oddziały Kościeleckich oraz Łukasza i Andrzeja Górków. Zborowski szybko dopadł małżonków w Łysej nad Łabą, na terenie Czech, gdzie Halszka została odbita, Dymitr Sanguszko pobity, zakuty w kajdany, a następnie zamordowany pod Jaromierzem. Halszkę oddano Górkom i Kościeleckim, którzy wbrew woli matki, ale z poparciem króla wydali ją w końcu pod przymusem za Łukasza Górkę. Matka Beata nie chciała jednak uznać ślubu; uciekła z córką do Lwowa, gdzie schroniła się w ufortyfikowanym klasztorze Dominikanów. Jednak w 1559 r. Górka oblegał i zdobył ów klasztor, a potem wywiózł Halszkę do swego zamku w Szamotułach w Wielkopolsce, gdzie przebywała aż do jego śmierci w areszcie domowym, w wieży zwanej zgodnie z tradycją „basztą Halszki". Nie była jednak przetrzymywana w takim odosobnieniu i tak złych warunkach jak jej matka w Kieżmarku. Górka zabierał żonę w podróże, pozwalał jej chodzić do kościoła i udawać się pod strażą do klasztorów wielkopolskich. Ostatecznie po jego śmierci wywiózł ją stamtąd książę Janusz Ostrogski, syn Konstantego Wasyla, i umieścił w Dubnie, gdzie mieszkała aż do śmierci w 1582 r.

Inną, jeszcze bardziej sławną damą w opałach była sama królowa Adelajda Heska, więziona przez królewskiego małżonka Kazimierza Wielkiego na nieistniejącym zamku w Żarnowcu między Miechowem i Szczekocinami. Natomiast w Łańcucie, w dawnym dworze Diabląt Łańcuckich, w miejscu dzisiejszego pałacu Potockich, więziona była Felicjana Stadnicka, jedyna córka Stanisława „Diabła" Stadnickiego, zniewolona przez braci, którzy nie chcieli wydać jej posagu i należących części dóbr po niesławnym ojcu. Przetrzymywana potem w Żurawicy pod Przemyślem przez Zygmunta Stadnickiego została wydana „na przechowanie" stryjecznemu bratu Aleksandrowi Stadnickiemu i uwięziona w Bartkówce pod Dynowem, jak pisze Łoziński: „[…] w nędznej izbie, wśród dzieci nieślubnych" owego Aleksandra. Stąd porwał ową diablicę i poślubił Piotr Cieciszowski – jak pokazał charakter Felicjany – z bardzo złym skutkiem dla siebie i własnego zdrowia. ©℗

eprasa.pl cd69d1a612

BMW X3 M50 XDRIVE

FOT. JAP

Topowa wersja czwartej generacji (G45) monachijskiego SUV-a to samochód dla prawdziwego konserwatysty (a nawet dla – nie bójmy się tego określenia – liberalnego konserwatysty). Wprawdzie sylwetka G45 jest odważnie zarysowana, a wielkość charakterystycznych „nerek" ociera się już o kicz (w nocy to kicz dodatkowo podświetlany), ale przecież najważniejsze jest serce... Pod maską X3 M50 pięknie mruczy zaś rzędowy, sześciocylindrowy, trzylitrowy silnik benzynowy o mocy 381 KM (sam z siebie mruczy ładniej niż dźwięk silnika płynący z głośników, który na szczęście da się wyłączyć).

Podobnych jednostek niewiele już zostało na współczesnym rynku. Silnik sprawnie współpracuje z ośmiobiegową skrzynią automatyczną (z łopatkami), która bez zwłoki reaguje na każde dociśnięcie pedału gazu. Pod maską znajduje się też malutki silniczek elektryczny (18 KM i 200 Nm) z akumulatorkiem o pojemności 0,9 kWh. Nowa „X3" to bowiem tzw. miękka hybryda. Układ napędowy ma łączną moc 398 KM, a maksymalny moment obrotowy wynosi 580 Nm. Taka moc pozwala rozpędzić ważącego nieco ponad dwie tony i mierzącego 475,5 cm SUV-a od zera do setki w zaledwie 4,6 s. Prędkość maksymalna tego modelu wynosi zaś 250 km/h. Auto jest bardzo dynamiczne. Reakcja przepustnicy jest błyskawiczna, a dzięki hybrydowemu napędowi kierowca zawsze pod pedałem gazu ma do dyspozycji co najmniej 380 Nm. Prędkość maksymalna wynosi 250 km/h. Jednocześnie tak potężny silnik jest zaskakująco oszczędny. Zużycie paliwa w cyklu mieszanym wyniosło podczas testu 8,3 l/100 km. Na trasie w trybie ekonomicznym da się zejść do 6,5 l/100 km, a w mieście poniżej 9 l/100 km.

X3 nie tylko wygląda masywnie. Jest nieco dłuższe i szersze od poprzednika. Jest już też większe niż pierwsza wersja masywniejszego brata, czyli X5. Pojemność bagażnika wynosi 570 l, a po złożeniu tylnej kanapy rośnie do 1700 l. W samej kabinie nie można narzekać na brak miejsca. I to niezależnie od tego, czy siedzi się na świetnych fotelach przednich czy na tylnej kanapie. Design wnętrza odświeżonego X3 jest jednocześnie minimalistyczny i ekstrawagancki. Dominuje ogromna tafla połączonych ze sobą ciekłokrystalicznych wyświetlaczy. System multimedialny funkcjonuje bez zarzutu. Bawarczycy zupełnie niepotrzebnie zrezygnowali jednak z możliwości prostej i szybkiej obsługi klimatyzacji za pomocą fizycznych przycisków, przenosząc ją na niewygodny poziom cyfrowy. Najmocniej konserwatywnego nabywcę tego auta rozczarować może zamontowany na przednich drzwiach panel do ryglowania drzwi, wybór zapisanej wcześniej pozycji fotela etc. Wygląd jest być może nawet ciekawy, ale z punktu widzenia praktyczności użytkowania, a zwłaszcza jakości montażu element ten wydaje się aktem sabotażu.

Świetnie działają za to systemy wspomagające kierowcę. Potrafią nie tylko samodzielnie zmienić pas czy przejąć prowadzenie w korku, lecz także uratować skórę, gdy na zatłoczonej autostradzie nagle dojdzie do karambolu.

Cena: 372,5 tys. zł. ©℗

SYSTEM MESH WI-FI CUDY M3000 AX3000

Przepustowość do 3 Gb/s, minimalistyczny design, możliwość łatwej rozbudowy, prostota obsługi i niezły stosunek ceny do możliwości – to największe zalety systemu Mesh mało jeszcze znanej nad Wisłą chińskiej marki Cudy, która dostarcza sprzęt sieciowy w ponad 50 krajach.

Na jakie cuda pozwala system Cudy? Zacznijmy od designu. Walcowate elementy zestawu są stosunkowo niewielkie i wyglądają nowocześnie. Do wyboru są dwa warianty kolorystyczne – biały oraz czarny z czerwonymi wstawkami. Z tyłu każdego z routerów znajdują się dwa porty Ethernet (WAN/LAN): pierwszy o przepustowości 1 Gb/s i drugi 2,5 Gb/s, a także przycisk do szybkiego parowania kolejnych urządzeń (producent deklaruje, że jednocześnie da się ich podłączyć aż 200, ale tylu w teście nie podłączałem).

Według Cudy system składający się z trzech routerów może zapewnić dobry sygnał wi-fi w dwóch pasmach (2,4/5 GHz) nawet w kilkupoziomowej rezydencji o powierzchni do 600 mkw. Znów tego nie udało nam się zweryfikować. Test w dwupoziomowym budynku o powierzchni ok. 200 mkw. wypadł jednak dobrze. Transfer z drugiego routera był tylko nieznacznie niższy niż przy połączeniu z pierwszym routerem, a z trzeciego wynosił mniej więcej jedną trzecią maksymalnej prędkości Internetu.

Każdy z routerów jest wyposażony w pięć anten i obsługuje Wi-Fi 6 AX3000, a także technologie OFDMA, MU-MIMO, Beamforming czy 1024QAM, zwiększające stabilność, przepustowość i wydajność. System jest przy tym banalnie prosty w obsłudze. Routery są ze sobą wstępnie sparowane. Po aktywowaniu pierwszego routera (zajmuje to kilka minut) kolejne elementy zestawu wystarczy podłączyć do prądu, poczekać chwilę, aż same się odnajdą, i... koniec konfiguracji. We właściwym ustawieniu kolejnych elementów pomagają diody, które sygnalizują, czy sygnał jest wystarczająco silny czy powinno się przestawić router bliżej poprzedniego.

Dla poprawy bezpieczeństwa i zwiększenia poziomu prywatności zestaw M3000 jest wyposażony w możliwość obsługi klientów VPN (PPTP, L2TP, OpenVPN czy WireGuard), a także w szyfrowanie DNS over TLS. Sprzęt umożliwia też stworzenie sieci dla gości oraz kontrolę rodzicielską.

System M3000 w dwupaku kosztuje 399 zł, a z trzema urządzeniami 599 zł. Można go dowolnie rozbudowywać (jeden router kosztuje ok. 200 zł). W porównaniu z podobnymi sprzętami bardziej znanych marek cena jest więc dość atrakcyjna. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl cd69d1a612

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

A może dziczyzna?

Po świętach na pewno jesteśmy wszyscy nieco przesyceni znakomitym jedzeniem, z którego słyną polskie domy. Na pewno na wiosnę przyda nam się wszystkim nieco kulinarnej powściągliwości, by nie powiedzieć – postu. À propos: w Poniedziałek Wielkanocny spotkałyśmy w kościele naszą koleżankę. Bardzo, ale to bardzo zeszczuplała. Delikatnie podpytałyśmy, jaka to dieta. Otóż okazało się, że to po prostu efekt rzetelnie przeprowadzonego i bardzo surowego 40-dniowego postu. Co jadła? Kalafior i kapustę po jednej sztuce każdego z warzyw dziennie. Schudła chyba 15 kg, no ale na taki wysiłek przy trójgu dzieci i intensywnej zawodowej pracy stać tylko najwybitniejsze jednostki. Nie podejmujemy się takich wyzwań, mimo że do sezonu bikini coraz bliżej. Na pewno jednak jedzenie smaczne, zdrowe i stosunkowo niskokaloryczne powinno się teraz znaleźć na naszym talerzu. Dlatego proponujemy dziczyznę – bo te wszystkie zalety właśnie posiada.

Mięso z dzikich zwierząt, czyli dziczyzna, która kiedyś gościła częściej na polskich stołach, jest bardzo zdrowe. Zawiera dużo więcej żelaza, więcej niż inne gatunki czerwonego mięsa, ma za to mało cholesterolu. Zawiera witaminy z grupy B, magnez, fosfor, wapń oraz aminokwasy egzogenne, czyli takie, których organizm nie jest w stanie wytworzyć sam. Mięso jest niskokaloryczne – 100 g mięsa to ok. 115 kcal. Wskazane jest dla osób cierpiących na alergie pokarmowe. Zwierzęta żyjące na wolności jedzą to, co podpowiada im instynkt, w ich żywności nie ma antybiotyków i sztucznych suplementów. Dlatego jest ono korzystne również dla nas.

W niektórych sieciach handlowych można kupić polską dziczyznę – zarówno mięso, jak i przetwory. Na początek tej kulinarnej drogi – bo wierzymy, że gdy raz spróbujecie, na pewno staniecie się miłośnikami dziczyzny – proponujemy gulasz z jelenia.

Gulasz z jelenia

Mięso z udźca jelenia kroimy na kawałki, doprawiamy solą, pieprzem, gałązkami świeżego tymianku, posiekanym czosnkiem, cebulą, polać olejem, octem balsamicznym, zalać piwem.

Marynujemy minimum przez dobę, trzymając w zimnym miejscu. Potem mięso osuszamy, obsmażamy na rozgrzanym oleju na ciemnobrązowy kolor – smażymy partiami i przekładamy je do rondla. Mięso dusimy do miękkości, możemy dodać jeszcze świeżego tymianku. Można też wzbogacić gulasz grzybami suszonymi (wcześniej oczywiście namoczonymi) albo wręcz przeciwnie – przełamać smak np. konfiturą wiśniową. Sos możemy zagęścić łyżeczką mąki rozmieszanej z wodą. Podajemy z purée ziemniaczanym i surówką z kiszonej kapusty lub ogórkiem kiszonym. Darzbór! ©℗

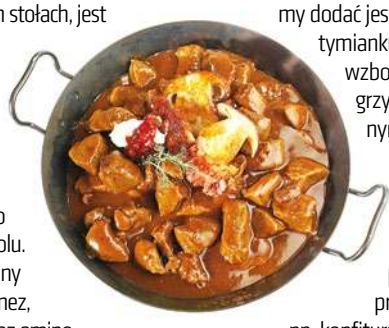

FOT. ADOBE STOCK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Język z Netflixem

To, że w dokumentalnym serialu Netflixa usłyszałam: „Co ty pierdzielisz?", niezbyt mnie zdziwiło. Teraz prawie każdy film czy serial opatrzony literką N zawiera ostrzeżenie przed wulgarnym językiem. Zdziwiło mnie to, że zdaniem, które w ten sposób przetłumaczono z języka angielskiego, było zwykłe: „Co ty mówisz?".

To oczywiste – widz Netflixa powinien się przyzwyczajać, że to, co otrzymuje w polskich napisach, nie jest tłumaczeniem, tylko wersją tego, co i jak tłumacz życzyłby sobie powiedzieć. Trudno wśród napisów końcowych filmu doczekać się nazwiska, a jeśli nawet, to mignie na sekundę, ponieważ widz netflixowy jest tak zaprogramowany, żeby szybko oglądał następny serial, a nie skupiał się na napisach końcowych i, nie daj Boże, chciał się dowiedzieć, kto był operatorem, kto dźwiękowcem, a kto projektował kostiumy.

Z braku informacji, kim są autorzy bzdurnych tłumaczeń, sama wypracowałam sobie portret pamięciowy tłumacza: osobnik w wieku 20–30 lat, na tzw. luzie, w bluzie dresowej, z brodą (wersja męska), obcisłe dżinsy i długie włosy – wersja damska.

To jasne, że nie oczekujemy od Netflixa języka literackiego. Nie mam pretensji o kolokwializmy, chociaż wolę to, że Telewizja Polska w likwidacji łagodzi język dialogów, unikając rzucania na wszystkie strony kur.ami, co stało się już powszechne gdzie indziej. Zwykła „cholera" tak nie razi.

Błędy gramatyczne, błędy ortograficzne, składniowe... Otóż zawiadamiam, że są jeszcze ludzie, dla których „półtorej roku" jest pospolitym przestępstwem językowym.

„Wulgarny język" – to właściwie jest już coś, do czego przyzwyczailiśmy się w życiu, a potem w kinie. Odnoszę wrażenie, że kino nawet wyprzedziło rzeczywistość; swoboda językowa (mówiąc eufemistycznie) środowiska filmowców jest znana. Mają, widać, inny poziom wyczulenia językowego. Wszechobecne „ogarnąć". „Już po ptokach" zamiast „już za późno". „Bingo" zamiast „tak", którego w dialogu nie było. „What are you doing" jest przetłumaczone jako „co ty odwalasz".

Niektórzy jednak nie krytykują, ale wręcz zalecają. „Ucz się języka z Netflixem" – zachęca aplikacja w osobie Martyny. „Pomagam zapracowanym osobom uczyć się angielskiego skutecznie i z przyjemnością. Dla każdego ucznia tworzę indywidualny program nauki, dopasowany do konkretnych celów językowych, możliwości czasowych i preferencji".

Ja dziękuję za taką ofertę i takich nauczycieli. Nie potrzebuję uczyć się angielskiego, ale gdybym potrzebowała, nie skorzystałabym z tej oferty. ©℗

eprasa.pl cd69d1a612

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Sacrum i profanum

W Wielką Sobotę uczestniczyłem, wstyd powiedzieć, po raz pierwszy w Wigilii Paschalnej. Szczególne wrażenie zrobiła na mnie liturgia światła, kiedy do wyciemnionej świątyni wnosi się ogień, który rozdzielają między sobą wierni. Światło przechodzi wtedy z rąk do rąk. To był początek ponadczterogodzinnego maratonu. Podniosłego na tyle, że ostatecznie rozwiązał się mój dylemat rozważań o wyższości Świąt Wielkanocnych nad bożonarodzeniowymi.

W kościele u służewieckich dominikanów jest zawsze niezwykła atmosfera, potęgowana chyba najciekawszą architekturą wnętrza, gdzie światło czy to w jasny dzień, czy to o zmroku gra wielką rolę. Wnętrze wygląda trochę jak szkielet wieloryba widziany od środka, siedzi się więc jak Jonasz oczekujący na oczyszczenie. Ze zdziwieniem, nie wiedząc, że ta Wigilia to taki maraton, obserwowałem ludzi, którzy przynosili swoje siedziska. Przydały się. Nieprzygotowany stałem też z innymi, kończąc swój post stojącym odkupieniem.

Nigdy nie widziałem takiego tłumu: tysiące, naprawdę tysiące ludzi stłoczonych jak w tramwaju, całe rodziny z dziećmi, niektórymi trzymanymi na rękach. Budujące świadectwo jedności ludu Bożego, tak rzadkie w dzisiejszych czasach poplątania drogowskazów. A więc dobry zapas nadziei na dalsze dni.

Ale zacząłem się zastanawiać: Z tych tysięcy ludzi kto i jak zagłosuje za trzy tygodnie? Jak to jest z tym polskim katolicyzmem? Czy jest on – jak mówią (wpierają?) – powierzchowny, bezobjawowy? Ale właśnie byłem przecież uczestnikiem objawów właśnie wielkiego i tłumnego świadectwa. To jak to jest? Można być katolikiem i głosować na polityków, którzy zaprzeczają całym swoim życiem podstawom tak manifestowanej wiary? Jak to się łączy? W głowach, sercach i wierze. A widać, że się to jakoś łączy, a właściwie rozdziela, skoro tylu ludzi jednocześnie i wierzy, i głosuje na piekłoszczyków. Ta wojna polsko-polska to jednak jakiś fenomen, skoro może u tak wierzących powodować sprzeczne postawy i nie budzić dysonansu nie tyle poznawczego, ile aksjologicznego.

Przez te cztery godziny wielkanocnej nocy dane mi było przeżyć i te religijne uniesienia, i te polityczne wątpliwości. Znowu zobaczyłem rzadki widok – Polaków połączonych w jedności działań i manifestacji swych przekonań. I przyszło mi na myśl, że to jednak wielki grzech w wykonaniu tych, którzy swoją polityczną misję i karierę opierają na dzieleniu, niszczeniu takiego fenomenu. I wielki grzech zaniechania Polaków, którzy nad sacrum swej jedności przenoszą profanum doczesnych i suflowanych podziałów. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Krew niewinnych

Choć o uśmierceniu dziecka w dziewiątym miesiącu ciąży w szpitalu w Oleśnicy katolickie organizacje pro-life alarmowały już od dawna, to dopiero w ostatnich tygodniach sprawa nabrała ogólnopolskiego rozgłosu. Szokujący wywiad z lekarką, która opisała, jak dokonała dosercowego, śmiertelnego zastrzyku, a potem interwencja Grzegorza Brauna w szpitalu i materiały na Kanale Zero postawiły sprawę w centrum debaty publicznej. W Poniedziałek Wielkanocny temat został kompletnie przykryty przez śmierć papieża. Trudno się dziwić, bo przecież śmierć Franciszka, pogrzeb, konklawe to wydarzenia globalne. Coś takiego mediom trafia się raz na kilkanaście lat. Zanurzeni w infosferze ulegliśmy złudzeniu, że McLuhanowska wioska pozwala nam uczestniczyć w życiu świata. Oczywiście nie całego, ale przynajmniej wspólnoty, której czujemy się częścią.

Przytoczone przypadki – zabójstwo noworodka w Oleśnicy i śmierć Franciszka – w sposób szczególny obchodzą chrześcijan. Znam naturę mediów, wiem, na czym polega walka o klikalność i zasięgi, ale trudno zrozumieć obojętność na dramat wyznawców Chrystusa w Nigerii. W Niedzielę Palmową w wiosce Zikke w stanie Plateau pasterze Fulani dokonali masakry chrześcijan, mordując 56 osób, w tym kobiety, dzieci i starców. Część ofiar spłonęła żywcem w domach. Tydzień wcześniej w atakach na pięć wiosek zginęło 50 osób. Okrucieństwo oprawców, wyrafinowane metody zadawania śmierci, gwałty, porwania i systemowe niszczenie domów, kościołów i kaplic wyczerpują znamiona ludobójstwa. Terror islamistów spod znaku Boko Haram, Fulani, Lukurawa, którzy dążą do wyrugowania chrześcijan z tych terenów, chcąc utworzyć kalifat, trwa od 2009 r. Biskup Matthew Hassan Kukah z Sokoto oskarża władze o bezczynność lub ciche sprzyjanie ekstremistom. Według biskupa tylko w ostatnim tygodniu zabito 200 osób. Brak reakcji rządu rozzuchwala i wzmaga brutalność napastników. Zakaz posiadania broni przez obywateli, przy jednoczesnym przyzwoleniu na noszenie broni przez dżihadystów, uniemożliwia nawet samoobronę. W tym najludniejszym – bo liczącym ponad 227 mln obywateli – kraju Afryki żyje ok. 100 mln chrześcijan. Według organizacji ICC prześladowania w ostatnich latach okupione zostały krwią ok. 50 tys. zabitych.

Niestety, nie słyszałem żadnej rezolucji w obronie mordowanych chrześcijan z ust wiceprzewodniczącej KE Kai Kallas. Krew niewinnych nie podlega wartościowaniu. Ma taką samą cenę w Strefie Gazy i w Krzywym Rogu, ale jakoś tak się dzieje, że uwaga mediów jest tam skierowana. Jako chrześcijanie mamy obowiązek upominać się o mordowanych w Nigerii wyznawców Chrystusa. ©℗

eprasa.pl cd69d1a612

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

W trosce o Niemców

Dawno, dawno temu, w 2011 r., za lasami, a dokładnie w Berlinie, padły słowa wiekopomne (dla pewnej formacji umysłowej): „Mniej obawiam się niemieckiej potęgi niż niemieckiej bezczynności". Stop. Płomiennym germanofilem był nie kto inny, jak Radosław Sikorski, który, jak sądzę, zna historię oraz skutki dla Polski niemieckiej potęgi. Lata mijają, a Sikorski wygłasza exposé w Sejmie dotyczące polityki zagranicznej, które oceniane jest różnie. Na przykład Zbigniew Konwiński z PO napisał na portalu X: „Wczorajsze wystąpienie Radosława Sikorskiego skrytykowali Maria Zacharowa, rzeczniczka Putinowskiego MSZ, oraz politycy PiS". Stop. Do tej opinii dodał coś Marek Jakubiak, który do PiS nie należy: „Ten błyskotliwy wpis należy uzupełnić zdaniem, że najbardziej chwalili Niemcy". Stop.

Znów przykład pamięci nienawiści, która tym razem obciąża Michała Dworczyka. Stop. Ponieważ PO i sam Tusk chwalili się, że pożar w Biebrzańskim Parku Narodowym skutecznie gasiły dwa amerykańskie helikoptery black hawki, Dworczyk przypomniał, że gdy zostały kupione za rządów PiS, PO krytykowała to wtedy straszliwie. Nienachalnie roztropna posłanka Koalicji Obywatelskiej Gabriela Lenartowicz na komisji sejmowej dzieliła się niestety wtedy przemyśleniami. Stop. Oto ich fragment: „Ja będę kontynuowała wątek zakupu black hawków za 350 mln zł ze środków z Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska. Biorąc pod uwagę 350 mln na ochronę bioróżnorodności, w tym gaszenie pożarów wielkoobszarowych w parkach narodowych w Polsce i na świecie: Co będą robiły te śmigłowce, podczas gdy tych pożarów nie będzie???". Pani Lenartowicz to geniusz, na którego nie zasługujemy. Idźmy tokiem jej rozumowania: Po co kupować karetki, skoro może wypadków nie będzie? Po co kupować radiowozy, skoro może przestępcy wejdą na drogę cnoty? Po co utrzymywać wojsko, skoro wojny nie ma i może nie będzie? I tak dalej. Stop. Cóż, do prywatnej galerii znanych polityczek o nieszablonowym myśleniu, jak Jachira czy Zielińska, dodaję panią Gabrielę. Stop. Z tej postaci publicyści będą mieć jeszcze uzysk.

Empatycznie i dyplomatycznie zachował się niejaki Ruchniewicz, szef Instytutu Pileckiego. Otóż, jak ustaliła „Rzeczpospolita", odwołał konferencję w Berlinie na temat zrabowanych nam przez Niemców w czasie drugiej wojny światowej dzieł sztuki. Jak nasz zuch miał to tłumaczyć? „Czas polskiej prezydencji w Unii Europejskiej nie jest dobry na organizowanie konferencji o tematyce, która może być niewygodna dla Niemców". Stop. Mógłbym dodać, że cały ten Ruchniewicz został szefem Instytutu Pileckiego za czasów PO. Ale niby po co to dodawać? ©℗

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Sekrety agenta

Coraz ciekawsze wiadomości docierają ze Stanów Zjednoczonych Ameryki, gdzie ujawnione zostały kolejne dokumenty powiązane ze sprawą zabójstwa prezydenta Kennedy'ego. Wynika z nich ponad wszelką wątpliwość, że najwyżsi rangą funkcjonariusze amerykańskich służb wywiadowczych okłamywali, w zeznaniach składanych pod przysięgą, zarówno tzw. komisję senatora Warrena, jak i powołaną w roku 1976 Komisją Śledczą Izby Reprezentantów Kongresu USA. Kłamstwo w składanych przed Kongresem zeznaniach jest w Ameryce traktowane znacznie surowiej niż w Polsce – uchodzi za poważne przestępstwo kryminalne, zagrożone karą więzienia.

Tymczasem okazuje się, że dopuścił się go m.in. jeden z „ojców założycieli" Centralnej Agencji Wywiadowczej – legenda amerykańskiego kontrwywiadu – James Jesus Angleton. Już w czasie drugiej wojny światowej Angleton kierował komórkami wywiadowczymi we Włoszech i w Wielkiej Brytanii, gdzie współpracował z Kimem Philbym, sowieckim kretem w strukturach SOE i MI6. Angletonowi przypisuje się też nawiązanie kontaktu z robiącym szybką watykańską karierę ks. Giovannim Battistą Montinim, późniejszym papieżem Pawłem VI. Słynnemu wywiadowcy poświęconych zostało wiele książek i filmów – na czele z „Dobrym agentem" („The Good Shepherd"), wyreżyserowanym przez Roberta De Niro, w którym obok niego zagrali Matt Damon i Angelina Jolie.

Tymczasem okazuje się, że na pytanie Michaela Goldsmitha, współpracownika Komisji Izby Reprezentantów, brzmiące: „Czy według pańskiej wiedzy Oswald był przedmiotem zainteresowania w którymś z projektów CIA?" James Angleton odpowiedział, pod przysięgą, stanowczym „Nie". W rzeczywistości otrzymywał on regularne raporty z przechwytywanej korespondencji Oswalda, której kontrolę zlecono już w listopadzie 1959 r. W latach 1960–1963 na biurko Angletona trafiło aż 12 sporządzonych przez FBI raportów na temat Lee Harveya Oswalda, liczących łącznie ponad 180 stron. Dwa ostatnie dotarły tam w połowie listopada 1963 r. – tydzień przed zamachem w Dallas. Ich istnieniu zaprzeczali pod przysięgą nie tylko Angleton, lecz także Richard Helms – wicedyrektor, a później dyrektor CIA – oraz George Joannides – wysoki urzędnik CIA, oddelegowany do współpracy z Komisją Śledczą.

Wygląda na to, że w „heroicznym" dla amerykańskiego wywiadu okresie zimnej wojny na czele CIA i FBI stali ludzie okłamujący, z premedytacją i w porozumieniu ze sobą, najwyższe instytucje własnego państwa.

Dla wielu amerykańskich patriotów może to być przykra wiadomość. ©℗

eprasa.pl cd69d1a612

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Trwa mać!

Zainspirowany słowami ministra nauki i szkolnictwa wyższego Marcina Kulaska, który relacjonując napomnienia premiera Donalda Tuska skierowane do ministrów, by pamiętali, że pomimo trwającej kampanii prezydenckiej koalicja rządząca „trwa i trwa mać", pozwalam sobie skreślić poniżej kilka uwag i spostrzeżeń odnoszących się do pewnych aspektów rządzenia koalicji „demokracji walczącej" kierującej się nowym sposobem rozumienia państwa prawa („prawo obowiązuje tak, jak my je rozumiemy"). Ewokują one użyte przez pana ministra nauki słowa, nadając im co prawda trochę inny sens:

Siłowe przejęcie mediów publicznych z wykorzystaniem „karków" doglądających procesu likwidacji. No, trwa mać!

Wsadzenie do więzienia posłów RP, wcześniej ułaskawionych przez prezydenta RP, którego pałac został najechany przez policję podczas nieobecności głowy państwa, przebywającej akurat w Belwederze. Trwa mać!

Nielegalne przejęcie przez ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego Adama Bodnara Prokuratury Krajowej, wybiórcze uznawanie wyroków Sądu Najwyższego, różnicowanie sędziów na „neo" i „paleo". Ignorowanie orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego i pozbawianie go przez rząd Donalda Tuska oraz wspierającą go koalicję środków budżetowych przeznaczonych na funkcjonowanie tego najważniejszego sądu konstytucyjnego w jednym z największych państw Unii Europejskiej. No, trwa mać!

Oddanie śledztwa w sprawie spółki Srebrna w ręce prokurator niekryjącej swego politycznego zaangażowania, która to prokurator tak zorganizowała przesłuchanie jednego ze świadków, że został on pozbawiony wsparcia swojego pełnomocnika, a dwa dni po trwającym kilka godzin przesłuchaniu przesłuchiwana osoba zmarła. Trwa mać!

Wyrzucanie ze stanowisk kierowniczych w ważnych ośrodkach/instytutach związanych z promowaniem polskiej kultury dyrektorów, nie czekając na przewidziany prawem upływ ich kadencji, a ich zmiennicy doprowadzają do skandalicznych zmian w stałych ekspozycjach, usuwając z nich polskich bohaterów. Tak jak to stało się w Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, skąd zniknęli rtm. Witold Pilecki, św. Maksymilian Kolbe i błogosławiona rodzina Ulmów. Trwa mać!

Okrojenie przez minister edukacji narodowej podstaw programowych do nauczania historii w polskich szkołach. Ta sama minister usunęła z polskich szkół przedmiot historia i teraźniejszość, a w czasie konferencji organizowanej przez Związek Nauczycielstwa Polskiego z okazji 80. rocznicy wyzwolenia niemieckiego obozu zagłady w Auschwitz „przejęzyczyła się", czytając z kartki o „polskich nazistach budujących obozy w czasie drugiej wojny światowej". „Przejęzyczenie" to nie spotkało się z żadną negatywną reakcją ze strony ZNP. Ożeż, trwa mać!

Pozbawienie największej partii opozycyjnej subwencji budżetowej mimo orzeczenia kasacyjnego Sądu Najwyższego w tej sprawie przyznającej rację stronie skarżącej. Trwa mać!

Pozbawienie koncesji przez Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie dwóch stacji telewizyjnych związanych z prawicową opozycją. Trwa mać!

Wysuwane przez ministrów gabinetu Donalda Tuska plany cenzurowania Internetu w ramach walki z „dezinformacją". Trwa mać!

Taryfa ulgowa dla minister, która poświadczyła nieprawdę o swoim wykształceniu („zaciągnął je system"), chociaż każdy tzw. zwyczajny obywatel miałby już na głowie (i na koncie) prokuratora. Trwa mać!

Wypuszczenie z więzienia mordercy, skazanego na dożywocie za zamordowanie osoby związanej z partią obecnie opozycyjną; mordercy, który w chwili zatrzymania nie krył, że zamierza zamordować przywódcę obecnie największej partii opozycyjnej. Trwa mać!

Systematyczne „opiłowywanie" katolików, począwszy od ograniczania liczby godzin katechezy w szkołach publicznych, przez szkalowanie pamięci o św. Janie Pawle II, skończywszy na walce z Muzeum Pamięć i Tożsamość w Toruniu. Trwa mać!

Wygaszanie wszystkich ambitnych projektów rozwojowych, na czele z CPK i energetyką atomową. Trwa mać!

Czarna dziura budżetowa, renesans mafii VAT-owskich, postępująca drożyzna. Trwa mać!

Szerzenie klimatu wrogiego życiu i dzietności w dobie postępującego kryzysu demograficznego, czego wyrazem było i jest tolerowanie zabójstw dzieci nawet w dziewiątym miesiącu ich życia prenatalnego (szpital w Oleśnicy). Trwa mać!

A wszystkiemu winni są Jarosław Kaczyński i „imperium Rydzyka". Trwa mać! ©℗

eprasa.pl cd69d1a612

ŚWIĘTO

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Cinco de Mayo, czyli Piąty Maja – meksykańskie święto narodowe, ale obchodzone nie w Meksyku, lecz w USA. W swoim kraju Meksykanie świętują 16 września rocznicę uniezależnienia się od Hiszpanii, a w USA świętują 5 maja. I nie spotkałem nigdy żadnego Meksykanina, który umiał objaśnić, o co chodzi z tym 5 maja. Ja wiem – oni nie. Ja wiem, bo gdy mieszkałem w Meksyku i mówili tam na mnie Gringo, to mi było głupio nie wiedzieć. Oni… drapią się w głowy, czasem coś im świta ledwo, ledwo, że chodzi chyba o jakąś bitwę, ale z kim i o co, to mało ważne – bo przecież każdy wie, że Cinco de Mayo to największe meksykańskie święto w Ameryce i tylko tej wykładni się trzymamy. Liczy się fiesta, a nie pierwotne powody, dla których urządzono fiestę. To działa na podobnej zasadzie jak bycie pijanym – kwestią bez znaczenia jest, czym konkretnie się upiłeś, nieważne, co z czym zmieszałeś, w jakiej kolejności piłeś, z kim i ile. Ważne jest tylko to, że jesteś mocno napruty i teraz trzeba ci dyskretnie zabrać kluczyki od samochodu.

Wiele razy w Meksyku bywałem na hucznych fiestach (tam innych nie ma – każda jest huczna, a słowo „huczna" pochodzi od huku: grupowe śpiewy na całe gardło, chóralne okrzyki VIVA MEXICO, petardy, fajerwerki, a w wioskach dodatkowo strzelanie w powietrze z domowej broni palnej), no więc bywałem wiele razy na takich fiestach, gdzie nikt nie wiedział dokładnie, u kogo się teraz bawimy ani z jakiej konkretnie okazji. Liczyła się fiesta jako taka.

***

Cinco de Mayo świętują wszędzie w USA, nawet na Alasce i Hawajach, bo Meksykanie są wszędzie lubiani. Stosunek do Meksykanów jest tam podobny jak w Polsce stosunek do górali z Podhala – ciupagi, oscypki, kierpce, góralskie tańce, muzyka, Janosik – to są sympatyczne skojarzenia. Meksykanów się kocha, razem z ich jedzeniem, margaritą i sposobem bycia. Dlatego wcale nie musisz być Meksykaninem, by świętować Cinco de Mayo.

Fiesta jest wszędzie, wszędzie jest huczna, wszędzie widać meksykańskie stroje, radia zaczynają grać muzykę meksykańską, nawet jeżeli na co dzień grają co innego. Rozwiesza się girlandy z bibuły w kolorach meksykańskich (przypominają wycinanki łowickie), wizerunki Matki Bożej z Guadalupe pojawiają się tak gęsto, jak Święty Mikołaj w grudniu.

***

Z innymi narodami bywa różnie. Nie znam nikogo, kto lubi Chińczyków. Nie zaobserwowałem też takiego zjawiska, aby Chińczycy lubili Chińczyków. Oni współpracują ze sobą jak rój owadów, no ale to nie jest lubienie. Portorykańcy z Nowego Jorku nie cierpią Kubańczyków z Miami. Dlaczego? Pojęcia nie mam. Pytałem jednych i drugich o przyczynę – nie umieli odpowiedzieć, natomiast obie strony wiedziały na sto procent, że ci drudzy to zakała Karaibów, którą trzeba zwalczać.

Żydzi i Murzyni w Nowym Jorku są na noże i kastety. Ogólnie największymi antysemitami w USA są właśnie Murzyni, bo im wolno. Wcale się z tym nie kryją. Bo kto im co zrobi? Oskarżysz Murzyna, że jest rasistą? Żydom, tym tradycyjnym chasydom w chałatach i z pejsami, też wolno otwarcie nie cierpieć Murzynów, bo też im nikt nic nie zrobi – oskarżysz żyda, że jest rasistą? Nie oskarżysz, bo się żyd wybroni za pomocą Talmudu i udowodni, że czarni to kainowe plemię; przeklęte. Meksykanie to fenomen – wszyscy ich lubią i uważają za sympatycznych. Dlatego Cinco de Mayo obchodzą wszyscy.

***

5 maja 1869 r. wojska meksykańskie niespodziewanie dla samych siebie pokonały wojsko francuskie w bitwie pod Pueblą. Francja najechała Meksyk uczciwie i słusznie – celem kampanii było odzyskanie kolosalnych długów zaciągniętych przez rząd meksykański. Meksyk nie płacił, Francuzi przyjechali odzyskać dług. To była interwencja komornicza.

No ale nie wyszło – gdy Francuzi przyjechali po swoją forsę, Meksykanie ich pobili. Z tego wynika, że Cinco de Mayo to rocznica bezczelnego migania się od spłaty oraz pobicia komorników niedaleko miasta Puebla.

***

A w Polsce obchodziliśmy właśnie 1 maja. W tym przypadku też liczy się fiesta (długi weekend), a nie meritum i pochodzenie święta. 1 maja to święto komunistycznych morderców, Lenina, Stalina, Mao. Święto obrzydliwe. Powinno być zlikwidowane wtedy, gdy dodawaliśmy do kalendarza dzień wolny na Trzech Króli. Dzień wolny – za dzień wolny, zmiana byłaby społecznie bezbolesna.

Jeżeli ktoś broni 1 Maja, mówiąc, że to święto klasy robotniczej na całym świecie, to odpowiem: Nieprawda! W USA Święto Pracy (Labor Day) obchodzą 1 września, w innych krajach nie obchodzą wcale. Samo określenie „klasa robotnicza" jest marksistowskie i fałszywe. Coś takiego jak „klasa robotnicza" nie istnieje w realu. Robotnicy zależnie od wykształcenia i dochodów mogą należeć do klasy biednej, średniej, wyższej – różnie.

Miałem kumpla, który pracował na platformie wiertniczej koło Alaski. Został przeszkolony do roboty prostej, polegającej na skręcaniu kolejnych rur i wpuszczaniu coraz głębiej w morskie dno. Jeździł na platformę na kilka tygodni, potem wracał na miesiąc do domu i tak w kółko. Gdy chodzi o wykonywany zawód, był zwykłym robociarzem, ale zarobki i wydatki miał takie jak inżynier. Nie mieszkał w dzielnicy robotniczej, nie posyłał dzieci do szkoły publicznej, lecz do prywatnej. Gdy chodzi o styl życia, dom, meble, samochód, bliżej mu było do dentysty niż do tego, co nam się kojarzy z określeniem „klasa robotnicza". I nie był wyjątkowy – na platformach pracuje cała masa ludzi.

Mój wujek, który za komuny był tokarzem w fabryce, też nie kwalifikował siebie do żadnej „klasy robotniczej" – współpracował z inżynierami jak równy z równym; przychodzili do niego radzić się, jak poprawić projekt. ©℗

eprasa.pl cd69d1a612

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

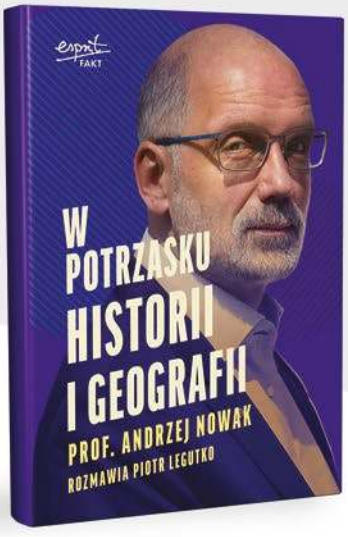

+

W PREZENCIE
KSIĄŻKA

PROF. ANDRZEJ NOWAK,
ROZMAWIA PIOTR LEGUTKO: „W POTRZASKU HISTORII I GEOGRAFII"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~945~~ZŁ

468,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 475ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl cd69d1a612

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

Zostań współwłaścicielem Do Rzeczy S.A. Kup akcje już teraz!

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

„Podatki, inflacja, drożyzna– czas odkryć, kto na tym korzysta."

Piotr Gabryel
ZASTEPCA REDAKTORA NACZELNEGO
TYGODNIKA „DO RZECZY"

Do Rzeczy S.A.
– LIDER KONSERWATYWNO - LIBERALNEGO RYNKU WYDAWNICZEGO W POLSCE W DRODZE NA **New/Connect (GPW)**

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka"). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom maklerski INC S.A.

eprasa.pl cd69d1a612